Nr. 34. Poznań, dnia 26 Sierpnia 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465.

Treść nr. 34-go.

Czuj duch!

Czuj duch!
W dal słuch!
Gdy wróg,
Wśród dróg,
Sle grot,
Swój w lot!

Ten swój,
Kto w znój,
Chce biedz,
I strzedz,
Od strat,
Swych chat!

Więc zważ!
Zdwój straż!
Broń żyw!
Pól, niw!
W dal słuch!
Czuj duch!

Adam Kompf.

Co robić?

Opór dzieci polskich przeciwko niemieckiej nauce religii obejmuje coraz szersze kręgi.

Dziś już niepodobna zliczyć wszystkich miejscowości, gdzie dzieci odmawiają odpowiedzi, gdzie porzuciły katechizmy. Wszędzie ze strony nauczycieli spotyka dzieci przymus, tu namową, tam pogróżką, owdzie aresztem, a nie rzadko biciem.

Trzeba się wobec tego zapytać, co należy rodzicom robić, jak mają dzieci przysposobić do oporu, o czem je pouczyć, ażeby nauczycielowi nie dały powodu do katowania i bicia.

Otóż rodzice powinni sami wyraźnie dzieciom *zakazać* odpowiadać na niemieckie pytania w religii, *zakazać*, odmawiać pacierza.

Rodzice nie mają sposobu, ażeby zmusić nauczyciela, żeby nie uczył religii po niemiecku, nie mają sposobu na to, by dzieci od tej nauki zupełnie uwolnić, bo w szkole dzieci wykładu nauczyciela *słuchać* muszą — niech więc na jego pytania *nie odpowiadają, niech milczą.*

Nie ma siły i prawa, któraby dzieci zmusiła do odpowiadania na pytania nauczyciela, tem mniej, gdy w czasie nauki religii nauczycielowi *nie wolno bić dzieci.* O tem wiedzieć i to spamiętać sobie rodzice powinni.

Niech dzieci nauczycielowi wyraźnie oświadczą, że nie odpowiadają na pytania w religii na rozkaz rodziców, niech dzieci jednakże po za tem będą dla nauczyciela grzeczne jak zawsze.

Jakich mogą dzieci, albo rodzice za ten opór spodziewać się kar?

Bić, jak już powiedzieliśmy, nie wolno dzieci, jedyną karą może być areszt — względnie przetrzymanie opornego dziecka w szkole do 16 roku.

W sprawie aresztu na podstawie prawa trudno dać jakąśkolwiek skuteczną radę rodzicom. „Orędownik" naprzykład w tej sprawie tak powiada:

„Jeżeli areszt nie należy ściśle do planu lekcyi, nie powinni rodzice pozwolić dzieciom swoim aresztu odsiadywać, a jeśliby za to zagrożono karami pieniężnemi, przeprowadzić proces przez wszystkie instancye".

Słusznie zarzucił „Dziennik Kuj." „Orędownikowi", że rada ta jest niejasna.

„Lech" usiłuje jej nadać rzeczywistej wartości, zapewniając, że według starego „landrechtu" pruskiego *nie wolno dzieci dłużej w szkole zatrzymywać, niż 6 godzin dziennie.*

Sprawę tę powinni istotnie wyjaśnić nasi prawnicy. Jeżeli bowiem prawo krajowe stare opiewa tak, jak „Lech" powiada, to sprawa jest bardzo jasna — rodzice nie potrzebowaliby dzieciom swoim pozwolić pozostawać w szkole po nad 6 godzin dziennie. Gdyby więc godzina aresztu była już godziną siódmą pobytu dziecka w szkole, rodzice by mogli dziecko ze szkoły zabrać.

W razie procesu rodzice musieliby bezwarunkowo wygrać.

Lecz — przyznać musimy — sprawa ta dotąd niejasna, nie rozstrzygnięta, nie ma żadnego w tym względzie wyroku, nie możemy więc rodzicom radzić, by w myśl jej postępowali. Je-

steśmy atoli przekonani, że w razie procesu — *„Straż“* w tak ważnej sprawie nie odmówiłaby swej pomocy, i przeprowadziłaby proces aż do ostatniej instancyi.

Czy może szkoła dzieci przetrzymywać do 16 roku?

Niestety — tak. Ale na to jest rada. Jeżeli rodzice *wszyscy* postąpią sobie zgodnie, jeżeli *wszyscy* zakażą dzieciom uczyć się religii po niemiecku, jeżeli przypilnują, ażeby *dzieci* ich *bezwarunkowo usłuchały* — to przetrzymywanie dzieci w szkole po za lata szkolne będzie zupełnie niemożliwe.

Przecież dziś już szkoły są wszędzie *przepełnione* i nauczyciele radzi są, gdy mogą się dzieci ze szkoły pozbyć. Tak też będzie i z temi dziećmi, które z rozkazu rodziców nie będą odpowiadać na pytania w niemieckiej nauce religii.

Groźby więc, że dzieci przetrzymane zostaną do 16 roku w szkole, przeważnie pozostaną bez skutku, tem więcej, jeżeli rodzice postępować sobie będą *solidarnie* i jednolicie.

A gdzież tej solidarności więcej od rodziców wymagać, jak w tak ważnej sprawie, jaką jest — nauka religii?

Rodzice pamiętać powinni, że za dusze dziecka tylko oni wobec Boga są odpowiedzialni — powinni więc tej duszy bronić nawet wbrew prawom państwowym i przeciwko szkole pruskiej.

Powiedzieliśmy już w przeszłym numerze, że walka o dzieci toczy się pomiędzy szkołą — a rodzicami. Gdy szkoła zwycięży, biada dzieciom, biada rodzicom i biada społeczeństwu całemu, bo szkoła nie wychowuje dzieci ani w myśl rodziców, ani w myśl społeczeństwa, do którego należą — lecz wychowuje je w myśl państwa.

A to państwo nam wrogie! Gdy więc szkoła dzieci wrogo nam wychowa, co dalej będzie?!

Powinni to sobie rodzice rozważyć, tem więcej, że w sprawę tę wkroczyła już i rejencya.

I co robi? — Wysłano dwóch radców do *Gostynia* na zebranie dozoru szkolnego. Owi radcy spędzili całą winę na opór dzieci na „hecerów“ i rodziców, bo dawniej dzieci chętnie religii po niemiecku się uczyły i przeforsowali uchwałę — sprowadzenia do Gostynia jeszcze 3 dalszych nauczycieli — na koszt gminy katolickiej bez zapomogi ze strony rejencyi. Uchwała ta przeszła dla tego, ponieważ dnia poprzedniego jeden z członków dozoru złożony został z urzędu — nazajutrz przybyli pp. radcy.

Pogrozili więc Gostyniowi — większymi podatkami i myślą, że już zwyciężyli. Tymczasem Gostyniacy zapewną i ten cios przetrzymają, a ponieważ wiedza, że nauczyciele ci nie są potrzebni, bo nie 80 lecz 62—65 dzieci jest w klasie, przeto do przeświadczenia ich o słynnej „sprawiedliwości“ pruskiej dochodzi jeden dowód więcej. To przyznamy pp. radcom, że ten dowód bardzo jest przekonywający, tem więcej im kto biedniejszy.

Co jednakże stąd wynika? — to, że rejencya nie waha się podrażniać ludności polskiej.

Wobec tego napominamy, ażeby rodzice zachowali wszelki spokój i rozwagę. Zapewne, gdy tak postępować będziemy, gdy będziemy nieugięci, nie zachwiejemy się w obronie polskiej nauki religii ani na chwilę — ruch ten obejmie całe społeczeństwo.

Wtenczas tylko zwycięstwo może być po naszej stronie, bo nie spodziewamy się, ażeby przeciwko dziatkom naszym szkolnym, przeciwko rodzicom, tych dziatek *spokojnie* broniącym — wytoczono armaty i wyprowadzono wojsko na ich poskromienie.

Tego się obawiać nie potrzebujemy.

Germanizacya — a duchowieństwo niemieckie.

Znane jest powszechnie zapatrywanie, że germanizacya — to protestantyzacya. Zapatrywanie to podziela, gdy chodzi o stósunki polityczne Księstwa i Prus Zach. także partya centrowa.

Partya centrowa podkreśliła to swoje zapatrywanie niejednokrotnie już i to bardzo silnie w sejmie pruskim. Działo się to mianowicie podczas rozpraw nad ustawą kolonizacyjną, nad nowymi funduszami, o które wnosił rząd dla komisyi kolonizacyjnej.

Zdawałoby się, że przekonanie to powinno dać do myślenia i księżom niemieckim, że powinni oni się byli zastanowić nad tem, czy germanizacya nie jest również protestantyzacyą, t. j. pchaniem do odszczepieństwa od ko-

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

18) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Gdy żądanie Ossolińskiego w adresie równało się prawie chęci oderwania Galicyi od Austryi, więc później ułożył zmieniony nieco projekt, zwany *Charta Leopoldina* i wręczył go cesarzowi (w sierpniu roku 1790) [1]). Leoold II. nosił się szczerze z myślą nadania reform dla Galicyi, gdy zaskoczyła go śmierć przedwczesna i przerwała te zamiary (28 lutego 1792 roku).

Syn jego i następca Franciszek II, niechętnym był dla Polski, przysposobił już wcielenie nowego zaboru i wziął udział w trzecim rozbiorze Polski (roku 1795) przyłączając do Austryi t. zw. Galicyę Zachodnią.

Wtedy to wojsko austryackie zuchwale grasowało po ziemiach polskich, a wolni Krakowianie wołali z oburzeniem i żalem:

— Nie ma dobrego Leopolda! Znikły nasze nadzieje! Nowy cesarz nie oszczędza naszych uczuć narodowych, żołdactwu swemu wydał na zniszczenie nasz sławny zamek na Wawelu! Podobnie zniesiono także pałac prymasowski. — Niemcy zalali te dzielnice Polski, rugując zewsząd Polaków. Ci zostawali tylko gdzieniegdzie na posadach nauczycieli, nawet religii uczyli już obcy katecheci.

— Rzecz niesłychana, — narzekali uczeni polscy — na naszej sławnej akademii Jagiellońskiej poważają się Niemcy zajmować posady profesorów!

Sprzedawano dobra narodowe, aby się stały niemieckiemi. Zaprowadzano teraz kodeks karny w Galicyi, a prawnicy niemieccy mówili między sobą ze spokojem:

[1]) Projekt ten żądał: koronacyi cesarza na króla Galicyi i Lodomeryi, zaprzysiężenia konstytucyi, rządu autonomicznego, wolnego handlu solą, zwrotu zabranych kapitałów kościelnych i publicznych do mającego się utworzyć banku narodowego, wreszcie łacińskiego języka urzędowego. — Przeciwko takiemu projektowi wystąpiła kancelarya czeska a mianowicie hr. Kolowrat i komisya utworzona z biurokracyi i kamarylli dworskiej odpowiedziała, jak następuje:

Dopóki Galicyanin uważać się będzie za Polaka, dopóki nie pozbędzie się swego charakteru narodowego, dopóty jątrzyć go i niezadowoleniem przejmować będzie wszelkie porównanie między jego stanem, a stanem tych, którzy żyją pod rządami Rzeczypospolitej... Prawdziwy zatem interes austryackiej monarchii polega na tem, aby *naród ten powoli w ludność niemiecką przekształcić*, jego zwyczaje, sposób myślenia i uprzedzenia zmienić, jednem słowem, aby go wynarodowić!

Odtąd zasadami tej komisyi kierował się rząd austryacki przez lat 70, dążąc stale do wynarodowienia Polaków jak i Rusinów. Sokołowski IV. 1245, 1246.

ścioła katolickiego i o innych warunkach.

Tak było być powinno. Księża niemieccy sprawę tę powinni sobie byli rozważyć głęboko, zwłaszcza że nie brakło w tym względzie dużo głosów ostrzegawczych, pochodzących już to ze strony gazet polskich, już też wprost od księży polskich.

A jednak księża niemieccy — katolicy zaniedbali głębszej nad sprawą tą rozwagi — i niestety bez namysłu, na oślep wielu z nich o jednem tylko myśli — o przeistoczeniu Polaków-katolików na katolików-Niemców.

Nie wzdrygają się w tym celu nadużywać ani swojego stanowiska jako duchowni, ani nawet kościoła, a co gorsza samej wiary św.

Dziś rzecz to ogólnie znana, ogólnie w obozie polskim spotyka się z żalem — ale i z odprawą i oporem.

Dzieje się to z szczególną energią na obczyźnie. Słusznie, bo tam niebezpieczeństwo germanizacyi przez kościół zagraża całym masom polskiego ludu.

Nie będziemy tutaj wymieniać znanych powszechnie wypadków. Przypominamy tylko, znamienny fakt, o którym pisaliśmy w ostatnim numerze. Wszak tam ksiądz powołując się na powagę władzy biskupiej narzucał rządy swoje towarzystwu polskiemu, a z rządami — język niemiecki, z językiem germanizacyę.

Słusznie przed tem przestrzegaliśmy i mamy nadzieję, że towarzystwa polskie głosu naszego opartego na doświadczeniu i zasadach narodowych — posłuchają i pozostaną wiernymi swej narodowości.

Dziś jeszcze raz piszemy o tem z powodu wypadku, który wyjaśniony został podczas pewnego procesu w *Berlinie.*

Otóż w *Tempelhofie* pod Berlinem starał się komitet polityczny na Berlin, Brandenburgią i okolicę założyć towarzystwo robotników polsko-katolickich. Setki tych robotników przebywają w Tempelhofie na pracy.

Starania te, jak prawie zawsze na obczyźnie, napotkały na trudności ze strony policyi i oczywiście księży katolików-Niemców.

I wydał się w czasie procesu krok księdza, krok, który rzuca straszne światło — na nadużywanie kościoła do germanizacyi.

Otóż ksiądz kuratus (tak tam zowią zarządców parafii) w liście do policyi donosi o staraniach komitetu berlińskiego celem założenia w Tempelhofie towarzystwa polskiego i odmawia nie istniejącemu jeszcze towarzystwu charakteru katolickiego.

To pismo ks. kuratusa — nazywa się on *v. Strombeck* — jest dokumentem niepomiernej wagi — to też należy je za „Dziennikiem Berlińskim“ podać do publicznej wiadomości i przechować do historyi naszych prześladowań i bólów. Dokument ten brzmi dosłownie:

Tempelhof, d. 8 IX. 05.

Wohllöbliche Polizei
in Tempelhof.

Das polnische, politische Comitee ladet zum Sonntag, d. 10. IX., 1Uhr, zu einer Versammlung im Restaurant Niedergesäss ein. Da ich mich in keiner Hinsicht mit diesen polnischen Agitationen einverstanden erklären kann, bitte ich ergebenst, diese Versammlung nicht als katholisch ansehen zu wollen, auch wenn diese unter dem Namen „katholisch“ tagt.

gez. v. Strombeck,
Curatus.

(Tłómaczenie: Polski polityczny komitet zaprasza na niedzielę dnia 10. IX. godz. 1-szą na zebranie do restauracyi Niedergesaess. Nie mogę się żadną miarą na te agitacye polskie zgadzać, i dlatego proszę, zebrania tego nie uważać za *katolickie,* chociażby pod tem mianem obradowało.)

To, że ks. kuratus v. Strombeck nie godzi się na agitacye polskie, to nas nie dziwi i mało obchodzi. Jako od Niemca, nie możemy żądać, ażeby polskie popierał dążności.

Ale — że ks. kuratus v. Strombeck, z góry, zanim jeszcze powstało owo towarzystwo polskie, zanim choćby jeden zrobiło krok w życiu — że ks. kuratus towarzystwo nieistniejące jeszcze odsądza od — katolicyzmu, to nas dziwi nie tylko, ale bardzo przykro porusza.

Toż uczy nas kościół, że mamy bliźnich *przygarniać* — nie odpychać. Czy ks. kuratus tak wrogiem wystąpieniem tę oto zasadę katolickiego kościoła wypełnił?!

Nie dziwi nas też, że „Dziennik Berliński“ to pismo ks. kuratusa nazywa — *denuncyacyą.* Straszna to nazwa — ale też straszny to krok ze strony ks. kuratusa — straszny, bo cóż lud nasz polski i katolicki ma myśleć o księdzu, który go odstręcza od siebie,

---

— Nie zupełnie ten kodeks jest jeszcze praktyczny, więc go wprzód na mieszkańcach Galicyi musimy wypróbować (prüfungsweise)!

— Naturalnie, a po takiem doświadczeniu poprawimy go i ogłosimy później jako *powszechne prawo karne austryackie!* [2]). Rząd austryacki szczególną tylko odznaczał się pieczołowitością o drogi bite, a to w tym celu, ażeby po nich łatwo i rychło można było wprowadzać wojska do krajów zabranych. Dla tych to gościńców przeznaczona została ujęta właścicielom ziemskim pańszczyzna chłopów i wkrótce drogi doprowadzone zostały do 400 mil długości.

Oburzenie więc przeciwko rządom niemieckim wzrastało coraz bardziej. Szczególnie rekruci galicyjscy, brani „w kamasze“, niechętnie pełnili uciążliwą i długą, bo 15 lat trwającą służbę wojskową i przejęci byli nienawiścią do obcego, wrogiego rządu. Więc w tym czasie, gdy z wystąpieniem Napoleona I i z ogłoszeniem przez niego hase wolności, powstała w Polsce myśl przeniesienia sejmu Wielkiego do Francyi i utworzenia pod jej opieką wojska polskiego — w tej właśnie niechęci i nienawiści wojska galicyjskiego dla Austryi, zawierała się między innemi myśl utworzenia *polskich legionów.*

[2]) Tak samo było z austryackiem prawem cywilnem, wprowadzonem jako nowy kodeks Józefinski w r. 1812. — Morawski, V, 217, VI, 9.

Legiony Polskie.
1797—1803.

Nie było to dziwnem, że uciemiężoną Polskę ogarniał chwilowy upadek ducha, po tylu daremnych wysiłkach w celu odzyskania wolności. W narodzie smutnym podnosiły się za to głosy samolubów, co myśląc tylko o sobie mimowolnie demoralizowali innych, gdy wołali:

— Co tam, ojczyzny już nie odzyskamy, a więc trzeba się zgodzić z nowym stanem rzeczy!

A jeszcze starsze niedołęgi przywtórowywali im z cicha:

— Ha zapewne, droga nam miła ojczyzna, ale i spoczynek też miły! Mamy teraz przynajmniej pokój, a z tego pokoju zyski, to zaś lepsze niż „ta przeszłość ze swojemi niebezpieczeństwy!“

Wrogowie słysząc takie słowa, zacierali tylko ręce z radości, cieszyli się szczerze i takie słabe jednostki nieszczęśliwego narodu podniecali do życia hulaszczego, do zepsucia, do upadku, nie pomni na jego przyszłość, ani na następne wstrząsające przekleństwo:

— Biada narodowi, gdy jego władza, jego rząd, którego rzeczą prowadzić do cnoty, uczyć, poprawiać — szerzy w nim właśnie zepsucie, podnieca do złych nałogów, do moralnej wiedzie go zguby!

I tak w Prusiech po zawarciu pokoju z Francyą, poczem okazał się obfity odbyt na polskie płody rólnicze, taki

który nie waha się do pomocy zawołać, — policyi, który go za jednem pociągnięciem pióra obdziera — z miana katolickiego?!

Takie postępowanie w umyśle ludu naszego musi wywołać straszną rozterkę i zwątpienie, co jest katolickie, czy to, do czego przyuczył się w domu, czy to, co mu wskazuje nowy jego przewodnik na drogach wiary św. prawd boskich, na drodze do nieba.

Jaki będzie skutek tej walki z sumieniem?!......

My znamy dość przykładów, że takie właśnie postępowanie księdza katolickiego — popchnęło ludzi na drogę niedowiarstwa. A razem z niedowiarstwem przyszło i zniemczenie.

Za to pchanie ludu polskiego w ramiona niewiary odpowiedzą ci, którzy zawinili przed Bogiem.

To atoli nie zwalnia nas od obowiązku wskazania ludowi naszemu drogi właściwej. Ta droga jest taka: Kościół św. i wiara katolicka nie mogą być odpowiedzialni za błędy — nawet księży. *Pomimo tych błędów księży — wiara pozostaje niezmienna, kościół ten sam — trzeba im dochować wierności.*

Nie potrzeba atoli słuchać owych sług tam, gdzie nie chodzi o sprawy wiary i kościoła — a do tych spraw należą i sprawy narodowe, sprawy towarzystw polskich, pragnień i dążności polskich.

Tu lud polski powinien iść własną drogą, albo tą, którą całe społeczeństwo zgodnie uzna za dobrą.

Tą drogą — w pierwszym rzędzie — jest obowiązek *zachowania wiernie swej polskości, polskiej mowy i polskiego obyczaju.*

Zwrócić tu musimy na jedno uwagę. Zwłaszcza na obczyźnie umieją księża-Niemcy przekonywająco wmawiać w lud nasz, że to „wszystko jedno, czy Polak, czy Niemiec“. Jeden jest Bóg, jedna wiara, jeden jest Kościół. Najważniejszą rzeczą jest, byśmy żyli dla naszego zbawienia. A czy w tym celu spowiadać i modlić się będziemy po polsku, czy po niemiecku — Bóg tak samo nas wysłucha!

Być może — że to i wszystko jedno, ale módl się, bracie, po niemiecku, jak po niemiecku nie umiesz, spowiadaj się, kiedy grzechów nie potrafisz nazwać.

Ale z czasem ten i ów i tego się douczy — czyż jednak dla tego ma się zaprzeć ojców swoich, ma porzucać ich język?

Setki lat szmat ziemi niemieckiej był w rękach francuskich. Mówimy o Alzacyi i Lotaryngii. Iluż to jeszcze naszych żyje, co o zdobycie tej ziemi pod wodzą monarchów pruskich byli walczyć we Francyi. Tam widzieli potoki krwi przelanej.

Po co to ?— Po to, żeby *odbić dawną własność.*

Patrzcie — krwi, życia i mienia nie szczędzili Niemcy, by to, co kiedyś utracili, odzyskać. — Czyż my, bez rozlewu krwi, bez nadzwyczajnych ofiar nie mielibyśmy umieć dochować po wsze wieki — języka ojców naszych, którego nie utraciliśmy jeszcze?!

Nie — nie utracimy go, tego od nas wymaga nie tylko nasz obowiązek, ale i honor.

Księża niemieccy, niech zaś sobie dobrze rozważą, czy dobrze czynią, gdy usiłują lud nasz zgermanizować przez — kościół.

My przed tą germanizacyą zawczasu i gorąco przestrzegamy.

Wasz S.

Nasza inteligencya
a
Towarzystwa przemysłowe i zawodowe.

W numerze 33-cim „Przemysłowca,“ organu „Związku Towarzystw Przemysłowych“ z dnia 18-go sierpnia przeczytałem z wielkim zaciekawieniem komunikat pod tytułem „Adresy Tow. Przemysłowych“ ułożony przez członka Zarządu Związku p. K. Krajuę z Poznania.

Dowiadujemy się z powyższego komunikatu, iż Towarzystw Przemysłowych jest w Związku obecnie *76;* poza Związkiem istnieje jeszcze około 70 towarzystw przemysłowych i zawodowych, takich, które niewątpliwie do Związku należeć by mogły i powinny.

Z adresów prezesów wypośrodkowałem, iż na czele towarzystw przemysłowych związkowych stoi 20-cia jednostek zaliczających się do inteligencyi zawodowej. Oto ich nazwiska:

Lekarze: Dr. Dorszewski Barcin, Dr. Warmiński Bydgoszcz, Dr. Lniski Czarnków, Dr. Górski Gostyń. Dr. Trzciński Kępno, Dr. Alkiewicz Pobie-

---

szał radości ogarnął szlachtę, że niepomna swej przeszłości, obecnego swego stanu ucisku, nie zważając nawet na zewnętrzną wojnę, rozhulała się teraz na dobre. Nie było jednego miasteczka, gdzie nie odbywałyby się reduty, bale, jarmarki, odpusty, a na nich gry, tańce, hulanki, zabawy. Podobnie pod zaborem rosyjskim.

Nie słychać tam było jęków męczenników sybirskich, ani widać katuszy więźniów polskich, bo przygłuszało i zakrywało je chytre, szatańskie postępowanie carycy Katarzyny.

— Muszę ich zabawić, muszę z nimi poigrać, jak dzieciom cacka pokażę, to się ucieszą i zapomną o ojczyźnie, o tem, com im zrobiła.

Tak mówiła kpiąco o Polakach, nie myląc się, ale tylko co do pewnych jednostek. Schlebiała ona próżności narodowej, prożności słabych charakterów, przyjmowała oficerów polskich do swojej służby, tworzyła pułki narodowe, po guberniach mnożyła wybieralne urzędy ziemskie, aby na sejmikach wybrani dygnitarze cieszyli się takimi honorami i tytułami urzędów, taką czczą sławą i zaszczytem.

Najwyższym i najchciwszym sama przypinała ordery, szlify, akselbanty,[3]) hojnie sypała moskiewskie *czyny* (urzędy), tytuły kamerherów i sowietników.[4]) A piękne panie polskie z najwyższych rodzin nie wahały się umizgać do szykownych, starszych rangą, oficerów moskiewskich. I pośród lekkiego społeczeństwa polskiego rozchodziły się półgłośne, wesołe, ciekawe wieści, wypełniające jego próżniacze życie:

— Wiecie?... Jedna dama polska poleciała aż do Petersburga za pięknym bratem ulubieńca carowej!....

— Słyszeliście?... za co tej pani obiecał gubernator przenieść gubernię z Żytomierza do Zasławia, nawet nazwał ją już Izasławską!...

— A znacie tamtę, co została faworytą carowej i kawalerką orderu św. Katarzyny?!....

Lepsze jeszcze wiadomości roznosili ozłoceni orderami moskiewskimi ów kamerher Iliński i brygadyer Lubowidzki; szczególnie ten drugi miał całe piersi obciążone złotymi orderami wrogów, bo w czasie ostatniego powstania potrafił dla Moskwy zachować wierność dywizyi ukraińskiej... A jego towarzysz Złotnicki, do wielu już wziętych nagród, otrzymał jeszcze klucz Radomyślski, majątek wydarty przez zaborczą Moskwę metropolii unickiej.

Słabe, marne, zaślepione charaktery ludzkie, oprzeć się nie zdołały takim łaskom, obietnicom i hojnościom carskim, czerpanym z nieszczęśliwej, rozszarpanej ich ojczyzny!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[3]) *Akselbanty,* (z niemiec.) sznurki wełniane, srebrne lub złote zawieszone na prawem ramieniu u mundurów wyższych wojskowych.

[4]) *Kamerher,* (z niemiec), szambelan, podkomorzy (urząd dworski). *Sowietnik,* radca.

dziska, Dr. Wysocki Rogoźno, Dr. Liebek Środa, Dr. Piskorski Witkowo.

Duchowni: Ks. dziekan Haupa Gniewków, ks. prałat Stryjakowski Łopienno, ks. Stankowski Nakło, ks. Kurzawski Pakość, ks. dr. Taczak Winiary, ks. Chojnacki Strzałków, ks. Zieliński Wągrówiec, ks. Łabędzki Wrześnie, ks. Łowiński Żerków.

Adwokaci: Sczaniecki Gniezno.

Pedagodzy: Dr. Drygas Poznań.

Razem dwudziestu!

Mężom powyżej wymienionym należy się ze strony społeczeństwa naszego najszczersze uznanie. Dla czego?

Oto dla tego, że niezrażając się prądem materyalistycznym coraz to silniej panoszącym się także i w naszem społeczeństwie,

a) pracują bezinteresownie nad podniesieniem poziomu umysłowego naszych przemysłowców i rzemieślników,
b) że przez to samo starają się o wyrobienie zdrowego stanu mieszczańskiego, którego zwiększenia nam wobec systemu pruskiego tak bardzo potrzeba,
c) że widząc siłę i potęgę w solidarności i łączeniu się w gromadę umieli i umieją przyciągnąć względnie zachować towarzystwa ich pieczy powierzone w coraz to lepiej prosperującym „Związku."

Jeszcze jedno podnosić ich zasługę w naszych oczach powinno.

Tu i owdzie odezwie się i u nas, jak zresztą w każdem wyrabiającym się społeczeństwie, zgrzyt walki klasowej lub niechęć „prostaczka" do „inteligenta." Dzieje się to przeważnie tam, gdzie inteligencya nasza usunęła się od pracy publicznej, lub gdzie mogąc pracować, nie ruszy ani palca bądź to ze względu na władze, lub na swą kieszeń, bądź też z wrodzonej gnuśności osobistej.

Otóż zasługę inteligencyi naszej pracującej w Towarzystwach podnosi wielce to, że wiedząc o walce klas, że znając tę niechęć nie zraża się, że idzie między lud, że poucza i kształci mniej wykształconych, chociaż wie często, iż w niejednym przypadku spotka ją zawód i niewdzięczność, a jedyną zapłatą będzie poczucie i wewnętrzne zadowolnienie spełnionego wobec narodu obowiązku.

To zaznaczywszy wyrażam nawiasowo żal, iż tak mało lekarzy i adwokatów stoji na czele towarzystw sokolich, których liczba dosięga obecnie cyfry 160-ciu; a przecież każdy to przyzna, że jeżeli kto, to właśnie lekarze, ze względu na cele zdrowotne i adwokaci ze względu na wieczne, nieustające prześladowania, procesy i kary w Sokolstwie naszem poczestne powinni zająć miejsce i wdzięczne znaleźliby pole do pracy. Lecz to tylko mimochodem.

Drugiem arcyciekawem spostrzeżeniem, jakie zrobiłem czytając statystykę p. Krajny jest smutny fakt, iż około *70* towarzystw przemysłowych i zawodowych *nie należy do Związku!!* —

Tego to już nie rozumiem. Pamiętam wprawdzie, iż przed 12-tu laty, kiedy po zgonie najżarliwszego propagatora założenia Związku ś. p. Dr. Ludwika Rzepeckiego ważyły się losy: zjednoczenia lub pójścia dalej w rozsypce, — pamiętam, że projekt związku zwalczany był nawet przez ks. prałata Wawrzyniaka i Dr. R. Szymańskiego ze względów dziś przeważnie znanych. Lecz ażeby dziś po latach dwunastu, dziś gdzie blizko 80 towarzystw jest w Związku, negować jeszcze potrzeba łączności i dobre skutki, jakie potężny i zasobny „Związek" dać może i powinien, tego zrozumieć łatwo nikt nie zdoła.

A kiedy zatopię się w zgłębienie powodów zjawiska, że tak wielka liczba towarzystw stroni od Związku, widzę, iż prawdziwym powodem może być jedynie

a) albo obawa przed ciężarami, jakie Związek na towarzystwa nakłada,
b) albo też względy osobiste, których dociekanie i rozpatrywanie na tem miejscu do niczego nie doprowadzi, i które zatem pomijam.

Nie mogę bowiem przypuszczać, aby powodem nienależenia do Związku miała być nieświadomość o jego istnieniu lub przypuszczenie, że „Związek nic nie robi."

Toć wychodzący rok trzeci jako organ „Związku" „Przemysłowiec" jest żywym dowodem, że Związek pracuje, że się rozwija, że przynosi korzyści, a kto go bacznie śledzi, kto wie o decentralizacyi czyli podziale na okręgi, ten przyzna, że nietylko ruch umysłowy nad podniesieniem naszego przemysłu i rzemiosła się wzmaga, ale że jednostki odnośne same w ostatnich latach po miasteczkach naszych krzątają się o polepszenie bytu ekonomicznego, że rugują żydostwo, i że przeważnie o własnych siłach lub z pomocą naszych spółek zmniejszyły liczbę żydostwa w Księstwie z 76,000 na 28,000 ogółem.

A kiedy przeglądam spis prezesów towarzystw nie należących do Związku i kiedy tam widzę nazwiska ludzi znanych zkąd innąd jako ludzi światłych, świadomych swych zadań i ogólnych naszych celów społecznych, wówczas zdziwienie moje rośnie i pytam się siebie, ażali się nie mylę, ażali może jesz-

Obrazki marginesowe.

Nasza wyrocznia delficka.

Onego czasu była w Grecyi, w Delfach, nie bardzo podłem mieście, kapłanka imieniem Pytja. Owa Pytja siedziała zwykle na trójnogu, jako że siedzenie na trójnogu pewniejsze jest, — o czem najlepiej zaświadczy każdy uczciwy i trzeźwy mistrz kunsztu szewskiego, i z wysokości onego stołka przepowiadała owa bogini przyszłość. Mówiła zwykle bardzo tajemniczo, tak, że mało kto zrozumiał przepowiednię — ale czyniła to dla tego, żeby tem lepiej módz się wykpić, ilekroć przepowiednie jej się nie spełniły.

A nie spełniały się one nigdy, bo panna Pytja łgała wierutnie — legendy twierdzą, że od niej w prostej linii pochodzą kierownicy niektórych naszych „poważnych" organów opinii publicznej. Historya zadaje kłam legendzie, opierając się na tem, że Pytja była dziewicą.

A jednak niektóre zdania i myśli owych poważnych organów dzisiejszych brzmią tak tajemniczo, co więcej wykpiwania się ich po skończonym fakcie są tak łudząco podobne do wyłgiwania się p. Pytyi Delfickiej, że p. Pytya, jeżeli nie mogła być prababką, napewno była pra-ciotką onych redaktorów.

Dla poparcia mego twierdzenia niech posłuży to, co napisało jedno z pism tutejszych w sprawie akademii poznańskiej:

„Myśmy rzeczywiście nie występowali stanowczo przeciwko akademii ze względów kulturalnych a głównie też dla tego,że „fiasko" niemieckiej akademii było *dla nas* tylko kwestyą czasu. Rychlej jednak, niż się spodziewaliśmy, nastąpi może ten nowy blamaż hakatyzmu". *)

Albo podobne ustępy:

„Mówią o nas, żeśmy starzy, zgorzkniali, zgrzybiali, żeśmy jednem słowem głupi, a *jednak myśmy zawsze przewidywali,* że nowe pismo polskie nie ma racyi bytu obok nas. Upadek „Dziennika Polskiego" w Dortmundzie potwierdził nasze przepowiednie".

„*Myśmy z góry przypuszczali,* że kopalnie dynamitu nie istnieją, ale pisaliśmy o tem, nie chcąc urazić światłego i szanowanego zkądinąd korespondenta naszego".

„*Myśmy naprzód wiedzieli o straszliwem* trzęsieniu ziemi w San Fancisco, ale nie wspominaliśmy o tem, nie chcąc przedwcześnie hiobową wieścią przerażać Szanownych Czytelników naszych".

*) Z „Dziennika Poznańskiego". Red.

cze inne są powody, że towarzystwa nasze stronią od Związku?

Nie należą do Związku: Bnin (prezesem ks. Okoniewski), Bytom (red. Dombek), Czempiń (ks. Kiełczewski), Koronowo (Dr. Szukalski), Grodzisk (Fr. Andrzejewski), Kościan (Dr. Laurentowski), Krzywiń (ks. Nawrocki), Lwówek (ks. Śramkiewicz), Miszków (ks. Gibasiewicz), Opalenica (ks. Kruszka), Ostrów (Dr. Taczak), Poniec (ks. dr. Skrzydlewski), Skoki (ks. Zoch), Toruń (J. Brejski), Wyrzysk (ks. Kaczmarek) i cały szereg towarzystw licznych i zasobnych jak n. p. w Poznaniu „Jedność" (B. Szymański), Koło Tow. Rękodz. (T. Krause), Młodzież polsko-katolicka (K. Krajna i Fr. Krajna), Malarze (Urbański), Drukarze (Maligłowski), Ogrodnicy (Marciniec).

Dla czego towarzystwa te stronią od Związku? Dla czego prezesi stojący na ich czele nie spowodowali dotąd ich przyłączenia się do jednej wielkiej organizacyi?

Odpowiedzi doczekamy się prawdopodobnie w dyskusyi, jaką, żywię nadzieję, te kilka uwag moich wywoła.

Część winy być może, ponosi także i Zarząd Związku, który nie mogąc widocznie opanować całej roboty lub z innych nieznanych mi przyczyn za mało wywiera presyi, za mało zachęca do skupienia sił w jednem ognisku. Niezbędnym jest także dla dalszego rozwoju Związku warunek, aby jądro głównego Zarządu to jest prezesura, sekretarstwo i skarbnictwo jako i biuro Związku miało rzeczywistą siedzibę w centrum Związku, to jest w Poznaniu. Pan mec. Czypicki, prezes Związku od samego założenia i gorliwy propagator onegoż jest tak obarczony pracą zawodową i innemi obowiązkami, iż przy najlepszych chęciach i ofiarach nie może dekretować w nagłych sprawach, a spraw takich jest niewątpliwie a przynajmniej powinno być, zdaniem mojim, bez liku.

Jeżeli inteligencya nasza stawa na czele towarzystw przemysłowych i zawodowych, widząc tam i owdzie jeszcze brak wyrobienia się zawodowców właściwych, to jej się to chwali; ale niechaj też ta inteligencya nie wyodrębnia się; niechaj nie choduje separatyzmu, lecz raczej niech zmierza do łączności, do stworzenia potęgi w organizacyi, którą przecież stojąc na czele poszczególnych towarzystw w zasadzie musi uznać za dobrą. A jeżeli są usterki i wady w Związku, to tem bardziej należałoby wstąpić do Związku i na zjazdach delegatów wady te tępić, a wprowadzać reformy.

Oby kilka tych uwag pisanych sine ira et studio, a wywołanych jedynie żalem, iż Związek liczy 70 towarzystw podczas gdy mając 150 mógłby wiele więcej dobrego zdziałać, przyczyniło się do pobudzenia umysłów, przysporzyło Związkowi choćby kilka nowych towarzystw jako członków, a cel słów mojich byłby osiągniętym.

Karol Rzepecki.

Walka policyi z Sokołami.

Temat to dziś już powszedni. Wiadomo przecież ogólnie, że policya wytęża wszystkie swe siły na to, by sokolstwo polskie w zaborze pruskim zgnieść i zdusić.

W walce tej bywa różnie — raz Sokoli idą pod wóz, drugi raz policya. Bywa więc tak: policya przy pomocy prokuratoryi wytacza sokołom proces, często sokoli wygrywają — wtenczas policya jest pod wozem, jeżeli jednakże sokoli przegrywają, sokoli są pod wozem.

Bywało tak już nieraz i będzie w przyszłości, jeżeli Sokoli z nabytych doświadczeń nie będą korzystać, jeżeli nie będą ściśle stósować się do praw, jakie im przysługują.

To jest konieczne.

Wydarzył się ostatniej niedzieli wypadek, który uwagę tę gwałtem ciśnie mi pod pióro. Otóż jako prezes okręgu VIII Związku Sokołów polskich na rz. niemiecką zaprosiłem Sokołów z gniazd Kościana, Śremu, Gostynia, Czempinia, Grodziska, Śremu, Osieczny, Krobi, Ponieca, Wielichowa, Śmigla i Krzywinia na Kurzągórę pod Kościanem.

Kurzagóra jest to duży folwark tuż pod Kościanem, własność posła do parlamentu p. Dr. Alfreda Chłapowskiego. Oczywiście zaproszenia wysłałem, gdy otrzymałem od właściciela pozwolenie do tego. Zaproszenia były wystósowane imiennie do każdego druha.

Kurzagóra ma dwa duże podwórza, do których prowadzi pięć bram. Podwórza okolone są wysokim murem. Bramę, z którejby oglądać można było miejsce, wybrane do ćwiczeń, zasłoniliśmy płachtą z woza żniwnego.

Jednem słowem — zwłaszcza gdy bramy pozamykano — na kłódki — na podwórze można się było dostać tylko poprzez bramy lub mur.

Policya — niewiadomo, jakim sposobem dowiedziała się, że odbywa się na Kurzejgórze rzekomo Zlot.

„*Myśmy zawsze* ostrzegali ogół społeczeństwa naszego przed zgubnemi wpływami socyalistów, anarchistów, wszechpolaków i innych radykałów, rewolucyonistów i wszystkiego rodzaju mętów moralnych, u których ostatecznie ten radykalizm i anarchizm się kończy bombą, czy na ostrzu sztyletu, czy na artykułach, zaprawionych żółcią i fałszem przeciwko wszelkiej powadze, ziejących nienawiścią dla przykazań miłości bliźniego.

„I oto zbrodnia madrycka stwierdziła słuszność naszych wywodów, co więcej utwierdziła nas w przekonaniu, że owe radykały godzą — o hańbo! — w serce narodu, gotowi przelewać krew krwi naszej, bo jak wiadomo w krwi Battenbergów płynie niemało szlachetnej krwi polskiej".

„*Myśmy zawsze wiedzieli,* że kółko „litrowe" nie jest identyczne z towarzystwem dziennikarzy i literatów, ale pisaliśmy inaczej z obowiązku dziennikarskiego".

„*Myśmy dawno przewidywali,* że następczyni tronu powije syna, a nie córkę, ale nie chcieliśmy uprzedzać faktów".

Te i tym podobne rzeczy głosi zazwyczaj nasz specyalnie poważny organ.

Między nim a Pytją, jest tylko ta różnica: Wyrocznia delficka jest wprawdzie dla nas śmieszną, za to dla współczesnych była szanowaną i czczoną kapłanką wieczystej Prawdy, była istotą nadziemską, umiejącą czytać z run ukrytych, tajemniczych. Poprawdzie to ona tego nie umiała, ale właśnie posiadała spryt potrzebny do skutecznego obełgiwania ludzi, i do zachowania w całej pełni swojej powagi.

Tymczasem jej prabratanek sprytu tego nie posiada, skutkiem czego stał się śmiesznym już dla nas współczesnych. Zresztą Pytja siadywała na trójnogu — jej dzisiejszy spadkobierca zaś — na krześle redaktorskiem. — Ona przepowiednie dyktowała kapłanom, — on pisze je sam, rozstawionemi głoskami...

Ona miewała wizye i halucynacye, on miewa jasnowidzenia i jasnosłyszenia, w czasie których wyraźnie słyszy słowa: „— — — starzy, zgrzybiali, zgorzkniali, niedołężni, jednem słowem głupi!!!"

Słowa te działają nań jak chusta czerwona, jak wyrzut śmiertelny, jak huk piorunów wśród strasznej nawałnicy, i wtedy nowy Pytyjczyk garbi się i krzywi, okrywa się płaszczem, jak Franciszek Moor i szepce zbielałemi usty przykazania pokory wobec autorytetów i miłości bliźniego...

Taka to nasza wyrocznia delficka!

rdza.

Zaproszenia brzmiały na „wspólną lekcyę gimnastyczną".

Zlot — niebezpieczna rzecz. Mogłyby przecież runąć podstawy państwa pruskiego.

Trzeba go śledzić — ewentualnie rozpędzić.

To też policya począwszy od południa obchodziła mur, szukając szczeliny, którąby się mogła przedostać na podwórze.

Na próżno. Na podwórze dostawał się ten tylko, kto miał zaproszenie.

Nawet p. komisarz v. Holmann, pomimo że powoływał się na „sprawę urzędową" nie otrzymał wstępu — bo nie miał zaproszenia.

Tymczasem odbywały się ćwiczenia od samego rana. Około godziny szóstej po południu ćwiczenia miały się ku końcowi.

Policya nie dała za wygraną, że ćwiczących rozpędzi. Żandarmom i komisarzom przybył po południu znaczny sukurs w postaci „tajnego" z Poznania. Po długich naradach i dokładnem rozważeniu policya targnęła się na krok — niebywały dotąd w prześladowaniu towarzystw politycznych, sposób stósowany chyba wtenczas, gdy chodzi o wytropienie i schwytanie zbrodniarza lub złoczyńcy.

Otóż śledzący ćwiczących z za muru podwórzowego żandarmi i komisarz, wraz z „tajnym" postanowili *przejść przez mur*.

Najpierw miał przejść żandarm Kornicker z Kościana. W chwili, gdy już był jedną nogą za murem, nadszedłem. Żandarm się zawahał.

Nastąpiła ostra sprzeczka z komisarzem. Nie pomogło nawet, że powołałem się na obecność posła Dr. Alfr. Chłapowskiego, który lada chwili miał nadjechać z zebrania Kółka rolniczego w Kościanie.

Komisarz zdecydował — napaść. Słownik prawny nawet na najście policyi obcego podwórza — nad którym właściciel ma władzę policyjną najwyższą — nie ma innej nazwy.

Cofnąłem się, oświadczywszy komisarzowi, że ustępuję tylko wobec przemocy, zwróciwszy mu uwagę na *bezprawie*, jakiego się dopuszcza, i za które będzie musiał odpowiadać*).

*) Dodaję tutaj, że cofnąłem się tylko dla tego, że 1) ćwiczenia były skończone; 2) chciałem zobaczyć jak żandarmi i komisarz przechodzić będą przez mur 3 metry nieomal wysoki. Miałem atoli prawo przemocy tej się oprzeć — w danym razie najście odeprzeć siłą. Nie korzystałem z tego prawa, aby doświadczyć, czego dopuszcza się policya w obec 1) prywatnej własności, 2) w obec *nietykalności* (!) nawet posła. I otóż doświadczyłem, że nie mogąc przedostać się przez zamkniętą furtkę, nie mogąc rozbić kłódki — nie cofa się szukać sobie przejścia przez mur.

Za przykrość, jaką mi gotowało najście podwóza, i na którą narażałem właściciela, posła Dr. Alfreda Chłapowskiego, to miałem przynajmniej zadośćuczynienie, że widziałem, jak żandarm popychany przez swoich kolegów skrobał się przez mur, jak tą samą drogą udawał się komisarz — w mundurze oficera.

Widok to bądź co bądź niezwykły, niecodzienny.

Ćwiczenia były szczęśliwie skończone — komisarz właściwie przeszedł przez mur — „po musztardę po obiedzie." Jednak pomimo tego „zebranie" (!) rozwiązał i zawezwał obecnych do rozejścia.

Zawezwaniu temu jeszcze nie stało się zadość — wtem nadjeżdża p. Dr. Chłapowski.

„Jak pan tutaj wszedł"? — pyta komisarza.

„Nie mogąc przedostać się inaczej, przeszedłem przez mur".

„No, to ładny Pan dał przykład" — odpowiada p. Chłapowski. — „Teraz będę mógł kazać poznosić wszystkie ogrodzenia. Za takim przykładem chłopaki jak rysie skakać będą przez mur".

Pan Chłapowski stanowczo odmówił prośbie komisarza, ażeby obecnych wezwał do rozejścia. Wreszcie po długiem wahaniu, zostawiwszy żandarmów, wrócił komisarz z „tajnym" do Kościana.

Tak się odbyła „wspólna" lekcya gimnastyczna na Kurzejgórze. Były przeszkody ze strony policyi, ale nastąpiły właściwie za późno, bo po ukończeniu lekcyi.

Opis ten wierny lekcyi podaję dla tego, ponieważ często dziś towarzystwa — nie tylko sokolskie — bywają prześladowane przez policyę, nie otrzymują pozwolenia na zabawę. Zabawa, zgromadzenie, zebranie się urządzone w sposób, jaki powyżej podałem, nie potrzebują być policyi podane. Na zasadzie jakich praw, o tem pomówię innym razem.

Cała trudność polega na tem tylko, ażeby policya o niczem się nie dowiedziała.

Idzi Świtała.

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Warszawa, 19 sierpnia.

Krwawe wypadki, jakich widownią były w dniu 15-go b. m. Warszawa, Łódź, Płock i inne gubernialne miasta Królestwa, z wielu względów zwracają na siebie szczególną uwagę świata politycznego. Opis „krwawego dnia" w Królestwie podaję na innem miejscu, tu tylko dzielę się z czytelnikami „Pracy" paru uwagami, jakie się nasuwają na wspomnienie przebiegu tych tragicznych zdarzeń, kosztujących tyle życia i zdrowia ludzkiego. W skutkach też bezwątpienia nie przejdą bez śladu, a zmuszą rząd do zmiany swej polityki w Królestwie, po raz już niewiadomo który dowiodą mu całej bezcelowości utrzymywania u nas stanu wojennego. Jeżeli rząd ten nie skamieniał do reszty w swej zaciekłości, uporze, zaślepieniu i w barbarzyńskiej żądzy ucisku, ze zdarzeń środowych jedną, jedyną wyciągnąć mógł by dla siebie wskazówkę: oddanie natychmiast nadzoru nad porządkiem i bezpieczeństwem publicznem miasta i kraju w ręce społeczeństwa polskiego. Na miejsce policyi rosyjskiej, niedołężnej a znikczemniałej przy całym stosowanym u nas systemie najezdniczego rządu, na miejsce patroli wojskowych, niebezpieczniejszych dla ludności miasta od bandytów — rząd winien powołać gwardyę obywatelską, a losy Warszawy oddać w ręce komitetu obywatelskiego.

W Finlandyi milicya narodowa utrzymuje wzorowy porządek i bezpieczeństwo, u nas by mogła z łatwością spełniać swoje zadanie, korzystając z gorącego poparcia ludności kraju. Poparcia tego ludność, rzecz prosta, skąpi organom rządu rosyjskiego, a wszelkie zamachy rewolucyjne na policyę i urzędników witane są u nas mniej lub więcej głośnemi objawami zadowolenia tej nawet części ludności kraju, która z socyalistami i „rewolucyą" nic nie ma wspólnego. I słusznie, i sprawiedliwie.

Wszelki zamach na przedstawicieli rządu najezdniczego w Polsce ma siłą rzeczy tło narodowe, gdyż jest jednym z objawów walki, toczonej przez społeczeństwo polskie z najazdem rosyjskim. Aczkolwiek żywioły narodowe w Królestwie innych już dzisiaj metod walki się imają, a mordy żołnierzy i policyantów spełniane są przez partye socyalistyczne w imię haseł ogólniejszej natury, niemniej jednak niepodobna z punktu widzenia narodowego potępić walki, jaką socyalizm polski toczy z rządem rosyjskim. To też zamachy środowe nie znalazły słów potępienia w prasie warszawskiej, w opinii narodowej. Można wyrazić jedynie wątpliwość, czy życiem kilkudziesięciu stójkowych, żołnierzy i żandarmów okupić można śmierć i kalectwo dwustu z górą Bogu ducha winnych przechodniów. Dyszące żądzą zemsty żołdactwo moskiewskie nasyca krwiożercze swoje instykta masakrowaniem przypadkowo obecnej na miejscu zamachu publicz-

ności. Gdy sprawcy zamachu już dawno umknęli, wojsko salwami wzdłuż przepełnionych publicznością ulic sieje śmierć i kalectwo niewinnych ofiar. „Krwawy dzień“ kosztował Warszawę ich 300.

Bezsprzecznie pogromów wzbudzają sprężystość, odwaga i doskonała organizacya Polskiej Partyi Socyalistycznej, a raczej jej wydziału bojowego. Dokonany w dniu 15-go sierpnia pogrom policyi i wojska rozpoczął się jednocześnie w Warszawie, Łodzi, Radomiu, Płocku, Włocławku i Lublinie, a nosi charakter odwetu za liczne w czasach ostatnich aresztowania.

I dzień ten krwawy zbiegł się z dniem najwspanialszego w tym roku święta narodowo-religijnego naszego — poświęcenia odbudowanej świeżo Jasnogórskiej wieży.

Że uroczystość ta, połączona z dorocznym odpustem, wypadnie wspaniale — nikt o tem nie mógł wątpić. Przebieg jej jednak, liczebność przybyłych kompanii ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej Polskiej i podniosły nastrój pół milionowych tłumów przeszły wszelkie oczekiwania. Uroczystość Częstochowska była jedną wspaniałą manifestacyą narodowych i katolickich uczuć społeczeństwa naszego i zaświadczyła raz jeszcze o niezmiernem umiłowaniu Bogarodzicy, Królowej Korony Polskiej, przez naród polski. Była to chwila ogólnego narodowego podniesienia, dzień pełen królewskiego majestatu, było to zespolenie Polaków ze wszystkich dzielnic rozległej Ojczyzny naszej. Pół miliona pątników, 300 kompanii, prawie tyluż księży, 3 biskupów, 36 sztandarów narodowych z orłami srebrnemi na tle amarantowem, iluminacya elektryczna jasnogórskiego klasztoru — to wszystko razem składało się na całość wspaniałą, ogromem swoim imponującą, a dzień 15-go sierpnia 1906 roku przejdzie na wieki do historyi Polski. Oczom zebranych przedstawiła się piękna wieżyca wysokością swoją przewyższająca wszystkie budowle Polski. Zastąpiła miejsce dawniejszej, o której spaleniu wieść boleścią i żalem napełniła serca wiernych synów Polski. Budowa wieży obecnej trwała 6 lat; pomnikowe to dzieło wykonał budowniczy Szyler z Warszawy.

Sarmata.

Krwawy dzień w Królestwie.

Oto krótkie sprawozdanie ze wstrząsających wypadków z dnia 15-go sierpnia w Królestwie:

W Warszawie uzbrojeni w rewolwery i bomby rewolucyoniści zaatakowali prawie jednocześnie w różnych punktach miasta patrole wojskowe i policyjne. Pod kulami brauningów padali zabici i ranni zarówno policyanci posterunkowi, jak i towarzyszący im żołnierze. Pierwsze strzały padły na Woli, kładąc trupem stójkowego, w odpowiedzi na co patrol dał wzdłuż ulicy kilka salw karabinowych. Jednocześnie na rogu Gęsiej i Wolskiej zabito policyanta i dwóch żołnierzy, poczem niezwłocznie zamknięto ulice, poddając ścisłej rewizyi przechodniów.

Na Marszałkowskiej zaatakowali bojowcy posterunki, gdzie zamordowali lub ranili ciężko kilku żołnierzy, żandarmów i policyantów. Jednocześnie padli pod ciosami rewolucyonistów policyanci stójkowi, żołnierze i rewirowi na ul.: Nowym Świecie, Kruczej, Pawiej, Obożnej itd. i na przedmieściach. W odpowiedzi na to patrole dawały salwy w różnych kierunkach, raniąc lub zabijając mnóstwo niewinnych ofiar, wówczas gdy „bojowcy“ przeważnie uchodzili cało. Na ulicy Chłodnej rzucone zostały dwie bomby do kancelaryi cyrkułowej; wybuchły z ogłuszającym hukiem, raniąc ciężko żołnierza i dwóch rewirowych i niszcząc całe urządzenie lokalu. Ogółem w dniu tym zabito w Warszawie: 13 policyantów, 4 rewirowych, 7 żandarmów i 4 żołnierzy oraz raniono 8 policyantów, 2 rewirowych, 2 żandarmów i 6 żołnierzy. Z cywilnych zabito 13 mężczyzn i 2 kobiety, rany od kul i bagnetów i kolb odniosło 103 osoby — tyle wypadków zanotować zdołano, istotna jednak ich liczba jest bez porównania większa: wielu poszkodowanych leczy się w domach. — Rannych liczyć można do 200, a zabitych 80.

Podobne wypadki miały miejsce i w Łodzi, gdzie strzelano na ulicach, a do kancelaryi cyrkułu policyjnego rzucono 3 bomby, raniąc żołnierza i dwóch stójkowych, kozaka i rewirowego. Wojsko otoczyło ulice kordonem, dało kilka salw i mnóstwo osób aresztowało.

We *Włocławku* zastrzelono z rewolwerów policmajstra Mironowicza na ulicy i naczelnika straży ziemskiej Pietrowa we własnem mieszkaniu. W *Radomiu* rzucona do policyjnego cyrkułu bomba sprawiła szkody niewielkie, w *Płocku* na sygnał, dany trąbą, rewolucyoniści rzucili się na posterunki policyjne, raniąc 3, a zabijając 5-ciu policyantów, w *Lublinie* rzucona bomba na placu targowym nie spowodowała ofiar w ludziach, strzałami rewolwerowemi raniono 2 strażników i posłańca. Wreszcie — wypadek straszny wieńczy krwawe żniwo: w Warszawie na Woli wojsko, sprowokowane strzałami jakichś zbrodniarzy, dało kilka salw do kompanii pątników, idących z księdzem i chorągwiami z kościoła na odpust do Rokitna. Padło 11 ofiar.

Sarmata.

Zamach na gub. Skałona.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Warszawa, 20 sierpnia 1906.

Nie zdążyliśmy jeszcze ochłonąć z wrażeń, wywołanych wypadkami z d. 15-go b. m., gdy nowy zamach rewolucyonistów naszych, tym razem aż na generał-gubernatora kraju — Skałona, sprawił sensacyę niemałą. Okoliczności, towarzyszące zamachowi temu, są dość ciekawe, a pomysłowość, z jaką wykonany został (zresztą bez skutku) — zaiste niezwykłą.

Skałon, idąc za przykładem poprzednika swego w Warszawie, Maksymowicza, prawie, że nie opuszcza zamku, otoczonego silną strażą. Rządami swemi zasłużył się dosyć krajowi, którym kieruje przy pomocy najrozmaitszych „postanowień obowiązujących“ i praw wyjątkowych. Despotyzm i samowola jego jest tak wielką, że w prasie liberalnej rosyjskiej kraj nasz uzyskał miano „Skalonji,“ mające oznaczać despotyzm generał-gubernatora.

Jest bezpośrednio odpowiedzialnym, za wprowadzenie w Królestwie stanu wojennego, który ogłosił mocą swej władzy, a najzupełniej bezprawnie. Jest sprawcą utrzymywania tego stanu już od 8 miesięcy i wszystkich płynących z niego represyi, prześladowania prasy, aresztowań i gwałtów nad rewolucyonistami i ludnością. Skałon to zwykły stupajka, po za bagnetem i więzieniem nie widzący żadnych sposobów rządzenia krajem, nie rozumiejący wymagań i potrzeb kulturalnego społeczeństwa, niezdolny nawet zapewnić mu bezpieczeństwa przed anarchią i bandytyzmem. Pod jego rządami gwałty wojskowe i bezkarność grasującego na ulicach Warszawy żołdactwa urosły do zastraszających rozmiarów. Obawa Skałona przed zamachami była tak wielką, że jak twierdzą pogłoski, interesentów przyjmował, przegrodzony od nich dwoma pokojami i szeregiem żołnierzy. Wydany nań dawno już wyrok śmierci, z tej przyczyny nie mógł być wykonanym. Należało więc było w jakikolwiek sposób wywabić go z zamku. Dokonano tego w sposób dowcipny.

Przed kilku dniami do wicekonsula niemieckiego barona von Lerchenfelda, zgłosił się przebrany za oficera rewolucyonista i znieważył go czynnie. Zgodnie ze zwyczajami dyplomatycznemi, a z obawy przed obrażeniem „zaprzyjaźnionego mocarstwa“ (gdyby

przedstawiciel tegoż nie otrzymał zadośćuczynienia od rosyjskiego rządu), Skałon chcąc nie chcąc musiał wizytować obrażonego wicekonsula i przeprosić go za doznaną zniewagę. Przejazd zaś na ul. Natolińską, gdzie mieszka przedstawiciel Niemiec, możliwym jest tylko przez Koszykową; ta przeto ulica stała się widownią zamachu.

Rzucono bomby z balkonu pierwszego piętra, z mieszkania, wynajętego umyślnie przez rewolucyonistów. Pierwsza bomba nie wybuchła wcale, a dwie następne wybuchły wtedy, gdy powóz generał gubernatora i towarzyszący mu orszak kubańców były dość daleko. Od wstrząśnienia powietrza powylatywały szyby na znacznej przestrzeni, a odłamkami bomby zranieni zostali rewirowy i dwaj kozacy. Sam Skałon oprócz przestrachu, przypłacił wypadek głuchotą lewego ucha. Sprawcy zamachu zbiegli natychmiast i nie wykryła ich zarządzona rewizya wszystkich domów przy ul. Natolińskiej i części sąsiednich. Zawiadomiony o wypadku car przesłał Skałonowi telegraficznie wyrazy współczucia.

Według nadeszłych z Petersburga pogłosek, bliską jest chwila ogłoszenia w Warszawie stanu oblężenia. Zresztą, i dzisiaj zarządzone przez władze represye faktycznie wprowadzają ów stan. Ulice są zapełnione wojskiem, pełniącem służbę policyjną, rewizye przechodniów są częste i masowe, cukiernie i zakłady publiczne są zamykane o zmroku, zarówno i bramy. Masa ludzi wyjeżdża, znać przygnębienie, a lada powód wywołuje panikę. Na prowincyi, zwłaszcza w gub. warszawskiej, dokonano licznych napadów i mordów strażników i żandarmów.

Przeżywamy chwilę najgorętszego napięcia ruchu rewolucyjnego, co nie przeszkadza temu, że i ruch społeczny w kraju jest ożywiony, przejawiając się w zakładaniu licznych kół szkolnej Macierzy, do której tłumnie się garną wszystkie warstwy społeczeństwa naszego. Najdrobniejsze mieściny i osady już posiadają swe koła Macierzy, składki płyną obficie, jak na biedę dzisiejszą, a szkoły ludowe polskie i kursa dla analfabetów dorosłych powstają już tu i owdzie. Z radością i dumą zaznaczam ową energię, z jaką się społeczeństwo zabrało do pracy nad oświatą ludową. Garną się do niej i sami włościanie, organizując po wsiach nauczania zbiorowe. Wzrasta też liczba średnich nakładów naukowych polskich, bez praw, jak dotąd, niestety. Handlowych polskich szkół średnich Królestwo posiada z górą 30, prawa rządowe udzielone zostały ich wychowańcom tylko w drodze wyjątku na rok bieżący. Co się zaś tyczy Uniwersytetu, Politechniki i Weterynaryjnego Instytutu w Warszawie, to niema widoków na wznowienie w tych zakładach zajęć. B. studenci warszawscy tłumnie się zapisują do uniwersytetów rosyjskich, w których widoki wznowienia wykładów są większe.

Powszechnie w kraju zauważyć się daje podniesienie patryotycznego ducha i jego przejawów zewnętrznych. Uroczystość częstochowska była jednym z takich objawów. Banderye konne wystąpiły w kontuszach i żupanach, a stroje włościańskie z różnych okolic kraju też zauważyć się dały licznie. Wogóle widać dążności do przywrócenia stroju narodowego. Konfederatki zjawiają się coraz liczniej, w Radzymińskiem włościańska ludność nanowo przybierać zaczyna sukmany, pozarzucane od lat 20-tu. Dźwięki pieśni „Boże Coś Polskę" rozlegają się przy uroczystościach kościelnych. Obywatelstwa prawo zyskują coraz to częściej barwy i sztandary narodowe. Obfitowała w nie uroczystość Jasnogórska. Nie przeszkadzało to jednak, by na komorze w Herbach władze rosyjskie odebrały narodowy sztandar pielgrzymce poznańskiej. Wstrzymaniu również uległy należące do pielgrzymki aparaty kościelne.

Sarmata.

Wycieczka „Sokoła" do Zagrzubia.

(Własna korespondencya „Pracy.")

Lwów, 20 sierpnia 1906.

Mimo wakacyjnego spokoju i martwoty ruch w towarzystwach sokolich znaczny. W gniazdach okręgowych i w związku praca prawie zdwojona: ożywiona korespondencya, posiedzenia, układanie planów ćwiczeń gimnastycznych, a we wszystkiem prawie gorączkowy pospiech. Powodem tego jest ta okoliczność, że prawie za tydzień nastąpi wyjazd dużej wycieczki do Zagrzebia. Jak na nasze stosunki, które nie pozwalają na rozrzutność, udział uczestników tej wyprawy dość liczny. Zgłosiło się bowiem w strojach 325 Sokołów. Z tego weźmie udział w ćwiczeniach wolnych 182, do ćwiczeń lancami stanie 197, a do ćwiczeń we wzorowych zastępach 88, to znaczy, jedenaście pełnych zastępów. Jest to zatem wcale pokaźna liczba. Część wysyła związek, a mianowicie jeden zastęp na każdy okręg na swój koszt. Niektóre okręgi postawiły także po jednym zastępie na swój koszt. Reszta jedzie na koszt własny.

Sokół chorwacki postanowił ten zlot jeszcze w zeszłym roku, ale stosunki polityczne w domu nie pozwoliły na ustalenie terminu prawie do marca br., tak, że nasz związek powziął już był uchwałę nie brać udziału w tem święcie sokołem, ponieważ mało zostawało czasu na potrzebne przygotowania. Było to tem więcej do usprawiedliwienia, że przyszła wiadomość, iż zlot ten odbyć się miał w połowie lipca. Wreszcie ustalili Chorwaci ten termin na pierwsze dwa dni września i przysłali osobnego posła do Lwowa w osobie wiceprezesa swego związku dra Cara ze zaproszeniem. Poseł ten oświadczył, iż Chorwaci uważaliby całą swą uroczystość za nieudaną, gdyby na niej Polaków nie było. Cofnięto też poprzednią uchwałę i rozesłano wici na zlot. Odzew, jaki związek nasz usłyszał u swej braci sokolej, przeszedł oczekiwania i udział nasz będzie wcale znaczny, jeżeli się zważy, że na zagrzebskiem boisku może stanąć tylko 1088 gimnastyków a w tem mieścić się będzie kilka setek Czechów, którzy w przeszło tysięcznej drużynie wyruszają na tę wycieczkę.

W ćwiczeniach wezmą udział nadto Słoweńcy, Bułgarzy i Serbowie. Każdy z tych związków będzie się popisywał osobnemi ćwiczeniami. My przedstawimy nasze lance układu krakowskiego naczelnika Rucińskiego, do których przygotował on nowe bardzo piękne wejście. Kolumna nasza pokryje niezawodnie całe boisko i ten punkt ćwiczeń będzie niezawodnie jednym z najpiękniejszych, bo będzie silnie wyróżniał się od stale używanych ćwiczeń, w których dzisiaj już tylko masa ćwiczących stanowi o sile wrażenia.

Bardzo piękny i pomysłowy gościniec powiezą nasi Sokoli dla chorwackich. Jest to już przyjętym zwyczajem, że związki ofiarują sobie w czasie odwiedzin jakieś pamiątki. Chorwaci przywieźli nam w roku 1903 piękne szarfy do sztandaru związkowego. Odwzajemniając się wiozą nasi tego roku lancę, piękną, bogatą, ale prawdziwą lancę. Odrobiona będzie na wzór lanc używanych w roku 1831 z drzewa jesionowego. Grot i dolne okucie będzie z kutego srebra, chorągiewka z materyi, jakiej się używa na sztandary. Drzewce wyżej chwytu, a więc w górnej połowie, ujęte będzie w srebrną gałązkę lipową owiązaną srebrną wstęgą, której końce otaczać będą drzewce. — Na wstędze będzie umieszczony na emaliowanej na amarantowo tarczy orzeł polski i napis: Sokolstwo polskie sokolstwu chorwackiemu. Lanca zamknięta będzie w pudle.

Polacy pojadą przez Węgry na Peszt, gdzie zatrzymają się jeden dzień tj. 31-go bm. dla oglądnięcia miasta. —

Pierwotnie istniał zamiar odbycia tam publicznych ćwiczeń celem zainteresowania tamtejszej polonii do założenia gniazda sokolego. Ponieważ jednak wskutek odwlóczeń terminu przez Chorwatów trudno się było porozumieć z peszteńskim klubem polskim w tej sprawie zaniedbano tej myśli. Skutkiem tego pobyt w Peszcie będzie zupełnie prywatny, sokoli nie zabierają strojów. Szkoda, bo pod tym względem należy nam naśladować Czechów bezwarunkowo. Oni nie pominą żadnej sposobności , aby nie zaagitować na korzyść swego sokolstwa. Mają też i w Peszcie Sokoła swego i z powrotem ze Zagrzebia odprawią wielką uroczystość z ćwiczeniami. Oni nie żałują, ani trudu, ani pieniędzy i jadą z ćwiczeniami i agitacyą po zlocie zagrzebskim aż do Czarnogóry. Tą drogą myśmy bezwarunkowo kroczyć powinni, bo zyskujemy wszędzie punkt oparcia dla siebie.

W Zagrzebiu, do którego Polacy pojadą 1-go września, t. j. w sobotę wieczorem, nastąpi powitanie na dworcu, a po zajęciu przeznaczonych kwater udadzą się wszyscy na zebranie towarzyskie połączone z koncertem chorwackich towarzystw śpiewackich i grajków na „tamburiczach". Są to instrumenta podobne do gitar lub mandolin. W niedzielę, tj. 2-go września nastąpi po próbach, które się odbędą wczas rano, uroczysty pochód przez miasto, w czasie którego odbędzie się powitanie sokolstwa przez przedstawicieli miasta i kraju. W pochodzie wyznaczono miejsce i ruskiemu Sokołowi, którego zaproszono. Jak się jednak dowiadujemy, nie wezmą oni udziału w tej uroczystości. Powodem, zdaje się, jest istnienie Sokoła ruskiego prawie na papierze. Jest tych towarzystw kilka w kraju, ale żadne z nich nie daje znaku życia. Nie nęci ich to, co wymaga pewnego wysiłku a nie daje materyalnych korzyści.

Po południu tego dnia będą pierwsze ćwiczenia publiczne, na których pokażą się nasze lance i chorwacki narodowy turniej zwany „moreszką," nadto ćwiczenia wolne wszystkich Sokołów, ćwiczenia maczugami Czechów i piramidy stawiane przez Słoweńców. Wieczorem zabawy i przedstawienie teatralne.

Drugi dzień rano poświęcony zawodom, próbom i zwiedzaniu miasta, a po południu ponowne ćwiczenia gimnastyczne, w których weźmie udział młodzież chorwacka; a wieczorem wielka zabawa ludowa na wystawie. Równocześnie bowiem otwartą będzie wystawa urządzeń hygienicznych i sokolich. Nasz związek posela na nią wszystkie swe wydawnictwa.

Na tem kończy się właściwa uroczystość.

Kto zmuszony brakiem wolnego czasu, nie może się dłużej zatrzymać na pięknem południu, wraca najkrótszemi drogami, i reszta szczęśliwców wolnych pojedzie zapewne nad modry Adriatyk, aby zobaczyć czy port w Rjece będący dumą państwa węgierskiego, czy uroczą Abazyę, do której co godzinę z Rjeki dążą parowce, czy też Tryest i cudowne Miramare, a stamtąd królowę mórz, Wenecyę.

Żywimy tu wszyscy i zdaje się nie płonną nadzieję, że Was tam także zobaczymy. Idąc teraz pod sztandarem naszego związku ulicami Zagrzebia, przypomnimy sobie żywo niedawną a tak piękną chwilę, kiedy złączone Sokolstwo polskie szło ulicami Pragi pod poznańskim sztandarem. A będą tam niezawodnie i przedstawiciele Sokolstwa z Królestwa.

Na zakończenie tego listu dodam jeszcze, że południowi Słowianie powiązali swe Sokolstwo w Związki. Najsilniejszym jest związek Chorwatów, mający pod swemi rozkazami 140 towarzystw. Przewodniczy mu dramaturg młody, ale już między swymi głośny Mileticz, zastępcą jego jest wspomniany Car, adwokat, a sekretarzem dr. Buczar, nauczyciel gimnazyalny, organizator właściwy Sokolstwa i przyjaciel Polaków. Słoweński związek liczy także do 40 towarzystw. Bułgarzy mają właściwie jedno wielkie towarzystwo pod nazwą „Junak" (znaczy to samo co i u nas). Tak samo Serbowie związani są w jedno towarzystwo zwane „Duszan silny" — silny duchem. *Bes.*

Wychowanie narodowe.

Nauka pisania i czytania ma być wstępem do wychowania narodowego.

Na czem polega wychowanie narodowe?

Oto każdy przyszły obywatel narodu powinien znać gruntownie nie tylko język swój, ale i przeszłość swego narodu, jego zalety i wady, tryumfy i słabości.

Powinien w miarę swej inteligencyi i zamożności czynny brać udział w każdej pracy, której przewodniczy myśl narodowa.

Jan Jakób Rousseau, filozof francuski, jeden z najwybitniejszych umysłów stulecia, zastanawiając się w jednem ze swych dzieł: „Contrat social. Considerations sur la Pologne, nad przyczynami wzrostu, potęgi i upadku Polski, za najpotężniejszy środek odrodzenia narodu uważał wychowanie młodzieży w duchu narodowym.

Oto jego program wychowania:

„Wychowanie powinno nadać duszom formę narodową i tak pokierować ich upodobaniami, aby były patryotyczne ze skłonności i z konieczności.

„Chciałbym, aby młody Polak ucząc się czytać, czytał wiadomości o swym kraju, aby w dziesiątym roku znał płody swego kraju; w dwunastym miasta jego i historyczne pamiątki; — w piętnastym miał wiadomości historyi, w szesnastym roku zaznajomił się z prawodawstwem. Niech w całej przeszłości Polski nie ma ani jednego wzniosłego czynu, ani jednego sławnego nazwiska, któregoby nie znał i nie umiał zdać sobie sprawy."

W dalszym ciągu tych cennych, a dziwnie trafnych uwag Rousseau wypowiada zdanie, że nauczycielami, którzyby potrafili dać młodzieży wychowanie według takiego programu, mogą oczywiście być tylko Polacy.

Myśl godna filozofa, ale zarazem tak prosta i jasna, że i prostaczek ją zrozumie.

Tym powołanym, choć nie zawodowym nauczycielem swego dziecka, jesteś ty ojcze Polaku.

Szkoła w dzieciństwie, służba publiczna w wieku dojrzałym, kształcą umysł, w różnorodnych kierunkach, ale formę narodową może nadać duszom młodym tylko domowe wychowanie w duchu narodowym.

Zkądże zaczerpnie dziecko twoje znajomość, poszanowanie i miłość rzeczy ojczystych, jeżeli nie w twoim przykładzie?

Czytać i słyszeć jaknajwięcej o rzeczach ojczystych powinien młody Polak karmiony w szkole niemiecką kulturą i tresowany pruskim patryotyzmem.

Pomyślmy tylko, ile trudu i czasu zużywa szkoła na naukę niemieckiego języka i jak umiejętnie za pomocą tejże nauki zaszczepia patryotyzm nieustannie i konsekwentnie. Wiersze i pieśni patryotyczne, opowiadania o wybitnych mężach i pamiętnych wypadkach, uroczystości szkolne, zabawy, przedstawienia teatralne wszystko nastrojone na nutę patryotyczną, wszystko, zdaje się przemawiać do zmysłów i wyobraźni dziecięcych wielkim głosem:

Deutschland, Deutschland über alles!

Zaiste, system ten jest wcieleniem ideału wychowania narodowego, o jakiem myślał Rousseau.

Jeżeli więc chcemy zachować młodzież naszą od wynarodowienia, czyńmy w naszym szczupłym zakresie to, co czyni szkoła na szeroką skalę: dajmy jej taki zasób wrażeń patryotycz-

nych w nieprzerwanym szeregu — wzbudzajmy już w dzieciach ambicyą narodową, aby były patryotyczne „ze skłonności i z konieczności.“

Że te nawoływania nasze nie są szarą teoryą i pustą szermierką słów, udowodnimy praktycznymi przykładami.

M. G.

Z Westfalii i Nadrenii.

Sokoli a policya.

Kastrop, dnia 15 sierpnia 1906.

Szanowna Redakcyo!

Donoszę Wam o następującym ciekawym zdarzeniu:

Dnia 11 lutego b. r. odbyło się zebranie Sokoła w Kastropie. Na zebraniu tem byli także prezes okręgowy dd. Bern. Żmudziński i Ludwik Gbiorczyk z Sodingen, skarbnik okręgu IX-go.

Chodziło o ważną sprawę. Do zarządu „Sokoła“ kastropskiego napisał bowiem d. Andrzej Matuszak, członek socyalistycznego związku robotniczego list, że byłoby mu bardzo przykro, gdyby go gniazdo wykreśliło z listy swych członków z powodu tej przynależności. (Widocznie gniazdo zwróciło się do swoich członków w tej sprawie. Czy gniazdo żądało, aby wystąpili z obcych organizacyi? Red.)

Chodziło więc o sprawę przynależności do obcych towarzystw. Głos w tej sprawie zabrał prezes okręgowy i powiedział, że każdy, kto w *dzisiejszych czasach należy do obcych organizacyi kręci dla siebie i dla rodaków bicz, można go uważać za straconego dla narodowości naszej. Zasługuje on na miano zdrajcy.*

Mowa była nie o poszczególnych ludziach — nie o jednostkach, lecz ogólnie.

To przekonanie i pogląd d. Żmudzińskiego potwierdził d. Gbiorczyk.

Najciekawsze jest jednakże to, że urzędnik policyjny dozorujący to zebranie po cywilnemu z policyantem — dopatrzył się w tych mowach dla siebie *obrazy*. Pan ten coprawda nazywał się kiedyś podobno Nibojewski — obecnie zaś nazywa się Niebert.

Oczywiście, że p. N. nie omieszkał obydwóch mówców podać do prokuratora. I najboleśniejsze jest to, że sądy skazały ich na bardzo przykre kary. Zważmy atoli, że chodziło tu o obrazę urzędników.

Otóż pomimo 5 świadków, którzy zaprzysięgli, że ani d. Żm. ani d. Gb. nie mieli na myśli p. Nieberta — sąd ławniczy w Kastropie skazał ich na kary pieniężne, d. Żmudzińskiego na 75 mk., d. Gbiorczyka na 30 mk. Prokurator stawił wniosek o 3 miesiące.

Wyrokiem tym nie zadowolili się ani oskarżeni ani prokurator. Niestety izba karna dortmundzka wyrok wydała ostrzejszy. Termin odbył się dnia 13 b. m. — i skazani zostali d. Żmudziński na 3 tygodnie, d. Gbiorczyk na tydzień więzienia.

Oskarżeni wnieśli o rewizyę.

Tak to policya walczy ze sokołami. Oskarżeni pomimo wszystkiego wcale nie upadają na duchu. Prześladowanie za swą polskość uważać będą za męczeństwo i zaszczyt i zniosą je cierpliwie.

Narodowiec.

Od Redakcyi: Szczerze ubolewamy nad wyrokiem wydanym na znanych we Westfalii tęgich i szczerze patryotycznych rodaków naszych. Tem ich pocieszamy, że więzienie za polskość nie jest hańbą, nie jest wstydem — jest raczej dowodem, że więzieni czynem swój patryotyzm umieją potwierdzić — a to jest zaszczyt dla nich.

Mamy więc nadzieję, że d. Żmudzińskiego i Gbiorczyka ze strony rodaków naszych na obczyźnie spotykać będzie tem większe uznanie i zaufanie.

* * *

Horsthausen, 21. 8. 06.

Jedno z tutejszych pism niemieckich podnosi z uznaniem działalność komisyi kolonizacyjnej na Wschodzie, opisuje jak to chłopi niemieccy rychło bogacić się mogą na tej złotodajnej polskiej ziemi, podając przykład jednego Fryca westfalskiego, zamieszkałego dziś w gminie „Owieschön“ (?) pod Gnieznem, który dostawszy od komisyi kolonizacyjnej kilkadziesiąt mórg średniego gruntu, wszelkie zabudowania itd. jest dziś sobie wcale majętnym gospodarzem, posiadającym parę koni, kilka sztuk bydła rogatego, oraz liczną trzodę chlewną. Pismo to nawołuje swych Michałków do osiedlenia się „im Osten“.

Czytając artykuł ten niemieckiej gazety, a mając przed sobą broszurkę wydaną przez „Straż“ z mapą wykazującą jak daleko niemczyzna wżarła się w nasze ciało słowiańskie, niszcząc ogniem i mieczem, tępiąc wszystkie jego narody od Łaby aż do Warty, — możemy sprawę osądzić należycie. My Polacy jedynie oparliśmy się jakoby mur przeciw nawale germańskiej. Niestety ten mur znaczy krwawe luki przeboju germańskiego, których gla ćwki wysunięte, aż po za Warszawę. — Smutno nad wyraz, jeśli sobie uprzytomnimy, że winę ponosi tutaj wyłącznie nasza polska ospałość, lekceważenie sprawy, i ta niczem nieuzasadniona uprzejmość granicząca wprost z uległością dla obcych. — Nie chcę się o tej tak smutnej sprawie szerzej rozpisywać, gdyż mam inną myśl na celu, pragnę mianowicie dać krótki obrazek z życia naszych wychodźców.

W tutejszej gminie zamieszkiwał i pracował od dłuższego czasu niejakiś obarczony liczną rodziną — Lewandowski, pochodzący z Kujaw. Otóż przy pracy został jakiemiś szkodliwemi wyziewami zatruty. Choroba powaliła go na łoże boleści, gdzie przeleżał przeszło trzy kwartały; a że nieszczęście samo nigdy nie przychodzi, tak i tutaj kasa chorych odmawia wsparcia po upływie swego czasu, żyje więc z tego, co mu gmina udzieli. W ostatnim czasie umiera mu jedno z dzieci, w zamian przybywa znowu jeden potomek, matka wstaje w kilka dni po swej słabości, lecz nędza i rozpacz — zabiły ją — pewnego wieczora umiera — rażona paraliżem. Zwłoki odprowadzono na miejsce wiecznego spoczynku, otoczone gromadką drobnych dzieci. Smutny zaiste był to pogrzeb, lecz smutniejszem było to, co dalej tę nieszczęśliwą rodzinę spotkało. W kilka dni później umiera nieszczęśliwy ojciec, pozostają tylko biedne i opuszczone sieroty. Najstarsze 15 lat liczące dziewczę idzie w służbę do obcych, najmłodsze niemowlę dzieli los ojca i matki, a reszta czworo drobnych dzieci tułając się kilka dni tu i owdzie, idzie pod opiekę policyi pruskiej... Jaka to opieka, nie trudno odgadnąć.

Patrząc na te biedactwa sierocemi łzami zalane, wstępujące w mury gmachu policyjnego — stracone dla polskości na zawsze — nie można się było oprzeć bolesnemu uczuciu. Mimowoli przypominają się słowa Maryi Konopnickiej:

O Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze...
My tylko sami, pomiędzy obcemi
Mamy być wieczni tułacze?...

Taki to jest los nas Polaków w państwie wychwalonej kultury. — Tam w kraju na naszej kochanej ziemi Fryce rozpościerają się i żyją wygodnie, podczas gdy lud polski tułać się musi na obczyźnie, wykonując prace najgorszego gatunku, byleby tylko jako tako mógł się wyżywić i to w wielkiej mierze z własnej winy. Wprawdzie nie wszyscy by potrzebowali tułać się na obczyźnie (o tem pomówię innym razem). Dużo zwłaszcza zawinili zdrajcy sprzedawczycy. Gdyby taki sprzedawczyk uprzytomnił sobie powyższy obrazek w chwili przewłaszczenia ziemi na rzecz kolonizacyi, czyby mu nie zadrżała ręka?...

B. Kujawiak.

„Straż."

O zadaniach Sekcyi ekonomicznej Straży.

Niestety o celach tej Sekcyi Straży w społeczeństwie naszem błędne poniekąd panuje pojęcie, dla tego korzystnem będzie, sprawę tę wyświetlić.

Często spotykamy się z zapatrywaniem, że Sekcya winna udzielać zapomogi każdemu, który bez własnej winy popadł w nieszczęście, lub też ma zamiar, nie posiadając dostatecznych funduszów, się usamodzielnić, lub też powiększyć swój interes.

Ci wszyscy zapominają o tem, że do wypełnienia podobnych zadań ogromnych potrzeba kapitałów, których niestety Straż nie ma do dyspozycyi. Nie zważa się także na to, że bardzo często poznanie osobistych kwalifikacyi zgłaszającego się o pomoc z nadzwyczajnemi połączone jest trudnościami, a często pomimo wszelkich ostrożności niegodnemu zapomoga udzieloną być może. A przecież pieniądze, któremi Straż dysponuje, to grosz publiczny, za którego zużytkowanie Straż odpowiedzialną jest przed całem społeczeństwem! Pomijając wymienione trudności, musimy zważać na to, że darowizny i zapomogi tego rodzaju, jakie udziela n. p. Towarzystwo popierania niemczyzny na kresach wschodnich, przyczyniają się do demoralizacyi społeczeństwa, której Straż właśnie ma zapobiegać.

Dla tego też na ostatniem zebraniu starostów zmieniono regulamin, nakładający każdej Sekcyi ścisły program działalności. Leży to w interesie członków Straży, którzy będą wiedzieli, z jakiemi sprawami udawać się mają do Straży, ale także w interesie Sekcyi samych, będących dotychczas obarczonemi najrozmaitszemi sprawami, nie należącemi do ich kompetencyi.

Zadaniem Sekcyi ekonomicznej jest:

1) zbieranie materyałów statystycznych tyczących rólnictwa, kupiectwa, przemysłu, rzemiosł i stósunków robotniczych.
2) informowanie społeczeństwa o ekonomicznych warunkach i potrzebach rólnictwa, kupiectwa, przemysłu i rzemiósł celem podniesienia siły produkcyjnej i zarobkowej społeczeństwa.
3) Wpływanie na opinię publiczną w sprawach powyższych, mianowicie ze względu na hasło: Swój do swego!
4) udzielanie wskazówek i ułatwianie kredytu jednostkom, gdzie tego wymaga interes ogółu.

Każdy przyzna, że powyższe zadania nie są bezbrzeżnemi, że Sekcya im sprostać może naturalnie przy pomocy społeczeństwa odnośnie członków Straży. Np. zbieranie danych statystycznych może się li tylko odbywać z współudziałem osób chętnych. Sekcya zajmuje się obecnie statystyką rzemieślniczą, ażeby wykazać stan i położenie naszego rzemiosła, ażeby wyśledzić, które zawody u nas są dostatecznie w ogólności i poszczególnych miastach reprezentowane, które są zyskowne i którym młodzież nasza poświęcać się winna. Z wszystkich dalszych punktów programowych widzimy szczerą chęć zainteresowania się naszemi sprawami ekonomicznemi, które pod niejednym względem wymagają koniecznej naprawy. Nad nią winno całe społeczeństwo wspólnie z Sekcyą ekonomiczną pracować, a poszczególne zawodowe Towarzystwa winny w niej szukać i znaleźć sprzymierzyńca i przyjaciela, pracującego obok nich na ogólnej niwie społecznej.

Sekcya ekonomiczna Straży.

Ruch w Towarzystwach.

— *Poznań.* Zebranie Tow. opieki nad służbą żeńską obyło się w ub. piątek na sali Domu katolickiego. Zebranie zagaił ks. Kłos. Ponieważ jednakże ogłoszenie zebrania nie opiewało dość jasno, kto się miał zebrać: pracodawczynie czy służące — i w większej liczbie zebrały się służące, musiał zostać zmieniony pierwotny program, ułożony dla pracodawczyń. Referat o „potrzebie łączenia się służby żeńskiej w towarzystwo" wygłosił ks. Adamski, zapowiadając otwarcie schroniska dla służących na 1 października b. r. Równocześnie otwarte zostanie biuro stręczeń — bezpłatne.

Myśmy już raz zaznaczyli, że powstanie takiego stowarzyszenia witamy sympatycznie, towarzystwo uważamy za potrzebne i spodziewamy się wiele pożytku odeń zwłaszcza dla młodszych i niedoświadczonych sług. To też cieszy nas, że panny służące tak licznie i z takim zapałem podążyły na to zebranie. Oby zebranie pracodawczyń, zapowiedziane za 2 do 3 tygodni było niemniej liczne.

— *Poznań.* Tow. żeńskie *„Promień"* urządza w niedzielę dnia 25 sierpnia zabawę letnią w *Urbanowie.* Zabawa będzie urozmaicona różnemi grami towarzyskiemi oraz pocztą — później tańce. Koncert wykona orkiestra Towarzystwa Muzycznego.

— *Poznań.* Towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych „Wyzwolenie". W niedzielę 26 sierpnia wycieczka do lasku przy Szelągu. Na miejscu gry towarzyskie i wylosowanie przedmiotów. Zbór o 3-ciej po południu przy ul. Stawnej. Gościom, przedstawionym przez członków, przystęp dozwolony. O liczny udział prosi

Zarząd „Wyzwolenia".

— *Poznań. Na cel dobroczynny!* „Pożegnanie lata," oto tytuł zabawy, zapowiedzianej na niedzielę 2-go września w Urbanowie przez Towarzystwo dziennikarzy. Jest to pierwsza zabawa wymienionego młodego Towarzystwa, a dochód z niej przeznaczony na założenie kasy dla wdów i sierót po zmarłych członkach. Cel tak wzniosły powinien ściągnąć do ogrodu p. Kuczyńskiego jak najliczniejszą publiczność, tem więcej, że Towarzystwo unormowało cenę wstępu na 30 fen. tylko. Loterya fantowa zaopatrzona jest wyłącznie w cenne i liczne przedmioty, tak że szanse wygranych są nader korzystne. Że wymienimy tylko oryginalne obrazy na płótnie, książki rozmaitej treści, zwierzynę, płody rolnicze, drób i t. d. Oprócz tego czekają Szan. Publiczność różne niespodzianki, które podamy następnie.

— *Zjazd śpiewaków w Wilkowyi* (powiat jarociński) odbył się w niedzielę, a był to pierwszy tego rodzaju zjazd na wsi. Przebieg zjazdu był podniosły. Udział w zjeździe był wielki. Najwięcej członków dostarczyły Koła śpiewackie z Jarocina i Poznania, skąd nawet nadobne śpiewaczki przybyły. Zjazd rozpoczął się nabożeństwem w kościele parafialnym, które odprawił ks. dziekan Podlewski, proboszcz miejscowy. Po pauzie odbył się o godz. 1 pochód ze sztandarami znów do kościoła, gdzie odśpiewano „Bogarodzicę", poczem ks. dziekan Podlewski prześlicznie przemówił do uczestników na temat pielęgnowania pieśni. Przy otwarciu zjazdu przemówił pierwszy p. Barwicki z Jarocina, prezes okręgowy, witając uczestników. Poczem przemówił p. mecenas Drwęski z Poznania, prezes Związku Kół Śpiewackich, a w końcu powitał zjazd p. Rybicki, prezes miejscowego Kółka. Śpiewy odbyły się według programu. Premią związkową otrzymał Kotlin, a okręgową Koźmin, zaś premią Koła wilkowyjskiego pozyskał Poznań. Lud wiejski brał żywy i czynny udział w tym zjeździe.

— *Szamotuły*, dnia 20. 8. 06. Towarzystwo śpiewu *„Lutnia"* urządziło wczoraj koncert w ogrodzie p. Gieremka, przybyło też Tow. śpiewu z Pniew. Podziwialiśmy ten piękny śpiew, wykonany pod dyrekcyą Czcigodnego ks. Putza, który pokazał co można szczerą chęcią zdziałać, jeżeli się z ochotą i poświęceniem jakiejś sprawie odda. Tow. „Lutnia" istnieje dopiero od dwóch lat, a zrobiło w śpiewie takie postępy, jakby istniało od lat dziesięciu. Wszystkie występy były gorąco oklaskiwane. ale najbardziej podobał się śpiew p. t. „Z Mazowiecka" z towarzyszeniem orkiestry, oklaskom nie było koń-

ca, i Sz. ks. Dyrygent musiał na usilne prośby jeszcze raz go powtórzyć. Ale bo też pieśń nasza polska potężnie działa na umysły w tych smutnych czasach ucisku i prześladowania. I nie zginie ten naród, który pieśń ukochał, który pielęgnuje ten żnicz św. czy to w Towarzystwach, czy rodzinach lub jednostkach. — Chociaż powietrze nie bardzo dopisało, publiczności zebrało się bardzo dużo, tak z okolicy jak i z miasta, z radością widzieliśmy kilkunastu kapłanów i z dalszych okolic, na których barkach dzisiaj spoczywa opieka nad najdroższemi skarbami naszemi, nad mową i pieśnią naszą. Oni niezmordowani pracują i w kościołach i po Towarzystwach i Związkach naszych. Dowód mieliśmy wczoraj podziwiając tę zabiegliwość ks. Putza, tu przyjmuje gości, już widzimy go jak dyryguje śpiewami, jest wszędzie, z każdym coś pomówi, wszędzie go pełno, i niejako swoją rozpromienioną twarzą chce to słońce zawstydzić, które musiało być wczoraj zachmurzone. Przykład to doprawdy godny do naśladowania. — Ale co podpadło każdemu, to że tych naszych obywateli ziemskich ze świeczką w biały dzień by się nie dopatrzyło. Oni chcą wszędzie przodować, ale gdy mają z ludem się złączyć na wspólnych zabawach, tam ich nie ma. To dobre dla księży, plenipotentów, urzędników gospodarczych i mieszczan; ale przyjdzie czas, gdy i to się zmieni. Nie dziw to zresztą, bo wielu z nich ma coś na sumieniu, ten może nie koniecznie polski przemysł popiera, drugi kawał ziemi zaprzepaścił kolonizacyi, trzeci zawiadowcę nad lasami Niemca leśnika wziął, i ubliżyło by mu, żeby z „łykami“ miał się spotykać i o nich ocierać, ów by polską pieśń usłyszał, zamiast modnej francuzczyzny, i tak każdego coś odstrasza. Ale niech się zasklepiają w swojej dumie. Za to mniejsze obywatelstwo, mieszczanie i lud coraz więcej czują potrzebę łączenia się i to jest opoka, o którą zakusy naszych najserdeczniejszych się rozbijają. — Muszę też pochwałę oddać śpiewakom z Pniew, którzy chociaż dwa razy wystąpili, zasłużyli na gorące oklaski; byli też na każdym kroku mile i serdecznie przyjmowani. — Wieczorem odpalono ognie sztuczne, i po zaśpiewaniu przez wszystkich gości „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ każdy z błogiem uczuciem rozchodził się do domu z tą nadzieją, że Towarzystwo „Lutnia“ coraz lepiej będzie się rozwijać i raz po raz taką biesiadą duchową uraczy szersze społeczeństwo. Oby Bóg jaknajdłużej zachował Czcig. ks. Putza przy czerstwem zdrowiu, i żeby jak najdłużej w parafii szamotulskiej z pożytkiem pracował. — Potem na sali bawiono się ochoczo do 2-giej po północy, tak że każdy mógł wzorowo do pracy stanąć.

Podniosła ta uroczystość na długo pozostanie każdemu uczestnikowi w pamięci. *Uczestnik.*

— *W Rozalinie* pod Poznaniem odbył się na Lusowko i okolicę w niedzielę dnia 12-go b. m. wiec „Straży“ staraniem p. Z. Plucińskiego, starosty na powiat poznański.

Wiecowników zebrało się około 300. Prócz zwykłych mów, zabrał głos p. Jandy, komisarz „Straży“ w Tarnowie, wskazując na konieczność nauki religii w języku ojczystym.

Wiecownicy z powagą i zrozumieniem rzeczy przemówień wysłuchali. Znać było, że odczuwają potrzebę zbierania się częstego, celem omawiania spraw naszych narodowych.

— *W Dziedzicach,* w pow. pszczyńskim na G. Śl. odbył się w niedzielę dnia 12-go b. m. wiec „Straży“. Mimo straszliwej burzy zebrała się pokaźna liczba wiecowników.

Starotsa „Straży“ na powiat pszczyński p. profesor Badura w krótkiem przemówieniu rozwiódł się nad ważnością organizowania społeczeństwa w jedną całość, żeby tem skuteczniej odeprzeć wszelkie zakusy germańskie i hakatystyczne. Przedstawiwszy cele i zadania Straży, wezwał do najliczniejszego przystępowania.

Następny mówca p. Wiera objaśniał wiecowników wyczerpująco o systematycznem parciu Niemców na wschód, przedstawiając jasno wszelkie krzywdy nam wyrządzane.

Po nim przemawiał redaktor „Górnoślązaka“ p. Wyleżych. W przeszło półgodzinnej mowie rozwodził się o przeszłej i teraźniejszej kulturze polskiej, porównując ją z niemiecką a wykazując przykładami, że kultura polska w niczem nie ustępuje kulturze prusko niemieckiej.

Wszystkim mówcom podziękowano oklaskami.

Na członków „Straży“ zapisało się kilkudziesięciu wiecowników.

— *W Bytomiu* (G. Śl.) odbyło się walne zebranie „Związku wzajemnej pomocy“ dnia 12-go b. m. Przewodniczył p. Królik, zastępców było 108.

Ze sprawozdania wynika, że z obrony prawnej „Związku“ korzystało w 5 kancelaryach wielu członków. 3 sekretarzy broniło 13779 spraw.

Główny kasyer p. Ligoń odczytał sprawozdanie kasowe za rok 1905/1906. Według tego „Związek“ ma czystego majątku 114 015 mk. 25 fen. Przychód w kasie związkowej wynosi 75 436 marek 16 fen., rozchód tejże kasy 24 942 marek 68 fen., kasa pogrzebowa miała przychodu 74 965 mk. 86 fen., rozchodu 15 444 mk. 47 fen., kasa na bezrobocie przychodu 5 659 mk. 14 fen., rozchodu 1 658 mk. 76 fen. Wzrost gotówki wynosił 3 833 marek 24 fen „Związek“ wypłacił do lipca 1906 za 2074 wypadków śmierci od początku istnienia 69 558 mk. 61 fen., w roku ubiegłym za 170 wypadków śmierci 6 605 mk. 30 fen.

Długa dyskusya wywiązała się nad reformą Związku. Delegaci domagali się kasy chorych i kasy inwalidzkiej. Zarząd przedstawiał nowy statut i podwyższenie składek. Sprawę tę uchwalono poddać pod głosowanie członków za pośrednictwem kasyerów. Szczęść Boże.

— *W Kościerzynie* (na Kaszubach) odbył się w środę dnia 15-go b. m. zjazd delegatów Związku towarzystw ludowych. Obecnych było 22 delegatów z 15 towarzystw. W Prusiech król. istnieją obecnie 62 tow., z których 47 należy do Związku. Czynnych tow. jest 44 i liczą one 7000 członków. Ze sprawozdania patrona ks. dr. Thokarskiego wynika, że praca prowadzona była w Związku energicznie i planowo i z dobrym skutkiem. Związek się rozwija należycie. Szczególnie podnieść należy, że Związek stara się usilnie urozmaicić życie w towarzystwach odczytami, dostarcza sztuk teatralnych, i niemniej *skijoptykonu* do przedstawiania obrazów świetlanych. Nowy patronat obrany został; w skład jego wchodzą: ks. Kupczyński z Garca, ks. prob. Kurowski z Dalków, pp. Jeżewski i Pokorniewski z Gdańska, Ignacy Wieczorek i dr. Izydor Brejski z Pelplina. Szczęść Boże.

— *W Hennigsdorfie* pod Berlinem odbył się ub. niedzieli wiec „Straży“. Przebieg wieca był bardzo podniosły. „O potrzebie łączności rodaków na obczyźnie“ wygłosił mowę p. Dr. Kaz. Bajoński. Do straży wpisało się 24 wiecowników — komisarzem wybrano p. Komina z Hennigsdorfu.

— *Berlin.* Piętnastą rocznicę swego założenia obchodziło w ub. niedzielę „Towarzystwo(polsko-katolickich robotników“. Uroczystość przeszła wśród ogólnie podniosłego nastroju. W serdecznych słowach witał gości przybyłych z różnych stron p. *L. Moczyński* prezes, deklamacyę „Potężny Boże i śpiew “Kte domow mój“ wygłosił p. Stawski, „Modlitwę polskiej dziewicy“ p. Ziółkiewicz. Sprawozdanie z piętnastolecia zdał p. Lorek. Działalność Towarzystwa wśród kolonii polskiej i dla własnych członków była arcybłogą. Dowodem tego sympatya dla tow. wśród rodaków. Mowę uroczystościową wygłosił p. *Fr. Krysiak.*

— *Zlot Sokołów.* Niedzielny Zlot Sokołów w Oświęcimiu udał się wspaniale. Na gościnnej ziemi galicyjskiej zebrało się po raz pierwszy Sokolstwo z wszystkich trzech zaborów, ze Śląska, Królestwa i Galicyi, by wspólnie odbyć przegląd swych sił, by zapoznać się wzajemnie i zacieśniać węzły braterstwa. Na to sokole święto zbratania się podążyła też liczna publiczność z wszystkich trzech zaborów, tak że ogólna liczba uczestników wynosiła conajmniej jakie 6 000.

Zapał panował ogromny, tak wśród zebranego Sokolstwa jak wśród tysięcznych widzów, którzy gorąco oklaskiwali występy karnych drużyn sokolich, i z zadowoleniem zaznaczyć wypada, że szczególne uznanie, tak rozentuzyazmowanych widzów jak i fachowych gimnastyków, zdobyło sobie nasze młode Sokolstwo z Zagłębia, które w danym zastępie, liczącym 100 druhów, wykonało bardzo udatnie obrazowe ćwiczenia wolne. Sokoli śląscy, których również była setka, wykonali ćwiczenia wolne, laskami, lancami oraz ćwiczenia na sprzętach, a Sokoli z okręgu krakowskiego stawili zastęp, liczący około 40, do ćwiczeń maczugami, trzy zastępy do sprzętów i dwa do piramid.

Jeżeli się uwzględni jeszcze te wspaniałe pochody przedpołudniowe, powitanie na rynku przez reprezentacyę miasta i ten uroczysty i serdeczny nastrój, który ogólnie panował, to całość złoży się na harmonijny i bardzo miły obraz, który zapewnie wyryje się na zawsze w pamięci uczestników Zlotu.

— *Towarzystwo św. Wojciecha w Dortmundzie* donosi swym członkom, iż w niedzielę dnia 26-go sierpnia o godz. 12-tej w południe, w lokalu p. Westerfelda narożnik ulic Robert i Osterholzstr. odbędzie posiedzenie. Dla ważności obrad prosimy o liczny udział. Goście mile widziani. *Zarząd.*

Upraszamy przyjaciół naszych i wszystkich, którym leży na sercu oświata szerokich mas, o polecanie i szerzenie naszego na wskroś narodowego pisma.

Wiadomości.

*** Szanownych Czytelników przepraszamy, że z powodu nawału spraw bieżących naszych polskich, w tym numerze wypada zwykły „Przegląd prasy" i „Tydzień polityczny". Sądzimy atoli, że ważniejszą rzeczą jest to, co nas tutaj obchodzi, aniżeli n. p. ziazd cesarza Wilhelma II z królem angielskim, albo wiadomości o trzęsieniu ziemi w Valparaiso.**

* **List Ojca św.** do N. Ks. Arcybiskupa podamy z powodu braku miejsca w następnym numerze.

* **Spółka rolników Parcelacyjna w Poznaniu,** przeciwko której powstał zarzut, że sprzedała 80 morgowe gospodarstwo Niemcowi — tak tłómaczy ten fakt. Sprzedaż gospodarstwa dotyczy Juliusza *Madera* z pod Zbąszynia. Kupił on od Spółki 80 mórg w Małachowie. Spółka zdecydowała się na sprzedaż, dowiedziawszy się, że Mader wprawdzie rodził się Niemcem, ale ma żonę *Polkę* i dzieci wychowuje *po polsku.* Syn mający gospodarstwo odziedziczyć, oświadczył się kategorycznie Polakiem — ojciec oddawna n. p. przy wyborach stawał po stronie polskiej. Wiadomości te potwierdzają także osoby znające Madera i jego rodzinę.

* **W Poznaniu** odebrali socyaliści dotkliwą naukę na przyszłość. Zwołali oni — robią to w ostatnim czasie podpadająco często — zebranie publiczne, i to tym razem dla fryzyerów. Pomocnicy fryzyerscy — wiadomo — przeprowadzili latem strejk i zyskali z pomocą polskiego Związku zawodowego pewne ulgi. W nieporę też socyaliści wybrali się pomiędzy fryzyerów z agitacyą. Na piątkowem zebraniu (17 b. m.) musieli czekać przeszło 1 i pół godziny na uczestników, w dyskusyi odbierali cięgi — a wreszcie zebrani opuścili salę z okrzykiem: niech żyje polski Związek zawodowy. — Życzymy podobnego powodzenia socyalistom częściej.

* **Nowy rodzaj agentów.** *„Goniec"* otrzymał wiadomość, że niejakiś *J. Nowacki* z Mielżyna zrobił z gospodarzem Pawełczykiem z król. Nowejwsi ugodę, na mocy której miał sprzedać gospodarstwo jego za 9 000 talarów. Gospodarz nie zastrzegł się, komu ma być gospodarstwo sprzedane. Nowicki poczynił kroki sprzedaży i zdaje się wszedł w układy z kolonizacyą, straszy bowiem Pawełczyka „królem" i karami, jeżeli od umowy będzie chciał odstąpić. Oczywiście Pawełczyk umowy dotrzymać nie ma potrzeby. Wypadek ten niech posłuży jako przestroga przed nowym rodzajem agentów kolonizacyjnych czatujących na nieświadomość gospodarzy naszych.

* **Kościan** — śpi. „Gazeta Polska" skarży się, że ze wszech stron nadchodzą wieści o walce dzieci i rodziców ze szkołą, przeciwko niemieckiej nauce religii. W sprawie tej odbył się w Kościanie — pierwszy wiec, wybrano komisyę, która się miała zająć tą sprawą, ale komisya, a z komisyą i Kościan śpi. Może to szarpnięcie „Gazety Polskiej" zdoła go nieco — rozbudzić, inaczej przyjdzie kościańskiemu patryotyzmowi na dobre powiedzieć — dobrej nocy...

* **Śmigiel** z okolicą ma ludność przeważnie polską, a rzemieślników mamy tutaj: szewców Polaków 28, Niemców 35, młynarzy Polaków 7, Niemców 30, piekarzy Polaków 4, Niemców 12, rzeźników Polaków 2, Niemców 8, kowali Polaków 3, Niemców 7, stolarzy Polaków 5, Niemców 8, stelmachów Polaków 2, Niemców 4, rymarzy Polaków 2, Niemców 4. malarzy 1 Polak, Niemców 3, blacharzy 1 Polak, Niemców 2, koszykarzy 1 Polak, Niemców 2, golarzy 1 Polak, Niemców 3, zegarmistrzów żaden Polak, Niemców 4.

Razem Polaków 57, Niemców 112.

Oprócz podanych 35 szewców Niemców mamy tu jeszcze 5 składów obuwia należących do Niemców, którzy więcej obuwia sprzedają, niżeli wszyscy szewcy Polacy.

Podług liczby ludności polskiej powinniśmy mieć rzemieślników Polaków co najmniej 130, a Niemców chyba tylko 40. Budowniczych mamy 1 Polaka, 2 Niemców. Tartaki: 1 należy do Polaka, 2 do Niemców.

Więc ani jednego zawodu nie mamy, w którymby większość Polaków była; w każdym większość Niemców.

* **W Gostyniu,** gdzie tak samo jak po innych miejscowościach nauczyciele przymuszają dzieci do niemieckiej nauki religii, odbył się już drugi wiec w tej sprawie. Podkreślić tutaj trzeba nowość podjętą przez obywateli gostyńskich. Wiec odbył się razem — *z matkami.* Obok p. Woziwodzkiego, znanego działacza gostyńskiego, ks. prob. Jackowskiego — przemawiała od matek także p. *Sambrowska.* — Szczerze pochwalić należy Gostyń za usilne starania około zachowania swym dziatkom polskości i religii. Oby przykłd ten i po innych miejscowościach znalazł gorliwych naśladowców!

* **Inowrocław.** Tutejsze Towarzystwo Samopomocy Naukowej stawiło u zarządu miejscowej królewskiej warzelni soli wniosek o udzielenie pozwolenia na zwiedzenie warzelni. Na to otrzymał prezes tegoż Towarzystwa p. A. Pluta, list, w którym zarząd królewskiej saliny nie może udzielić pozwolenia, bo sądząc z nazwy Towarzystwa, uważa je jako organizacyę bojó-

wą przeciw zarządzeniom rządowym w zakresie szkolnictwa.

* **Gniezno.** *„Lech“* donosi, że portyer i maszynista zatrudniony przy gnieźnieńskiej landraturze, p. Stanisław Grześkowiak, pozbawiony został chleba, ponieważ syn jego nie odpowiadał na niemieckiej nauce religi. W poniedziałek 13 b. m. syn odmówił odpowiedzi na niemieckie pytanie w nauce religii. Wskutek tego napisał inspektor powiatowy do powiatowego sekretarza p. Szefflera, aby powiedział p. Grześkowiakowi, że powinien syna ukarać za to nieposłuszeństwo wobec władzy. Mając zmarłe dziecko w domu, p. Grześkowiak wzdrygał się karać syna za tę „wielką zbrodnię“. Gdy się pan inspektor dowiedział, że chłopiec ukarany nie został, napisał drugi list do pana Schefflera i zaraz też wypowiedziano posadę p. Grześkowiakowi i to w sposób nieprawny, bo landrat kazał p. Grześkowiakowi w przeciągu półtora miesiąca opuścić posadę, gdy tenże ma według kontraktu trzymiesięczne wypowiedzenie.

* **W Toruniu** skazała izba karna fabrykanta wody selterskiej i kupca p. Aleksandra Borowskiego z Mokrego na 4 miesiące więzienia za obrazę majestatu i następcy tronu. Proces toczył się przy zamkniętych drzwiach. Do „Geselligera“ donoszą, że oskarżony pewnemu urzęnikowi sądowemu zganił, iż nie wychowuje dzieci po polsku, i przytem użył wyrażeń, które obrażały Hohenzollernów.

* **Zgorzelice.** Składam niniejszem publiczne podziękowanie za liczny udział w pogrzebie mego najdroższego męża wszystkim rodakom a mianowicie polskiemu Towarzystwu. W smutku pogrążona wdowa z pięciorgiem maloletnich dzieci

Konstancya Zygmaniak.

* **Z Bruchu** (we Westfalii) odbyła się ubiegłej niedzieli pielgrzymka polska z dekanatu Recklinghausen do cudownego miejsca w Neviges. W pielgrzymce brało udział około półtora tysiąca osób. Wśród uczestników pielgrzymki powstało wielkie rozgoryczenie na duchowieństwo miejscowe, z pośród którego żaden ksiądz pielgrzymce nie towarzyszył. Za to ścisłą opieką otaczała pielgrzymów policya, nie pozwalająca na pochód ani na dworzec ani z dworca. — Dziwne to pomięszanie pojęć u niemieckiego duchowieństwa katolickiego, które *opiekę* nad ludem katolickim pozostawia — *policyi!* Jakie będą tego następstwa?

* **Z pod Berlina.** „Dz. Berl.“ donosi, że ksiądz kuratus z Oberschönweide wyznaczył na uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy kościół katolicki — pierwsze miejsce „Kriegerfereinowi“, którego członkowie w większości nie są katolikami. Natomiast o polskiem towarzystwie *„zapomniał“* zupełnie, choć jest katolickie. Gdy Polacy to pominięcie ks. kuratusowi wytknęli, odpowiedział im, że towarzystwa polskiego „nie uznaje i znać nie chce“. Skutkiem tego postanowili Polacy zbieraną od dawna składkę na kościół oddać gdzieindziej, a nie do kościoła w Oberschöneweide. Zupełnie słusznie.

* **W Krynicy,** znanem zdrojowisku w Galicyi, odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza. Obchód rozpoczął się odegraniem pobudki przez orkiestrę zakładową. Przed południem odprawiono w kaplicy zakładowej uroczyste nabożeństwo, poczem ruszył pochód przed pomnik. Na czele jego niesiono wieńce i sztandary, szła straż ogniowa ze sztandarem, kolonie wakacyjne, dalej niesiono wieńce od komisyi zdrojowej, od teatru lwowskiego, którego artyści z dyrektorem chód zamykał oddział nowosądeckiego „Sokoła“.

U stóp pomnika wygłosił podniosłą mowę prezes komitetu budowy pomnika, radca dworu p. Adam Krechowiecki, oddając pomnik pod opiekę komisyi zdrojowej. Po odsłonięciu pomnika przemówił przewodniczący komisyi zdrojowej, starosta Jarosz, który odebrał pomnik imieniem komisyi. Odśpiewaniem pieśni patryotycznych zakończono uroczystość.

* **Teatr w Wilnie.** Nowozałożony Miejski Teatr Polski w Wilnie, rozpoczyna już wkrótce swoją działalność. Dyrekcyą objęła b. artystka sceny krakowskiej i poznańskiej p. Olchowska-Młodziejowska, obywatelka z Litwy. Reżyserya spoczywa w doświadczonych rękach znakomitego artysty kilku scen polskich p. Popławskiego. Z artystów znanych w Poznaniu należą do teatru Wileńskiego pp. Barwińska, Jakubowska, Marjewska-Dobrzańska, Morska-Popławska, Podgórska, pp. Dobrzański, Dybizbański, Kuncewicz, Okornicki, Pawłowski, Siennicki, Szczurkiewicz, Wiślański. Mieszkańcy Wilna, gdzie dotąd przez lat 40 nie było teatru polskiego, z niecierpliwością oczekują otwarcia nowego przybytku sztuki. Uroczyste otwarcie teatru nastąpi 1-go października b. r. Przedtem da jeszcze towarzystwo szereg przedstawień w Mińsku.

* **Rodaczka** zapytuje się za naszem pośrednictwem Szanownych Czytelników, *gdzieby osiedlić się mogła i założyć skład towarów krótkich z wszelkiemi artykułami z tej branży dla wiejskiej klienteli?* Informacye prosimy nadsyłać do Ekspedycyi „Pracy“.

* **Młody rodak na obczyźnie,** pracujący w pewnej fabryce elektrycznych zegarów na Śląsku, w mieście całkiem zniemczałem, z zawodu *zegarmistrz,* biegły w reparacyi wszelkich zegarów i zegarków, ojciec czworga dzieci, uczęszczających do szkoły, chętnieby celem ochrony dzieci od zupełnej germanizacyi wrócił do Księtswa i przyjął tutaj miejsce pomocnika zegarmistrzowskiego lub też jakiebądź inne stosowne zatrudnienie. Informacye prosimy nadsyłać do ekspedycyi „Pracy“.

* **Rodak rzeźnik,** obeznany należycie w swym zawodzie, osiedliłby się chętnie w jednem z miast W. Ks. Poznańskiego, liczącem do 7000 mieszkańców i prosi Szanownych Czytelników za naszem pośrednictwem o wskazanie takiej miejscowości, w której by mógł mieć egzystencyę. Informacye prosimy nadsyłać do Ekspedycyi „Pracy“.

* **Nowe polskie przedsiębiorstwo.** Pan *Stanisław Filipowski,* który przez dwadzieścia lat był współpracownikiem fimry F. G. Fraas Nast. i jako taki znany jest dobrze sferom kupieckim Księstwa, *założył fabrykę smarowideł na osie w Starołęce pod Poznaniem.* Nadmieniamy, iż jest to pierwsza i jedyna fabryka polska w swym rodzaju na cały zabór pruski, a do tego pierwsza fabryka smarowideł na osie w Poznaniu, gdyż obcy i innowiercy fabryki takiej w Poznaniu dotąd nie posiadają. Długoletnia znajomość fachowa i doborowe siły techniczne dają gwarancyą, iż pan Stanisław Filipowski dostatecznie stawi czoło konkurencyi obcej. Odsyłając po szczegóły do zamieszczonego ogłoszenia, polecamy nową gałęź przemysłu swojskiego pamięci rodaków a założycielowi ślemy staropolskie: Szczęść Boże!

* **Pierwszorzędny** *zakład jubilerski w Poznaniu* jest z powodu śmierci właściciela do nabycia pod korzystnemi dla nabywcy warunkami. Skład ten isnieje na pryncypalnem miejscu. Bliższych wiadomści udzieli Kantor ogłoszeń *Reclame* w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

* **Skład sukna i bławatów** wraz z domem jest na sprzedaż w ożywionem mieście, położonem w Prusach Zachodnich w obwodzie regencyjnym kwidzyńskim nad koleją. *Właściciel Niemiec* chce interes ten wskutek choroby sprzedać i to w pierwszym rzędzie *Polakowi* (patrz ogloszenie).

Od Redakcyi.

Pani Maryi Ciążyńskiej w Dortmundzie: Tym razem Pani ma najzupełniejszą racyę; pisze się tylko „opiekun.“ Forma „opiekan“ bywa często, ale mylnie używana w potocznej mowie — i tylko w niektórych okolicach Księstwa. A więc mąż nie ma racyi ze swoim „opiekanem“. Pozdrawiamy serdecznie.

Panu Jerzemu D. z Królestwa. — 1) W wszystkich większych księgarniach; w Poznaniu u pp. Chrzanowskiego, Cybulskiego, Leitgebra lub też Templowicza. 2) Kwartalna prenumerata wynosi 1,25 mk.; adresować Poznań, Wodna ulica 15. — Posen, Wasserstrasse 15.

Panu Adolfowi K. w Gliwicach. — Powieść „Żywcem pogrzebany“ już od lat kilku zupełnie wyczerpana.

Panu Ignacemu Pysznemu w Przyszowicach. — Powieść życzona już zupełnie wyczerpana.

Panu P. M. w Mogilnie. — Za wierszowane życzenie:

„Niech „Praca“ dożyje takiej pociechy,
By ją posiadły wsze dwory i strzechy!“

najserdeczniej dziękujemy.

Gęgale. — Humorystyka nadesłana nie nadaje się do „Pracy“.

Panu P. N. I. w Kostrzynie. — Prawo to przysługuje tylko egzekutorowi testamentu.

— *Panu J. Gr. w Miłosławiu.* List wraz z dokumentem i fotografią odebraliśmy. Z fotografii każemy zrobić klisz i zamieścimy w „Pracy“. — „Wstęp do dziejów“ Panu zwrócimy — niestety użyć go nie możemy. Pozdrawiamy Pana i życzymy — wytrwałości dla dobrej sprawy.

Nekrologia.

† Ś. p. *Florentyna z Kiżwaltrów Idzińska*, dnia 11-go b. m. w Poznaniu, na św. Łazarzu, przeżywszy lat 72. R. i p.

† Ś. p. *Stanisława Król z domu Michałowska*, dnia 7-go b. m. w Kórniku w 25-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Leokadya Popławska*, dnia 10-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 18. R. i p.

† Ś. p. *Stanisław Jander*, dnia 11-go b. m. w Poznaniu, w 21-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Joanna Chrościńska*, dnia 11-go b. m w Gnieźnie. R. i p.

† Ś. p. *Józef Karasiewicz*, nauczyciel emer., dnia 12-go b. m. we Wrześni. R. i. p.

† Ś. p. *Marya Trąpczyńska*, dnia 13-go b. m w Buku w 38-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *ks. proboszcz Ryszard Markwart* z Bydgoszczy, wyjechawszy do wód morskich w Swinoujściu, utopił się tam przy kąpaniu dnia 16-go b. m. Nie wiadomo dotąd tylko, jakim sposobem to się stało.

Niebszczyok urodził się w Ostródzie r. 1868. Był wikarym w Środzie i Gnieźnie, potem proboszczem wojskowym w Magdeburgu i Berlinie. Otrzymał probostwo bydgoskie r. 1899. R. i p.

† Ś. p. *Jakob Jaskulski*, dnia 16 go b. m. w Mosinie w 54-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Franciszka Żelazna z domu Lewandowska*, dnia 19-go b. m. w Rombiniu w 82-im roku życia. Pogrzeb odbył się w Inowrocławiu dnia 22-go b. m. R. i p.

† Ś. p. *Augusta Schulz*, dnia 18-go b. m. w Inowrocławiu w 71-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Franciszka z Nawrockich Kuczewska*, dnia 19-go b. m. w Poznaniu w 78-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Leonard Radoński*, dnia 24-go b. m. w Stanisławowie, przeżywszy lat 73. R. i p

† Ś. p. *Władysław Ptaszyński*, dnia 19-go b. m. w Wielkim Piątku pod Stawiszynem w Królestwie Polskiem, w 53-im roku życia R. i p.

Nasza ofiarność.

Prośba o szybką pomoc doraźną. *Młodzieniec, 14 — letni, uczeń szkoły średniej w Poznaniu, którego matka, chorowita wdowa, absolutnie nie może się zdobyć na zapłacenie szkolnego (M. 15 —) zagrożony jest przerwaniem nauki i wydaleniem. Prosimy litościwe serca rodaków i rodaczek, aby zechciały wesprzeć wdowę i młodzieńca. „Bóg za szlachetną pomoc stokrotnie zapłaci.“ Składki przyjmuje Administracya „Pracy“ — Rycerska 38.*

Na Czytelnie ludowe: pani W. H. z Poznania 3 mrk.

Wiadomości literackie i artystyczne.

„Dola i niedola żołnierza polskiego“. Pod tym tytułem pojawiła się w handlu serya kart pocztowych, wyróżniająca się pod każdym względem w powodzi wydawnictw podobnych. Na seryę tę składa się dziesięć znakomitych reprodukcyi z cyklu obrazów jednego z najgenialniejszych batalistów współczesnych St. Bagieńskiego. Całość uzupełniają doskonale sześciowiersze napisane z talentem przez Ad. Kompfa.

Dodać w końcu należy, że „Dola i niedola żołnierza polskiego“ wyszła nakładem *pierwszego w Wielkopolsce polskiego zakładu chemigraficznego Ant. Fiedlera w Poznaniu.*

„Dżungla“, truciciele z Chicago. Druk tej znakomitej powieści Uptona Sinclaira, która przed paru miesiącami wywołała w Ameryce olbrzymią sensacyę, ropoczyna „Nasz Kraj“, ilustrowany tygodnik literacko-artystyczny w zeszycie VII. z dnia 18. sierpnia 1906. Zeszyt ten przynosi nadto ilustrowany artykuł Józefa Białyni Cholodeckiego: O grobie Gertrudy z Komorowskich Szczęsnowej Potockiej, bohaterki poematu Malczewskiego „Marya“. Selmy Lagerlöf: „Banitów“ w tłumaczeniu Jadwigi Przybyszewskiej. Utwory oryginalne pióra K. Przerwy Tetmajera, Henryka Zbierzchowskiego, Maryli Czerkawskiej, Karola Irzykowskiego, B. Merwina, Kazimierza Baranowskiego, L. Stasiaka i w. i. — Zeszyt zdobi przeszło 40 ilustracyi. — Prenumerata kwartalna 5 koron. Zeszyt 40 halerzy. Do nabycia we wszystkich księgarniach, biurach dzienników i trafikach. — Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Piekarska l. 32.

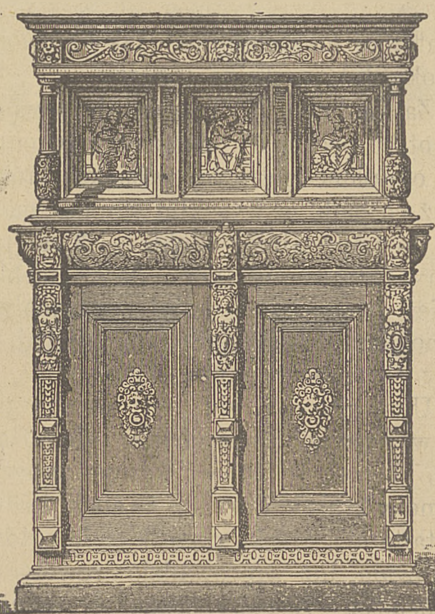
Rozmaitości.

Generał japoński Kodama, o którego śmierci doniósł telegram, należał, jak zapewniają europejscy fachowcy, do najgenialniejszych strategików wszystkich czasów. Jemu zawdzięcza armia japońska, do niedawna nieznana, obecne swoje stanowisko pośród pierwszorzędnych sił zbrojnych. Nie obniżając zasług Ojamy, tudzież generałów Kurokiego, Oku, Nogiego i Nodsu, przyznać trzeba, że duchowym twórcą planów operacyjnych podczas wojny japońsko-rosyjskiej był Kodama. Wszechstronny jego umysł obejmował najdrobniejsze nawet szczegóły i z podziwienia godną przenikliwością obliczał wszystkie ewentualności. Każdy krok armii japońskiej wyznaczał Kodama, który ją też wiódł od zwycięstwa do zwycięstwa. Gdy w lipcu 1904 roku marszałek Ojama objął dowództwo naczelne nad całą armią japońską, Kodama, który był naówczas wiceszefem sztabu generalnego, pozostał przy Ojamie, jako doradca jego. Niestety rychło przyszło pomiędzy nimi do gwałtownych starć z początku z powodów rzeczowych, później zaś nawet na tle osobistem. Powiadają, że Kodama tak dalece miał się pewnego razu zapomnieć, że uderzył w twarz Ojamę. Fakt ten prawdopodobnie należy do legend, ale ku końcowi roku 1904 Kodama został odwołany do Tokio i zamianowany szefem sztabu generalnego. Kodama liczył dopiero 54 lat życia. Należał do starodawnej rodziny „samurajów“, ale rodzice jego byli tak ubogimi, że Kodama nie mógł uczęszczać do szkoły. Dopiero w latach dojrzałych mógł oddać się nauce, a dzięki nadzwyczajnym zdolnościom stanął wkrótce w szeregach najwybitniejszych ludzi Japonii.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

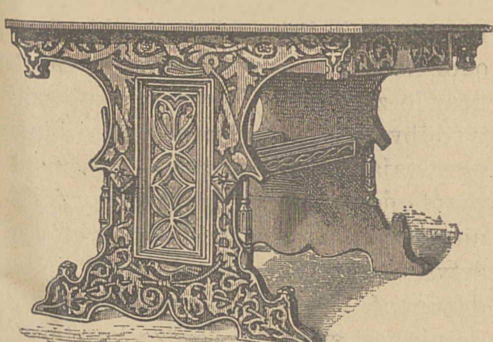
Kultura a sprzęt domowy.

Kultura w postępie swoim nie pomija żadnego szczegółu w otoczeniu człowieka, aby go stosownie do swojego rozwoju nie zmienić, aby na nim swojego piętna wyraźnego nie wycis-



Szafa w stylu Odrodzenia niemieckiego.

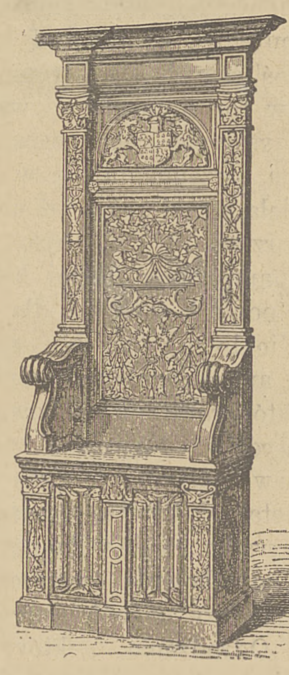
nąć. Wykazywać związek sprzętów domowych z każdoczesną kulturą ludzką — jest tak łatwo, że właściwie nie warto się silić na zbyteczne dowody. Wszak same sprzęty domowe, jako takie, są wytworem kultury i już dla tego samego muszą wraz z nią jednakie przechodzić koleje. Stąd też, jak wiele innych szczegółów otoczenia człowieka tak i sprzęty domowe świadczą o



Stół w stylu starogotyckim.

stopniu, na którym się znajduje jego kultura. Chata wiejska i dworek, pałac dorobkiewicza, podobny do składu mebli, wyzłacany, przeładowany ozdobami i niesmaczny, a stara jakaś rezydencya, gdzie wszystko z biegiem lat ustroiło się do siebie, zżyło się niejako z sobą, stwarzając tę harmonijną całość, którą tak wysoko nauczyliśmy się cenić. Wszak różnice uderzają tu w oczy po prostu. A różnice te, to właśnie są dowody różnorodności stopni kultury.

Mistrzynią człowieka była i jest natura. Tam, gdzie go ona do tego ostrością klimatu zmuszała, tam uczył się on sporządzać namioty, domy i pałace, które zastosowywał do swoich potrzeb i do istniejących trwałych lub przemijających warunków. Rozmaitość tych ostatnich nie mogła naturalnie pozostać bez wpływu na wewnętrzne urządzenie mieszkań — na sprzęty domowe. Tutaj znowu natura przychodziła mu z pomocą, była jego najlepszą i najwierniejszą nauczycielką. Człowiekowi wystarczało przysłuchiwać się jej tylko, patrzeć na nią i w miarę możności naśladować.

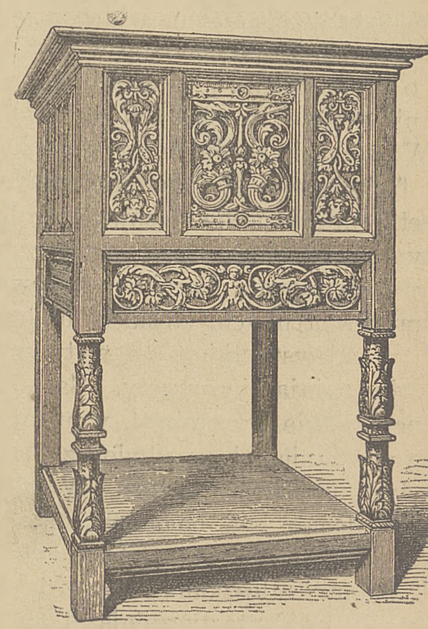


Fotel stallowy. Wczesny renesans francuski.

Koczujący pasterz ozdobił swój namiot zasłoną w pasy różnobarwne. Potem pasy te połamał i powyginał, potem zaczął naśladować liście kwiatów, które jego trzoda spasała z trawą. Umiejętność swoją powiększał powoli, ćwiczył i podglądał ciągle, aż wreszcie doszedł do tego mistrzostwa, które dziś jeszcze zachwyca nas w bogatym wschodnim kobiercu. Jak z zasłoną, tak działo się i z każdą inną rzeczą, służącą do użytku człowiekowi. Od prostego zydelka, od zwyczajnego, ledwie ogładzonego klocka, który mu służył dla odpoczynku po łowach lub przy posiłku i przyjacielskiej gawędzie, pojawiają się wielkie z początku niedołężne i naiwne, potem coraz piękniejsze, kształtniejsze, aż wreszcie powstaje krzesło starożytne, wygodne i stylowo ozdobne.

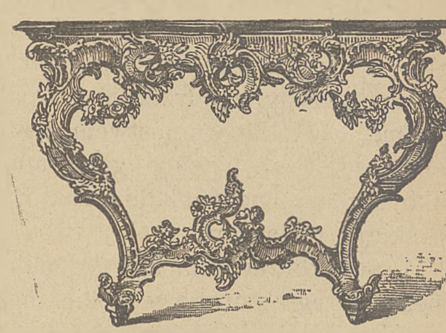
Mieszkanie swoje zdobi starożytny człowiek płaskorzeźbą i obrazami, mozajką i kobiercami. Do tego zastosowuje ozdobę sprzętów, nie ujmując im jednak nic z ich dotychczasowej użyteczności i wygody. .

Wszystko razem zlewa się tu w przedziwną harmonię, stwarza wy-



Kredens; styl staro-niemiecki.

szukany przepiękny styl, w którym zaspokojenie potrzeb estetycznych nie wyklucza względów na główne przeznaczenie owego sprzętu — użyteczność. Świątynia staro-grecka pozostanie i nadal ideałem dla nas. Przedziwną umiejętność kojarzenia trzech zasadniczych czynników zdobniczych budowy, kształ-



Konsola w stylu Rococo (w zamku W. Ks. Badeńskiego).

tów i barwy, doprowadzono tutaj do szczytu. Każdy mebel starogrecki, z osobna wzięty, może kapać literalnie od ozdób, od drogich kamieni, bursztynów i złota — a jednak ustawiony obok innych, w przestronnej sali starogreckiej zlewa się z otoczeniem. Bogactwo jego tonie niejako w ogólnej nieporównanej harmonii, która cechowała umysły sta-

rożytnych Greków, wynosząc sztukę ich na niebotyczne wyżyny.

Meble, to każdoczesna kultura. Idąc za jej rozwojem, napotykamy w meblach to, co cechowało jej każdoczesny całokształt. U Greków widzieliśmy spokój, harmonię, ogromną subtelność w odczuwaniu Rzymian, karty zmieniają się. Poznać dorobkiewiczów, którzy sami nie silili się na wytworzenie sztuki, ale zebrali ją już gotową, obniżając tylko przez swój brak estetycznego poczucia i dorobkiewiczowskie ambicye. Sprzęty rzymskie nie różnią się w ..czem zasadniczo od greckich, są tylko przeładowane ozdobami, widać z tego, że właścicielom nie chodziło w nich nie tyle o samo piękno i wygodę, ile o pokazanie światu, że stać ich na zbytek.

W wiekach średnich przy spokojnem formowaniu się klas społecznych, sprzęty zmieniają się stosownie do budowy domów, które z konieczności musiały otrzymywać charakter warowni. Do murów grubych, ciężkich, obliczonych przedewszystkiem na wytrzymałość, dostrajają się sprzęty. Są także mocne, ciężkie, częstokroć wmurowywane w ścianie lub przytwierdzane do posadzek, poważne i proste. W miarę nagromadzenia się bogactw i potęgi w jednych rękach, zdobnictwo podnosi się. Ściany mieszkań pokrywają się freskami najfantastyczniejszej treści, meble zyskują na ozdobach w postaci głów rozmaitych gryfów, orłów, tarcz herbowych itp. Nie mniej jednak w stylu pozostają niezmienione — smukłe i poważne, i mimo wszystkie ozdoby, proste.

Dopiero epoka renesansu, Odrodzenia, gwałtowny zwrot do świata klasycznego, rzuca w mroczne, ponure, zamki średniowieczne, przez ich wysokie gotyckie okna nowe, południowe, jasne i wesołe światło. Gdzie okoliczności sprzyjają, w miejscu starych zamczysk, zaczynają wznosić się pałace jasne, oświetlone mnóstwem obszernych okien, obwieszone galeryami i balkonami, zdobne dziełami sztuki rzeźbiarskiej i malarstwa.

W powodzi światła nowego pałacu renesansowego ponure wysokie meble staroniemieckie , stanowiłyby rażący kontrast. Kształty ich także gwałtownej ulegają zmianie. Ostre zakończenia, geometryczne przecięcie prostych linii, szerokie kanty zaczynają się łagodzić i zaokrąglać. Bogate inkrustacye i wysadzania odzyskują prawo obywatelstwa. Ściany pokrywają się znowu kobiercami, gobelinami i kosztownemi tkaninami. Podłogi lśnią od wspaniałych różnobarwnych posadzek. Zaczyna się na całej linii panowanie niezwykle pięknej, niewymuszonej, a przecież tak bardzo słonecznej, olśniewającej harmonii. Dzieje się to w wieku XVI. Wystarczy spojrzeć na łożnicę małżeńską jakiegoś mistrza stolarskiego we Włoszech, albo na krzesło francuskie, które zachowało jeszcze szkielet dawny, ale już przyoblekło się w suknię ówczesnego renesansu, aby ocenić ten olbrzymi przewrót, jaki się w tym czasie w całej dziedzinie myśli, smaku i pojęć dokonał w całej Europie. Meble świadczą o nim nie mniej wymownie, niż książki.

Wszelkie stolarstwo stylowe, obierało sobie pewien typ mebla, który też doprowadziło do szczytu rozwoju. Rzemieślnik renesansowy upodobał sobie szafę. Dzięki jego artyzmowi i pomysłowości, stała się ona wkrótce głównym meblem. Traktowana w sposoby jaknajrozmaitsze, przeznaczana na cele przeróżne, stała się poprostu typem renesansowego stolarstwa. Począwszy od szafy do strojów, do szafek do książek, niesłychanie misternie i kunsztownie konstruowanych sekretarzyków, kredensów, bufetów, aż do szaf kościelnych, prześlicznych stal, tronów itp., wszystko w formie szafy — wszystko to pod artystyczną ręką renesansowego stolarza, przemienia się w wiekopomne dzieła sztuki. Ale też nie było, zda się, przeszkody, nie było ofiary, którejby naprawdę z Bożej łaski artysta nie poniósł z chęcią dla swego dzieła. Nie było materyału, ani najdroższego, ani pozornie najmniej przydatnego, któregoby nie próbował użyć do swoich celów. Najwyszukańsze gatunki drzew, najmisterniejsze inkrustacye, metale i kamienie, marmur i wogóle wszystko, co się tylko użyć dało, wszystko zużytkowuje ówczesny stolarz, opanowany współczesnym sobie prądem Odrodzenia, który wywołał taką powódź nowych artystycznych dzieł we wszystkich dziedzinach twórczości ludzkiej, jakiej już nigdy potem nie było.

Ale już w wieku XVII rozpoczyna się dekadencya, nieznaczna wprawdzie, ale niemniej widoczna. Pomysły nie rozwijają się już, ale gmatwają tylko. Swobodę i rozmaitość młodego renesansu zastępują formy sztywne i wymuszone. Za Ludwika XIV wszystko przybiera charakter ceremonialny, mocno teatralny, zimny i odstręczający. Jest to epoka olbrzymich jeszcze i przesadnie ozdobnych, a wielce niedogodnych peruk. Wiek ośmnasty wpływa już pełnymi żaglami na fale fantastycznych kształtów baroku. Wygoda, miękkość, przesada i — płytkość w gruncie rzeczy — oto co cechuje meble z tej epoki sentymentów pomadkowych, cacek porcelanowych i rozkapryszonych kobiet. Duch zniewieściałości, rozpanosza się w francuskich pałacach królewskich, wieje z każdego stołka. Ale to jeszcze nie wszystko — estetyczne i zdradzające jeszcze tyle sił żywotnych zwyrodnienie kulminuje się w rokoku — w tej orgii pokręconych linii, w tej ostatecznej zniewieściałości, gdzie zasady estetyczne, gdzie ogólna koncepcya trzyma już z trudem tylko rozbujaną fantazyę. Epoka Ludwika XV to przesada, przesada to styl. Stolarz Boule zbiera laury i luidory za takie cacka pokomplikowne i rozpływające się w sentymentalnej gmatwaninie, jak konsola rokoko, lub ramki na obrazek.

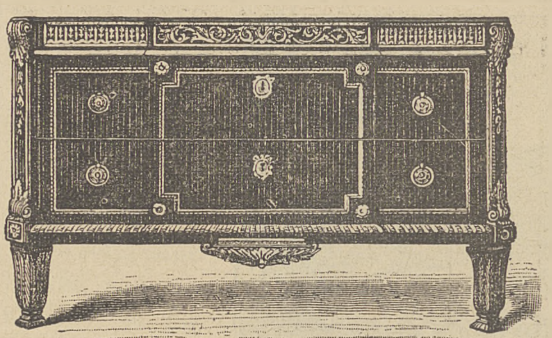
Za Ludwika XVI powstaje pewien zwrot ku prostocie, pewne otrzeźwienie, ale okupione potrzebą wdzięku, który bądź co bądź w wysokim stopniu należał do poprzedniej epoki. — Tym razem Odrodzenie inne daje meble, mniej wygodne i mniej oryginalne, stanowiąc przejście do tej bijącej w oczy skromności stylu „Empire“.

Ukształtował się on ostatecznie po wyprawie Bonapartego do Egiptu, łącząc w sobie formy zapożyczone w krainie Faraona ze spokojnemi kształtami grecko-rzymskiemi, które usiłowała już zaprowadzić rewolucya francuska. Złocony bronz i mahoń składały się w tym stylu cesarskim na całość wprawdzie poważną, i skromną, ale właśnie w tej swojej skromności pretensyonalną.

Tutaj zamyka się okres stylowych umeblowań. Po epoce bonapartowskiej następuje gwałtowna i rozczochrana reakcya.

Równocześnie rzucają się do renesansu, baroku i rokoku, podnoszą głowę różne kolorowe odmiany tych stylów, pojawia się antyczny gotyk odpowiednio zmodernizowany. Biorąc oddzielnie powstają istne dzieła sztuki, ale na ogół harmonia w umeblowaniu zanika prawie zupełnie. Przewrót społeczny, wydobycie się na wierzch nowej klasy, wzrastający równocześnie przemysł i przytępienie pewne smaku, sprzyjają niepomiernie temu upadkowi, z którego artystyczne stolarstwo nie może się podźwignąć. Dzisiejsze umeblowanie, o ile nie jest stare lub bardzo kosztowne, urąga poprostu wszelkim pojęciom nie tylko o stylowej harmonijności, ale nawet o smaku. Brak odpowiednich środków pieniężnych idzie tu w parze z brakiem gustu, zastawiając nasze pokoje banalnemi fotelikami, niedobranemi do nich stołami, szafami, które się wiecznie kłócą z konsolami, obiciami, które nie mogą się w żaden sposób pogodzić z tapetami lub zasłonami u okien, drzwi i t. d.

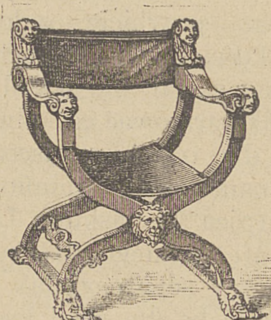
Dawne, niekiedy przesadne, ale przecież stylowe ozdoby, zastępują teraz bezmyślnie ustawiane na etażerkach kotki, pieski tuzinkowe, wyroby porcelanowe, szablonowe pomysły tapicerskie i produkty estetycznego partactwa rzemieślników, którzy, nie znajdując ze strony odbiorców potrzebne-



Komoda w stylu Ludwika XVI.

go bodźca, przestali już dawno troszczyć się o nowe pomysły, o czystość stylową, o harmonię kształtów, bo co gorsza w znacznej części odzwyczaili się już zupełnie od tych pojęć.

Tandetna niemiecka secesya, to produkt opamiętania i chybionej ambicyi schyłku ubiegłego stulecia, aby i na tem polu zamknąć bilans mniej lub więcej epokowym wynalazkiem. Rachityczne, w budowie nieszczere, w zdobnictwie, do którego systematycznie przemyca się wszystko od baroka do „empire“, rzeczony ten styl znieprawił do reszty i tak już grubo nadgniły smak szerokiej publiczności. Epoka oleodruków i tanich fabrycznych dzieł sztuki, towarzyszy epoce kolei żelaznych i telefonu. Za wielu ludzi potrzebuje, lu-



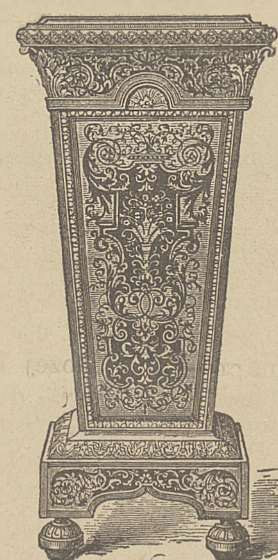
Krzesło z drzewa orzechowego. Renesans niemiecki.

dzie za wiele potrzebują, aby rzemieślnik artysta mógł nadążyć. Młot i hebel parowy robią swoje, rzucają na targi dziennego zbytu stosy niesmacznej, martwej, galanteryi a nie ozdób.

Nic też dziwnego, że na wszystkich punktach zaczynają nawoływać do poprawy. Hasło „sztuki stosowanej“, gorączkowe „poszukiwanie“ stylów, gwałtowne wprowadzanie elementów zdobnictwa ludowego, oto są znaki, z których na horyzoncie estetycznym niczego wprawdzie wróżyć jeszcze nie można, ale które już pozwalają się spodziewać, że maluczko, a będziemy mogli mieć nadzieję...

Rzemieślnik, oduczywszy się artyzmu, ogląda się bezsilny na twórców nowych kształtów, nowych pomysłów, twórcy szybują tak wysoko, że trudno im odrazu zaprządz się do zwyczajnego krzesła, aby mu zapewnić trzy bagatele: oryginalność, piękno i — wygodę. Stąd wyczekiwanie ciągle nowych kształtów, stąd ciągłe wyrzekanie na opieszałość i niedbalstwo — wszystkich powołanych i niepowołanych do odrodzenia sztuki czynników.

Sztuka jednak i styl nie rodzą się w głowach kilku apostołów lub nawoływaczy. One się tam tylko uświadamiają, przyoblekają w formy, a tworzą się w całokształcie życia każdoczesnej epoki, są wynikiem jej pragnień, dążeń i pojęć.



Postument; styl francuski z XVII wieku (Boule).

Przyjrzawszy się tym ostatnim u współczesnego społeczeństwa, nie można nie zrozumieć, że te ciągłe kolizye ze stylem, z wymaganiami estetycznej harmonii, są naturalnem następstwem współczesnego życia, które, wtłoczywszy umysł człowieka w kantor i księgi podwójnej buchalteryi, przytłumiło w niem nietylko porywy ku wyżynom słonecznym, ale poprostu wrażliwość na piękno. Sztuka może się odrodzić tylko z naszem własnem odrodzeniem. Bez niego wszelkie głosy rozpłyną się jak głos wołającego na puszczy, wszelkie usiłowania zostaną bezowocne.

I.

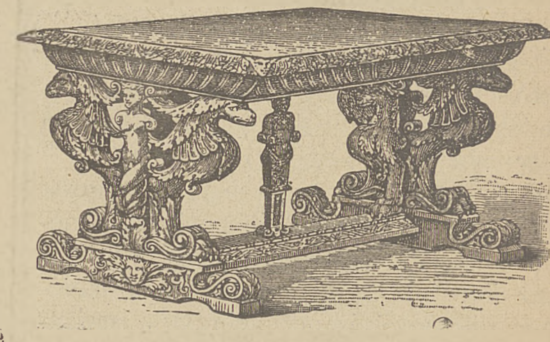
Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą.

Przyczynek do historyi południowego Pomorza.

Napisał **Konstanty Kościński.**

(Dokończenie).

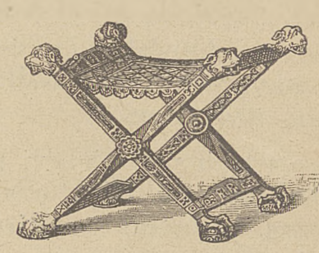
Roku 1832 dnia 12/11 doniosła regencya kwidzyńska znów magistratowi,



Stół w stylu Odrodzenia włoskiego.

że naczelny prezes Schön — ponieważ o zakład dla chorych na umyśle gdzie indziej się postarano, — poruszył ponownie kwestyą oddania kościoła klasztornego gminie ewangelickiej. Równocześnie zażądała regencya sprawozdania, czy gmina ewengelicka gotową jest do przyjęcia kościoła a w danym razie pod jakiemi warunkami.

Odpowiedź była potakującą (16. 12. 1832 r.); ale znów zażądano, aby kościół wyrestaurowano na koszta kasy państwowej. Wkrótce zjechał landrat świecki v. Pape do Nowego i pertraktował w tym przedmiocie z gminą ewangelicką d. 22. 3. 1833 r. Wreszcie na zebraniu z d. 10. 4. 1836 r. oświadczyła się gmina ewangelicka, że propozycyą regencyi z wdzięcznością przyjmuje. Deklaracyą tą zostały dalsze losy kościoła pobernardyńskiego przypieczętowane. Chodziło teraz już tylko o czyste formalności. Dla uzu-



Krzesło składane. Styl starogotycki.

pełnienia szczegółów tych dodajemy, iż gmina ewangelicka w owe czasy (1837 r.) liczyła następujących członków po nad lat 14:

Miasto Nowe i Nowyświat czyli Błądziejewo (Neuthal) razem	529.
Miejski Tryl (Städtisch Treul)	37.
Bochlin czyli Zapusty	22.
Radziejewo (Rathskaweln)	15.
Miejskie Psiny	6.
Razem	609.

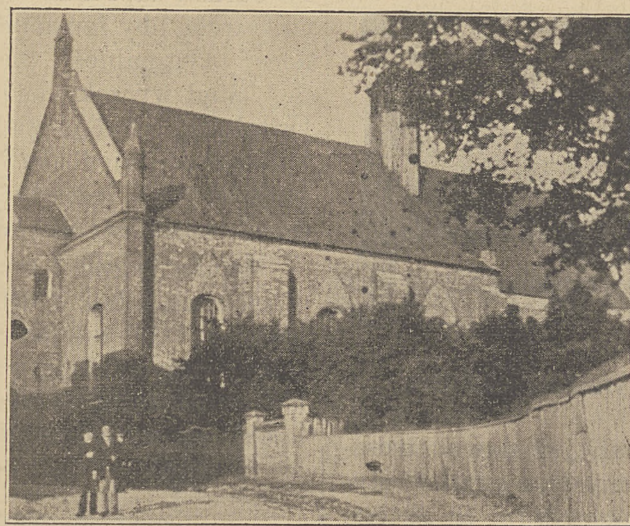
Dnia 24-go listopada 1837 roku wy-

znaczył landrat świecki v. Pape termin w Nowem do traktowania o obsadzeniu opróżnionego (po śmierci duchownego Neuhausa) probostwa ewangelickiego nowskiego i równocześnie do porozumienia się względem przewłaszczenia kościoła pokłasztornego, ale kontrakt z fiskusem zawarto dopiero 12-go grudnia 1839 roku i to w ten sposób, że gmina oddała fiskusowi dotychczasowy kościół z zamku starościńskiego urządzony, fiskus zaś kościół katolicki pobernardyński gminie ewangelickiej. Co do dzwonów pozwoliła regencya dnia 30-go czerwca 1840 roku, iż mogą być używane przy pogrzebach ewangelickich, ale zastrzegła sobie cofnięcie tego zezwolenia. Ponieważ kontrakt pod względem formalnym nie zupełnie odpowiadał wymaganiom, spisano drugi dnia 28-go maja 1841 roku, który uzyskał aprobatę magistratu nowskiego i reprezentacyi miejskiej na posiedzeniu radnych dnia 29-go czerwca 1841 roku. Aprobatę rajców nowskich podpisali: Lehmann, Morgenroth, Birkenhagen, Szczepański, Witt, Werner, Gruehn, Mein. — Burmistrzem nowskim był Kownacki. Katolikiem pomiędzy temi osobami był tylko Szczepański.

Sprawa odjęcia kościoła klasztornego katolikom nie spotkała już dalszych trudności. Kontrakt z dnia 28 maja 1841 roku potwierdziła regencya dnia 9-go stycznia 1842 roku, a następnie i ministeryum. Tradycya nastąpić miała już 13-go października 1843 roku, ale gmina odmówiła na razie przyjęcia, ponieważ okazały się pewne niedostatki w dokonanej przez rząd restauracyi kościoła. Wskutek tego otrzymał inspektor budowlany Angelroth od regencyi polecenie, aby te niedostatki usunął. Z polecenia tego wywiązał się Angelroth ku obustronnemu zadowoleniu i doniósł dnia 20-go marca 1844 roku, że wszystko podług zarysu zostało wykonane.

Podczas tych pertraktacyi mieszkali w zabudowaniach klasztornych zawsze jeszcze niektórzy rzemieślnicy a przy nich i woźny rentamtu. Wszystkim wypowiedziano mieszkania na wiosnę 1841 czy też 1842 roku, a następnie zerwano klasztor z wyjątkiem sklepów. Pospieszono się ze zniszczeniem podobno dla tego, aby pozbawić katolików raz na zawsze nadziei przywrócenia dawniejszego stanu rzeczy, choć zabudowania służebne mogły długo jeszcze z pożytkiem. W chwili tradycyi kościoła w roku 1844 pozostał przeto już tylko plac po budynkach klasztornych. Razem z kościołem oddano gminie ewangelickiej część tego placu po stronie południowej kościoła aż do fundamentów budynku klasztornego południowego. Drugą część placu zarezerwowano jeszcze dla stanów prowincyonalnych celem założenia domu korekcyjnego.

Uroczyste poświęcenie ewangelickie nastąpiło dnia 20-go października 1844 roku. Po południu o godzinie 2-giej zebrali się ewangelicy na wspólny o-



Kościół klasztorny w Nowem nad Wisłą, w Prusach Zachodnich, który dnia 10. 9. 1899 r. zniszczył pożar doszczętnie.

biad, aby dać wyraz uczuciom radości, jaka ich ze strony rządu wbrew pierwotnym oczekiwaniom spotkała. W dwa tygodnie potem, dnia 3 listopada 1844 roku odbyło się święto reformacyjne przy udziale nowego proboszcza ewangelickiego Martinsa.

A katolicy? Nie wiemy, o ile który z nich, mówiąc tu stylem biblijnym, miał odpór w uściech swoich. Co do proboszcza katolickiego Breszka, to pozostawił tenże wspomnienie wdzięczności u ewangelików. Podnoszą oni jego zasługę, że uspakajał lud katolicki, który czuł się w sercu zranionym z powodu przebiegu całej sprawy z kościołem i klasztorem pobernardyńskim:

— Cóż chcecie, — mawiał on, — macie swój kościół, który nie zapełniacie, niech więc i ewangelicy mają. — (Mieliż oni przecie, jak wyżej obszernie się powiedziało, swoję świątynię, a klasztornego kościoła nie tylko że nie potrzebowali, ale z początku wcale sobie nie życzyli).

Pozostały jeszcze grunta klasztorne, a mianowicie ogród klasztorny, mała i duża łąka i plac klasztorny, którego część już do kościoła poklasztornego dla ewangelików przyłączono. — Wszystkie te pozostałe nieruchomości odstąpił fiskus kontraktem z dnia 4. grudnia 1845 roku stanom prowincyi pruskiej w zamian za realności poklasztorne w Grudziądzu, zastrzegając sobie tylko pewną część placu klasztornego pod projektowany dom sądowy i więzienny. Roku następnego cząstkę tę oddano fiskusowi sądowemu; ten zaś w roku 1865 przewłaszczył ją dyrekcyi prowincyonalnej cła, ale już roku 1867 otrzymał ją z powrotem.

Ogrody i łąki rozparcelowano 1858 roku. Wynosiły one wtedy: [1])

10 kw. prętów podwórza, 9 mórg 82 kw. prętów roli i ogrodu, 110 mórg 115 kw. prętów łąk i pastwisk, 11 mórg 10 kw. prętów wody, dróg i nieużytków. Razem 130 mórg 37 kw. prętów.

Roku 1858 nabyli parcele:

Ernst Rohde 3 morgi, 5 kw. prętów, Edward Fuchs 1 morgę 60 kw. prętów, Ludwik Gorsch 4 morgi 52 kw. prętów, Hellwig 1 morgę 85 kw. prętów. Jan Ziółkowski 2 morgi 116 kw. prętów, Nowowieski 5 mórg 52 kw. prętów, Wierzbicka, wdowa po Kurku 3 morgi 11 kw. prętów, Zawalich 3 morgi 15 kw. prętów, gmina ewangelicka 3 morgi 20 kw. prętów, razem 21 mórg 56 kw. prętów.

Kiedy termin [2]) sprzedaży gruntów tych przez przybicie ogłoszeń na drzwiach kościelnych i rogach ulic obwieszczono, starał się katolicki proboszcz Nelke uratować cośkolwiek przynajmniej dla trzech miejscowych katolickich nauczycieli, mianowicie dla Rudnera (ojca ks. biskupa Leona Rudnera) i Mężyńskiego, którzy się obawiali, że przy separacyi łąk miejskich wolne pastwisko dla swej krowy utracą. Ze względu na to wniósł ks. Nelke, aby choć małe cząstki łąk poklasztornych wyznaczono dla szkół nowskich, zwłaszcza, że już przy rozcząstkowaniu dóbr postarościńskich nauczyciele tak katoliccy jak ewangeliccy mieli być uwzględnieni, ale z niewiadomych przyczyn zostali pominięci. Próba ta nie odniosła pożądanego skutku.

Resztę gruntów, która jeszcze 109 mórg 161 prętów obejmowała, rozparcelowano w roku 1863 na mocy kon-

[1]) Pomiar uskutecznił 1833 r. geometra rządowy Boien. r. 1857 zaś Pawlikowski.

[2]) Ternin 8/4 1858.

traktów z dnia 23. 2. i 8. 4. Rozłożono je na mniejwięcej 80 działów, które pokupowali niemieccy ewangielicy, a z małemi wyjątkami też i katolicy.

Ów plac pod budynek sądowy i więzienny najdłużej pozostał w ręku rządowym. Dopiero roku 1871 sprzedano go malarzowi Ehmerowi za 450 tal.

XIII

Stan kościoła w roku 1893.

Strona zewnętrzna jest niezmieniona; tylko płot żelazny i okna malowane pochodzą z czasów pokasacyjnych.

Wnętrze kościelne.

Wielki ołtarz jest ten sam, który tu był za czasów zakonników, choć odnowiony, ale nie zmieniony. Tylko na miejscu obrazu pierwotnego, który dostał się prawdopodobnie do fary, znajduje się nowy na płótnie, wyobrażający Chrystusa Pana, z napisem: Ich bin der Weg und die Wahrheit und das Leben. Niemand kommt zum Vater denn durch mich. Joh. 14. 6.

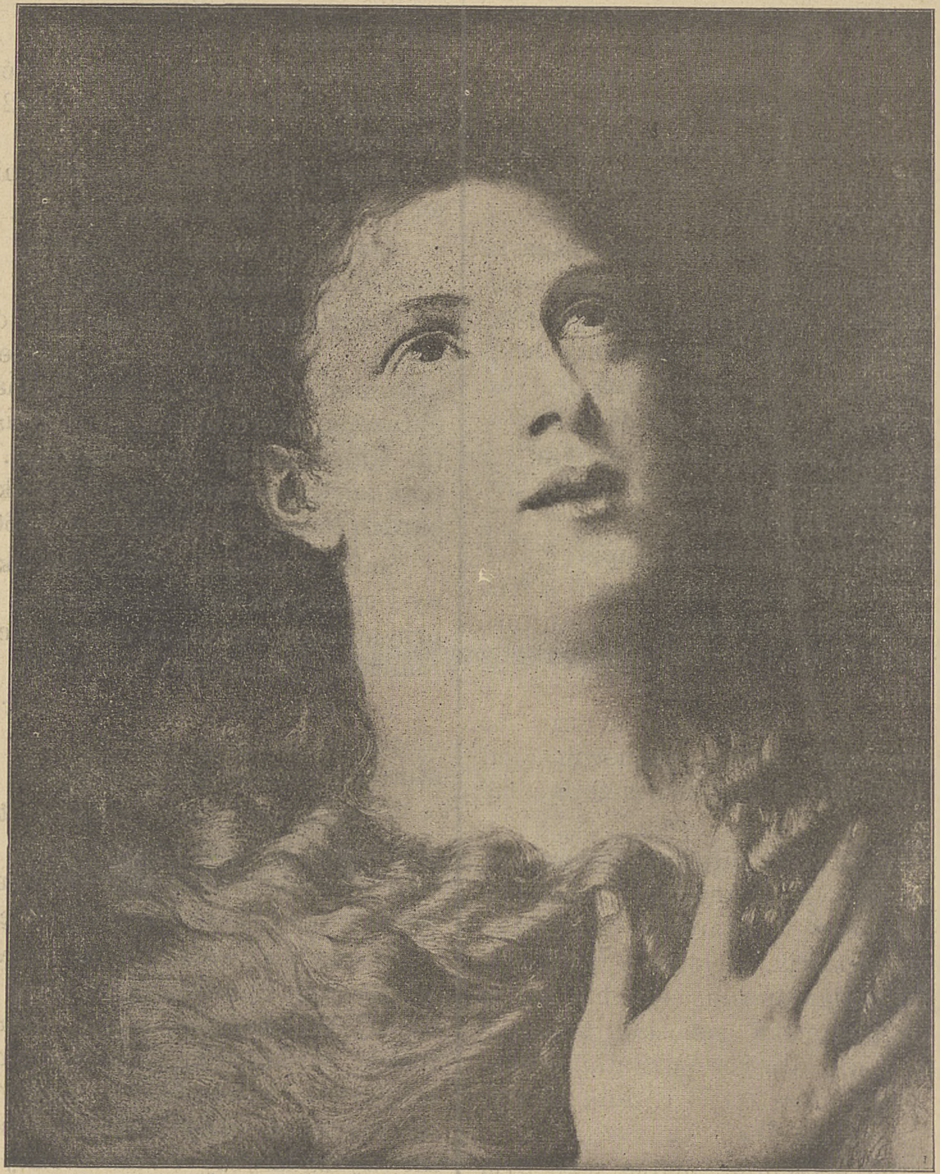
Gestiftet 1877 von Edward Hünschmann auf Vorwerk Neuenburg. Gott zu Ehren zum Gedächtniss der früh vollendeten Tochter weiland Geheimen Justitzräthin Marie Henriette Elisabeth Schmidt geborenen Hübschmann, geboren den 22 November 1842, gestorben den 21 März 1877 [3]).

Oprócz tego jest nad tym obrazem drugi mniejszy, (krzyż, kielich i biblia) z napisem następującym: Gestiftet 1877 von Marie Therese Agnes v. Laszewska.

U szczytu ołtarza herb Eilenberk [4]), nad nim na podniebieniu kościelnem inicyały in hoc Salus.

Przy ambonie pod filarem i obok niego znajduje się ułamek epitafii, która prawdopodobnie niegdyś przeznaczoną była do grobowca kasztelana chełmińskiego Jerzego z Konopat Konopackiego [5]), (który 1604 r. sprowadził tu Bernardynów i w krótce potem umarł) i małżonki jego Elżbiety Dąbrowskiej starościanki radzyńskiej.

Odczytać można jeszcze: Hic Requiescit M. G. Georgius a Konopat...... owa Conjuges. Ora pro eis. (Tu spoczywa wielmożny urodzony Jerzy z Konopatu ...... owa małżonkowie. Módl się za nich). Że złożono tu i małżonkę Jerzego, Elżbietę z Dąbrowskich, starościankę radzyńską, dowodzą słowa: „módl się za nich'', jak również i dwa herby na tym kamieniu wyryte, lubo już niewyraźne. Na ułamek ten zdaje się nikt dotychczas nie zwrócił uwagi. Odkryliśmy go przypadkiem, szukając pod ławkami jakich zabytków z czasów dawnych. Jest on ze względu na osobistość Jerzego Konopackiego cenną pamiątką klasztorną.



Tizian. **Święta Magdalena.**

Za ołtarzem znajduje się ułamek epitafii z napisem: Elizabeta Dom......, który należeć może do epitafii Jerzego, stanowiąc całość kamienia grobowego Jerzego i Elżbiety z Dąbrowskich małżonków Konopackich.

XIV.

Przed ołtarzem umieszczonych jest 5 epitafii:

Pierwsza z nich, bez ornamentacyi, nosi następujący napis:

Generosa et nobilis Domina Anna a Conopath, magnifici olim Domini Georgii a Conopath, Castellani Culmensis filia et generosi Domini Ernesti de Krokowa conjux dilectissima mortua 13 novembris anno 1610 in arce Mevensi.

(Urodzona i szlachetna pani Anna z Konopat wielmożnego niegdyś pana Jerzego z Konopatu kasztelana chełmińskiego córka i urodzonego pana Ernesta z Krokowej [6]) najdroższa małżonka zmarła 13 listopada 1610 r. w zamku gniewskim).

W tym samym rzędzie druga przyozdobiona jest herbem Gozdawą i zawiera jedynie napis: „Anno 1749''.

Trzeci kamień z rzędu służył niezawodnie do pokrycia i otwierania grobowca, ponieważ na wszystkich czterech rogach są wdrążenia od kół żelaznych, za pomocą których wyważyc go było można. W górnej połowie wyryty jest herb Leliwa z literami S. C. U spodu napis: „Hic jacet peccator Sebastiannus Czapski castellanus Culmensis, qui obiit d. IV. Martii Anno 1699''.

---

[3]) Jam jest droga, prawda i żywot. Nikt nie przychodzi do ojca jedno przezemnie. Jan 14. 6.

Fundacya Edwarda Hübschmanna na folwarku nowskim z r. 1877. Bogu na chwałę przez pamięć na zgasłą przedwcześnie córkę niegdyś tajną radczynią sprawiedliwości Maryą Henrykę Elżbietę z Hübschmannów Schmidt, ur. 22. 11. 1842; zm. 21. 3. 1878 r.

[4]) Eilemberkowie mieszkali około 1600 w Jani.

[5]) W kościele św. Stanisława w Świeciu są grobowce: Jerzego K. starosty św. † 28. 2. 1513, Jerzego K. także starosty św. † 27 10. 1566, Macieja K. wojewody pomorskiego † 1540.

[6]) Krokowa leży w powiecie Wejherowskim.

(Tu spoczywa grzesznik Sebastyan Czapski kasztelan chełmiński, który umarł d. 4 marca roku 1699).

Czwarty w tymże rzędzie ma podobne znaki od wyważania jak poprzedni. Herby na nim wyryte są dwa: Leliwa i drugi zatarty, zdaje się Ogończyk. Napis także znacznie uszkodzony.

Odczytać można już tylko część:
D. O. M. Monumentum
. . . . . . Alexander Czapski.
. . . . . et conjunx consors.

Ostatni kamień wmurowany obok czterech poprzednich jest najwspanialszy. Wyryty na nim rycerz w zbroi z głową odkrytą. Prawa ręka wsparta o bok, lewa na mieczu. U prawej nogi leży kołpak. W górnym rogu po prawej strony głowy umieszczony herb, którego tarcza przedzielona jest na cztery części. Obydwa górne pola wyrażają herb konopackich „odwagę“ i herb „Dąbrowę“, dolne zaś herby „v. Penkaw“ i „Eilemberk“.

W koło tego kamienia napis:

„Stanislav mag. olim Georgii a Konopath Castell. Culmens, ac Capitanei Suecensis filio vivo multis ac egregiis virtutibus praedito fratres superstites amoris et dulcis memoriae ergo hoc monumentum moesti posuerunt qui obiit 1608 die 12 Januarii aetatis suae 47“.

(Stanisławowi niegdyś Wielmożnego Jerzego z Konopatu kasztellana chełmińskiego i starosty świeckiego synowi, za życia wieloma i rzadkiemi cnotami obdarzonemu, pomnik ten w smutku pogrążeni pozostali bracia z miłości i dla drogiej pamiątki wystawili; który umarł 1608 r. dnia 12 stycznia licząc lat 47).

Żył on bezżennie; matką jego była Anna z Sztemberku Kostczanka.

Zewnątrz kościoła w ogrodzie przed drzwiami bocznemi leży pęknięta duża płyta kamienna. Napis gotycki, zupełnie zatarty.

Za ołtarzem znajduje się *woreczek ofiarny* z starożytnym srebrnym haftem i rączką mosiężną również bardzo starą.

Zakrystya znajduje się tam gdzie dawniej.

Tu ostatni zakonnik, O. jubilat Roman Wax [7]) odprawiał pod koniec żywota swojego Mszą świętą. Obecnie wisi tu portret Marcina Lutra i Melanchtona. Na środku stoi chrzcielnica; obok niej stół do zapisu, na nim kilka kancyonałów.

Chrzcielnica jest widzenia godna. Składa się ona z talerza mosiężnego z gotyckim już nieczytelnym napisem i dzbanka cynowego. Na tle talerza, który spoczywa na żelaznym postumencie, wyrażony jest baranek z chorągiewką. Talerz podobny znajduje się w kościele farnym nowskim. Dzbanek jest rozmaitemi figurami alegorycznemi i ornamentami przyozdobiony i ma podług opinii znawców niepoślednią wartość artystyczną. Przybory [8]) te pochodzą z XV wieku.

Organy są przez ewangelików zakupione. Klasztornych już 1842 roku nie było.

Chóru dzisiejszego dawniej nie było, wystawili go ewangelicy.

Ławki przenieśli ewangelicy z dawniejszego swego kościoła.

Sufit kościelny składa się z dwóch części. W pierwszym chórze jest drewniany i przyozdobiony rozmaitemi obrazami, które tajemnice z życia Matki Najświętszej przedstawiają. Robota tak snycerska jako i malarska jest bardzo ładna i pochodzi z r. 1660.

Sufit w drugim chórze jest sklepiony i spoczywa na 6-ciu filarach, dzieło przynoszące zaszczyt sztuce architektonicznej, pochodzące z 1607 r.

Na łuku, który pierwszy chór przedziela od drugiego, mieści się herb miasta z czasów pokasacyjnych.

Portyk ma herb miasta, tablice przykazań Boskich i herb pruski, wszystko z czasów świeżych. Z dawna pozostał tylko kamień od wody święconej.

Wieże kościelne są niezmienione. W głównej, murowanej, w ulicę wchodzącej, umieszczono zegar, który dawniej w budynku klasztornym się znajdował. Około 1840 r. uderzył obok tej wierzy w szczyt kościelny piorun, nie wyrządziwszy znamienitszej szkody. Mniejsza wieża, drewniana, wznosi się na dachu, pomiędzy chórem pierwszym i drugim.

Dzwony wisiały jeszcze 1892 r. tak jak za czasów zakonników.

Na głównej wieży:

a) jeden duży z napisem: Anno Domini 1606 . . . . . . si Deus pro nobis,

b) dwa małe z nowszych czasów.

Na wieżyczce nad kościołem:

c) jeden z gotyckim napisem,

d) drugi, mniejszy, z 18-go stulecia, z napisem . . . . Gloria.

Góra kościelna. Ze dworu po stronie północnej wiodą murowane schody na górę. Po nad sufitem chóru pierwszego położona jest kompletna podłoga. Ztąd wychodzi okienko na Wisłę piękny odsłaniając widok. Tu podobno obserwowali zakonnicy nadchodzące statki, chcąc prosić o ofiarę dla swego zgromadzenia.

Ponad sklepionym sufitem chóru drugiego pozaprowadzane są belki, na których środku znajduje się także podłoga. Zdaje się, że dawniej przybita była ze wnętrza kościoła do belek tych (lub innych na ich miejscu) posowa drewniana, że przeto, przed wzniesieniem sklepienia 1607 r., był sufit drewniany, wyższy od dzisiejszego murowanego. Wskazują na to też widoczne jeszcze ślady dawniejszych malowideł ściennych, które po nad sklepieniem się znajdują. Malowidła te, pospolitego zupełnie pędzla, przedstawiały sceny z życia Najśw. Maryi Panny i były opatrzone stosownemi wezwaniami łacińskiemi. Na ścianie południowej odczytać można wyraz „Gedeon“ (prawdopodobnie z godzinek do N. M. Panny: Runo Gedeona). Na ścianie ku ulicy widać jeszcze również zwyczajnego pędzla półksiężyc. Będzie to fragment herbu Czapskich Leliwa, dziedziców Bękowa i dobrodziejów klasztoru nowskiego. Ponieważ sklepienia murowane włożono 1607 r.[9]), przeto malowidła te muszą być starsze i pochodzić z czasów, kiedy posowa ich nie zasłaniała.

Widać też ponad sklepieniem dzisiejszem w ścianach obwodowych chóru drugiego i równolegle w murze, który się na wewnętrznych filarach opiera, pewne zagłębienia, z których wnosić można, że oparte na nich były 3 łuki na lewej i 3 na prawej stronie, które tworzyły sklepienia pierwotne, dla sześciu oddzielnych części kościoła, w których urządzone może były cztery kaplice, kruchta uboczna czyli portyk i na stronie przeciwległej, zakrystya.

XV.

Stan krypty w r. 1893.

Z wnętrza kościoła wiodą — zwykle drewnianemi i na klucz zamkniętemi drzwiami zakryte — schody do sklepu — kościelnego (fornix ecclesiae) który przeznaczony był na pochowanie dobrodziejów klasztoru i innych zasłużonych osób miasta i okolicy. Piękne sklepienie jego wsparte jest na kamiennym filarze. Na wschód, ku Wiśle, wychodzą dwa okienka żelazną zabezpieczone kratą. Wskutek tego jest tu zupełnie widno. Do koła ścian napiętrzone są trumny różnej wielkości, niektóre zakryte, po największej części otwarte. Na niektórych są jeszcze czytelne napisy, t. n. p. 1697, 1738, 1756 O. Z. Z. A. 1772, 1782, 1795, 1800

[7]) 17. 6. 1822

[8]) Odlewy znajdują się w prowincyonalnem muzeum w Gdańsku.

[9]) Fankidejski podaje 1608 r. Myśmy wzięli rok 1607 ze względu na umieszczenie liczby tej na ołtarzu wielkim.

14 Febr. — W trumnach znajduje się mnóstwo trupów, razem około 90; niektóre są dziś jeszcze doskonale zachowane. Między innemi poznać można po ubiorze kapłana, który za życia był dobrej tuszy.

U wielu widać jeszcze szczątki ubioru, niekiedy jedwabnej i innej drogocennej materyi.

Najlepiej zachował się mężczyzna o kształtnych rysach twarzy w żółty jedwabny kontusz ubrany. Jest też jakaś otyła kobieta, o której utrzymała się tradycya, że była ona dziedziczką Kozielca. Druga, również silnej kompleksyi, leży na innem miejscu. Zachował się też doskonale trup młodego mężczyzny z wklęsłą piersią. W jednej trumnie mieści się dwoje dzieci. Niektóre, przez ząb czasu znacznie uszkodzone, są próżne. Jedna, największa, jest podwójną, ma ładne metalowe okucie i strzępy czerwonego adamaszkowego obicia.

Swieże i suche powietrze, do którego się wysokość góry kościelnej przyczynia, sprawiło niezawodnie, że niejeden z nieboszczyków zachował się tak, jakoby był zabalsamowany. Dla tego też na całą okolicę znany jest kościół poklasztorny z mieszczących się w jego podziemiach „mumii.“

XVI.

Zakończenie.

Pożar niszczy wszystko.

Dnia 25. 10. 1899 po południu o godzinie 3-ciej wybuchł pożar w domu Hirschfelda w ulicy klasztornej i rozszerzył się wskutek wichru bardzo szybko. Zgorzało pięć kamienic wraz z tylnemi zabudowaniami, a od iskier zajęła się też wieża dawniejszego kościoła klasztornego. Niebawem objął pożar i kościół, ogień dotarł nawet do sklepu, gdzie trumny i szczątki pochowanych zakonników i dobrodziejów kościoła uległy zniszczeniu.

Złote listki.

Gnuśnością nikczemnieją ludzie, upadają i giną narody, pracą wszystko się utrzymuje, kwitnie i bogaci.

* * *

Nic srożej nie boli, jak chwile szczęścia wspominać w niedoli.

* * *

Znoszenie krzywd pochlebia wielkim duszom.

Uroczystości na Jasnej Górze.

„Gazeta Pol.“ w Warszawie od swego korespondenta z Częstochowy odebrała opis poświęcenia wieży klasztornej, dokonanego w dniu 15-tym b. m., z którego następujące wyjmujemy szczegóły:

Dla oddania właściwemi słowami tego co od niedzieli przeżywa już ludność Częstochowy i co przeżyje jeszcze aż do pierwszego w tym roku obchodu kościelnego Matki Boskiej Częstochowskiej, tj. do dnia 24 bm. — na to jest tylko jedno określenie — wielkie święto narodowe!

Tu przed cudownym obrazem Patronki i Królowej Polski zatarły się wszystkie różnice poglądów, umilkły waśnie stronnicze. Wszyscy ożywieni są jednym duchem i wszyscy dokładają starań, ażeby uroczystości na Jasnej Górze zadokumentowały przed całym światem, że, jak powiedział Jerzy Ossoliński, „panią gospodynią polskiego narodu jest święta wiara katolicka“.

I jest ona „panią“, i jest ona „gospodynią“, gdy na wezwanie przeora OO. Paulinów z najdalszych krańców, gdzie tylko rozbrzmiewa mowa polska, zbierają się krocie wiernych do starożytnej i wsławionej świątyni na Jasnej Górze.

Takiego podniosłego, takiego tłumnie nawiedzonego i taką harmonią odznaczającego się święta kościelnego, a zarazem narodowego, nie było chyba nigdy jeszcze u nas. Nawet 5 wiekowa rocznica istnienia kościoła tutejszego zbladła wobec tego, co na doroczne święto odpustowe Wniebowstąpienia N. M. Panny przygotowano.

Zasługa to ogromna przewielebnego generała OO. Paulinów, ks. przeora Euzebiusza Rejmana.

* * *

Odpust tegoroczny przybrał tak wielkie i tak wspaniałe rozmiary dla tego, że nareszcie po sześciu latach trudów i zabiegów nad Częstochową i daleką okolicą króluje w jeszcze wspanialszej, niż dawniej postaci, wyniosła wie-



Jan Wasilewski. **Na grzyby.**

ża Jasnogórska. Poświęcenie tej wieży i wszystkich dzieł sztuki, które ona w sobie mieści, jest osią obecnych uroczystości.

Powiem, że zbyt skromną obrano nazwę: „poświęcenie wieży'', nie ona bowiem jedna sprowadziła potężne upiększenie zaniedbanej przez czas bardzo długi świątyni. Tu wszystko niemal doprowadzono do porządku. Wzmocniono stare mury, pobudowano naokół kościoła nowe, zaprowadzono wzorowe drogi, wytknięto ścieżki i wysadzono drzewami, podwórce obszerne wyrównano, nawet stragany, te słynne stragany częstochowskie, tak jakoś szczęśliwie rozmieszczono, że nietylko nie rażą, ale nawet czasami czystością wnętrza i formą altany na zewnątrz nęcą oko.

Słowem, kto od lat kilku nie był na Jasnej Górze, ten nie może nie dostrzedz zdumiewającej różnicy pomiędzy tem, co było, a tem co jest.

Miał z czem wystąpić Ojciec Rejman i miał prawo pochlubić się przed całym ogółem polskim wypieszczoną przez zakon OO. Paulinów świątynią. Ogół zaś ten pospieszył na wezwanie czcigodnego przeora i wraz z zakonnikami oddaje się radości niekłamanej na widok jednej z najwspanialszych w świecie świątyń Pańskich.

* * *

Ilu księży przybyło z różnych stron kraju, a nawet świata, tego dotąd obliczyć nie było sposobu. Sukienek księży świeckich i zakonnych uwija się bardzo wiele, gdyby jednak była przyjechała ilość podwójna, to jeszcze niewystarczyłaby do zaspokojenia wszystkich potrzeb religijnych pielgrzymów. Konfesyonały w oblężeniu, a kazania na zaimprowizowanych ambonach pod drzewami, na ławkach itp., wygłaszane są od samego rana bez przerwy.

Przybył nawet gość z Patagonii, ks. Cynalewski. Ksiądz C. pochodzi z W. Ks.Poznańskiego z pod Wągrówca.

* * *

Utrzymanie porządku powierzono strażom pożarnym i milicyi narodowej. Trzeba przyznać, że ze swego zadania wywiązali się tak strażacy jak milicya narodowa jak najlepiej. Pomimo upalnego dnia i bądź co bądź bardzo trudnej pracy wytrzymali na swym posterunku, za co należy im się publiczne podziękowanie. Straże pożarne z Zagłębia stawiły około 300 chłopa, a z innych okolic przeszło 600, tak że razem ich było około tysiąca.

Milicya obywatelska składała się z wyrobionych ludzi z rozmaitych stron. Milicyę organizowali i zajmowali się nią pp. Gęsiorowski, Mikuliński, Michalski, Drzewiecki, Rybak i inni.

* * *

Szczególną uwagę trzeba zwrócić na pochód narodowy. Około godziny 7 i pół rano wyruszyły z Jasnej Góry rozmaite kompanie z chorągwiami i sztandarami narodowemi na stacyę częstochowską; w drodze tamdotąd spotkano pątników z Zagłębia i Żyżardowa, sformowano następnie pochód wspaniały i ruszono w wzorowym porządku na Jasną Górę. Przed wałami klasztoru pochód podzielił się na poszczególne kompanie i zajął miejsce przed wałami. Pochód był wart widzenia i niejednemu, który pozwolił się wciągnąć w sidła międzynarodowego socyalizmu, oczy się otworzyły i wyrzekł się na zawsze tych rzekomych przyjaciół robotników. Więcej takich pochodów, więcej takich uroczystości a ustanie na pewno walka bratobójcza bo zostaną tylko wodzowie socyalistyczni bez armii, którą nadużywali do swych celów politycznych.

* * *

Napróżno kusiłbym się o wyliczenie wszystkich kompanii, ciągnących raz wraz przez miasto ku Jasnej Górze. Jakie powiaty, jakie gminy reprezentowane są tutaj — nie pytajcie. Raczej zapytać się trzeba, jakie powiaty, gminy i parafie nie przysłały wiernych? Jeżeli w przybliżeniu podają ilość pątników na 400,000 i jeżeli weźmiemy pod uwagę, że każda kompania liczy przeciętnie po 250 osób, to możemy sobie wyobrazić, zkąd i kto przybył.

Nie upływa nawet 15 minut, ażeby o mury miasta nie rozbrzmiewały pieśni pielgrzymów. Trąby huczą, bębny warczą, a śpiewy pobożnych tłumów zagłuszają te dźwięki.

Nie próbując też wyliczyć wszystkich kompanii, nie mogę jednak pominąć niektórych, szczególniejszą efektownością się odznaczających. A więc przedewszystkiem kompania kaliska, licząca 4000 osób. Zdrowie i siła przebijała się u tych Wielkopolan, którzy sfornie i spokojnie przy dźwiękach własnej orkiestry, z pochodniami, latarniami i świecami płonącemi w ręku, kroczyli przez miasto.

Niemniej barwnie przedstawiała się kompania w strojach krakowskich, a już bardzo wdzięcznie wyglądały panny z Błaszek jednakowo poubierane i niezwykle urodziwe. Białe suknie i staniki, a na tem wyszycia wstążkami amarantowemi przedstawiały się niezwykle malowniczo i sympatycznie.

Jeszcze słówko poświęcić muszę „Towarzystwu pielgrzymów'' z Poznania. Pielgrzymi poznańscy — to ludzie przeważnie średniej inteligencyi, u których w ubraniu, zachowaniu itd. znać znaczny nawet dobrobyt. Przybyli oni z najokazalszym sztandarem amarantowym, z orłem ze srebra i 2 chorągwiami. Po złożeniu hołdu w kaplicy Matki Boskiej, przewodnik p. Łukomski, dowiedziawszy się, że nadciąga jedna z licznych kompanii warszawskich, natychmiast uformował do marszu karne szeregi i ruszył po za miasto na spotkanie nieznajomych braci. Chwila zetknięcia się pielgrzymów z sobą, furgotanie chorągwi i sztandarów na znak radości, wspaniałe po prostu czyniło wrażenie.

A ileż takich wrażeń możnaby wynieść z tego święta narodowego, gdyby w ludzkiej było mocy być wszędzie i widzieć wszystko?

* * *

W wigilię święta Matki Boskiej, to jest we wtorek wieczorem była iluminacya klasztorna. Niezliczona ilość lampek elektrycznych, które były przymocowane na wieży i klasztorze, rzucały jasność swą w około klasztoru. Palono sztuczne ognie, które wprowadzały w podziw widzów.

Jesteśmy pewni, że ta wspaniała uroczystość poświęcenia wieży jasnogórskiej przypomniała uczestnikom, że religia katolicka jest skarbem, którego za żadną cenę świata pozbyć się nam nie wolno.

* * *

Tysiące pielgrzymów nie dotarło przed Cudowne Oblicze, lecz sama ich obecność w Częstochowie policzoną im będzie na szali zasług. Tysiące poszły, a cała Polska łączy się z nimi w ten dzień radosny: myślą i modlitwą staje wraz z nimi u stóp Jasnej Góry, wołając z głębi wzruszonego serca: O Matko nasza, cześć Tobie! O Panno Jasnogórska, przyczyń się za nami!

Z legend o Matce Bożej.

W święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, przypadające dnia 15-go sierpnia, nabożeństwo na Jasnej Górze kończy się pod wieczór. Choć ostatnie uderzenie dzwonów klasztornych prześle dobranoc miastu i okolicy, tysiące ludu zgromadzonego z różnych stron, śpiewają jeszcze pieśni nabożne do tej Królowej nieba i ziemi.

Najświętsza Panienka, niewidziana oczami ludzkiemi, a przytomna w swej ślicznej kaplicy po skończonych uroczystościach święta tego, unosi się z Jasnej Góry w niebiosa i wstępuje na

błyszczącą drobnemi gwiazdami mleczną drogę, którą dla niej Pan Jezus usypać kazał swoim aniołom. Szlakiem tej drogi zmierza ku drugiemu cudownemu obrazowi swemu, co od wieków słynie w Ostrej Bramie w Wilnie, by i tam, jak na Jasnej Górze Częstochowskiej, pobłogosławić pobożnemu ludowi swojemu.

Co roku, gdy tak idzie po tej mlecznej drodze, boską swą stopą strąca gwiazdy, a te spadając, znaczą ciemny błękit nieba długą, świetlaną smugą. Opowiada lud tamtejszy: „W miesiącu sierpniowym najwięcej gwiazd co rok spada z nieba, bo Matka Boska, idąc z Częstochowy do Wilna, strąca je świętemi nóżkami Swemi“.

* * *

Pewien gospodarz doznawał co lato wielkiej klęski. Zboże już wykłoszone grad nawalny wytłukł do szczętu, tak, że w czasie żniw nie miał poco schylać się na polu. Cierpiał też wiecznie niedostatek z całą swoją rodziną i z całym dobytkiem swoim. W tem nieszczęściu poszedł na Jasną Górę, błagać Najświętszą Pannę o zmiłowanie. Po skończonym odpuście, wieczorem, pobożny, biedny nasz gospodarz, zabiera się z powrotem do domu. Odchodząc, pada krzyżem na kamieniach przed kaplicą M. B. i modli się gorąco do Niebieskiej Orędowniczki naszej.

W tejże samej chwili z nocnego błękitu oderwała się jedna gwiazda, która zatopionemu w modłach rolnikowi spadła prosto do rąk w kształcie srebrnego sierpa.

Pobożny gospodarz schował przy sobie niebieski podarek.

Pełen ufności i pocieszenia, corychlej wraca do domu. Trzy dni pracował na polu jako żeniec z sierpem srebrnym, a tam, gdzie grad plon mu wybił, zboże wstawało z powrotem. Nie widział nigdy jeszcze tak gęstych i pełnych kłosów. Stodółka i poddasze pomieścić nie mogły wszystkich snopów jego zboża, tak, że z nich i stertę osobną musiał ułożyć na polu. Żniwo było spóźnione, ale niezwykle bogate.

Kiedy już się uporał ze zwózką i stertą, szczęśliwy rolnik zabrał całą swą rodzinę i poszedł z nią w kompanii na odpust, co przypadał w święto Narodzenia Matki Boskiej, żeby Jej złożyć, serdeczne dzięki za pomoc doznaną w niedoli.

Już w przeddzień tej uroczystości, dochodzili do podnóża Jasnej Góry, gdy naraz powstała dokoła nich wielka jasność... W tej chwili z rąk gospodarza zniknął sierp srebrny, który on niósł do kaplicy, by go tam zawiesić przy innych ofiarach na ołtarzu przed Cudownym Obrazem w Częstochowie.

Sierp zniknął z ziemi; zabrali go anieli z nieba przysłani, aby jako srebrną gwiazdkę na dawnem miejscu zawiesić w błękitach u stóp Niebieskiej Królowej, co strąciła ją w rocznicę swych urodzin na ziemię, gdy jakiemu biedakowi, pobożnemu pątnikowi wśród niedoli będzie potrzeba znów srebrnego sierpa z nieba.

W pańskim lesie.

Gawęda.

I.

W nowy rok dwa lata miną
Jak człek w lesie służy,
Z każdą znam się tu drzewiną,
Choć las taki duży.

Jam nie ślepy ani głuchy
I wiem dobrze ścieżki,
Kędy z naszej wsi dziewuchy
Chodzą na orzeszki.

Bystry wzrok mam, czujne ucho
I psa z sobą wiodę
Oj! nie ujdziesz, mi dziewucho,
I zapłacisz szkodę!

Sarna — dziewka — płoche obie
W tem ja doświadczony!...
Sarnom złego nic nie zrobię,
Bo to czas ochrony.

Te złodziejki i oszustki
Umykają rączo,
Bo im z głowy ściągam chustki
Gdy się w lesie płączą.

Niechaj chrust zatrzeszczy ino,
Zaszumi gąszcz czarny,
Wiem, że mi się tu nawiną
Dziewki albo sarny.

Inna rzecz dziewczęta nasze,
Co jagody kradną
Już ja z lasu je wystraszę
Z ich psotą szkaradną!

Oj! zmykają!... Rzekłbyś nogi
Same je gdzieś niosą...
Nic dziwnego. Znają drogi
A w las chodzą boso.

Lecz niech jedną gdzie przychwycę,
Nie będę ja głupi,
Choćbym zabrać miał spódnicę
Złodziejstwo okupi!

Niechaj płacze, niechaj beczy,
Nie ujdzie jej sucho
„A nie ruszaj cudzych rzeczy,
Bo to grzech dziewucho!“

Niech zawraca na mnie ślepie
Jak umie najładniej;
Jeszcze plecy jej wytrzepię:
„Znasz siódme? Nie kradnij?“

II.

W lesie bywa na południe
Cicho — uroczyście
I słoneczko świeci cudnie
Po przez drzewin liście.

Idę z pieskiem, gdzie las rzadszy
Piesek warknął — słucha —
I ja patrzę i pies patrzy
Jest znowu: Dziewucha!

Widać była już zwyczajną
Brać, co nie jej własne...
Chce uciekać...
„Poczekajno!“
Za dziewczyną wrzasnę.

„Ja mam dozór nad tym lasem
To mój chleb i urząd“.
Pies nicpotem się tymczasem
Łasił u jej nóżąt.

I spojrzała się ukradkiem,
Mnąc wstążkę w warkoczu...
(Jeszcze takich — Bóg mi świadkiem —
Nie widziałem oczu...)

Do fartuszka oczy tuli
A z ócz kapią łezki
Na jej hafty u koszuli
I gorset niebieski.

Szlocha, ale patrzy mile,
Patrzy — oczka mruży
A za sobą chowa w tyle
Garnuszek nieduży.

Pies waruje u jej nogi
Jakby drwiąc z pogróżki
(Jeszcze takiej — Boże drogi! —
Nie widziałem nóżki!)

„Nie płacz! nie płacz, nie bądź głupią!
Nie chowaj garnuszka,
Łzy mnie twoje nie przekupią
Ani twoja nóżka!

Nie płacz! gorset się poplami,
Kara twoja taka:
Idź do domu z jagodami,
A mnie daj buziaka!...“

A dziewczyna kiwa główką
Jeszcze zapłakana:
„Powiem panu jedno słówko,
Zły gajowy z pana!

Niby strzeżesz w lesie szkody
Takiś mądry niby,
Aleś myślał, że jagody
A to przecie grzyby!...“

III.

Gdym ją widział — mija trzy dni
Trzy dni kawał czasu!...
. . . .
Codzień, rychło się rozwidni
Idę z psem do lasu.

Pies mój (dziwny zmysł już pieski)
Skręca do tej dróżki,
Gdzie gorsecik znikł niebieski
I dwie białe nóżki.

Pies zawęszy koło krzaków,
Ślepia na mnie wzniesie,
Jakby mówił: „Los biedaków
Tułać się po lesie!“

Pies spojrzeniem nieraz dotnie,
Jak człowiek słowami
I ja czuję, że markotnie
Tu między drzewami!

Służba w lesie?.. Ach! co mi tam!
Cóżby było gdyby —
Gdybyś przyszła?... — już nie spytam
„Jagody czy grzyby?“

Gdybyś była razem ze mną
— Mam w tym lesie władzę! —
Na jagody w gęstwię ciemną
Sam cię zaprowadzę!

Chylą się, strząsając rosę
Niby dyamenty
Mchy przed twoje nóżki bose
Jak w bajce zaklętej.

Krzaki co wśród leśnej drogi
Zwartym rzędem stoją,
Obejmują cię za nogi,
Niby panią swoją!

W lasu głębi dąb sędziwy,
Co sto lat ma blizko
Szumi liściem: Dziwy! dziwy!
Co to za zjawisko?!...

Cała śpiewa ci przyroda
Zgodnie w głosów krocie:
„Jaka piękna, jaka młoda
W całej swej prostocie“.

Słyszysz? słyszysz piosnkę rzewną
Wędrownego ptaka?
„Czyś zaklętą w czar królewną,
Czyś boginka jaka?...“
. . . .
Nic! nie mówi nikt — nie śpiewa
Prysnął czar mój cały,
Tylko szumią w lesie drzewa
Jak zawsze szumiały.

Może jeszcze przyjdziesz?... Któżby
Zgadł, co czas przyniesie!...
. . . .
Ciężkie dzisiaj dnie mej służby,
Służby w pańskim lesie!...

Konstanty Krumłowski.

Strach.

(Obrazek z życia górników.)

Ażeby prędzej przybyć do szybowego wyjazdu, Jan Kostka, młody górnik, puścił się „na bliższe drogi“. Nie znał jeszcze dobrze kopalni, mimo to jednak, tak mu spiesznie było na „świat“, tak się serce rwało do tej, która tam na niego z równem utęsknieniem czekała, że odważył się na krok tak śmiały, jakim jest droga przez „stare działa“.

Jemu jednak ani przez myśl nie przeszło jakieś niebezpieczeństwo; był młody, krzepki, pełen sił żywotnych w tym szczęśliwym wieku, gdy najtrudniejsze przedsięwzięcia zdają się być niczem wobec olbrzymiego zasobu energii i woli. Szedł rączym krokiem z wesołą na ustach piosenką, która dzwoniła o ściany chodnika, uderzała echem rozgłośnem o ciemne otchłanie komór. Wszystko szło z początku bardzo pomyślnie, tem lepiej, że chodnik był prosty i obszerny i że Kostka przypomniał sobie dokładnie drogę, którą raz przebywał w towarzystwie starych górników. Już się też cieszył naprzód, jak to on pierwszy po szychcie stanie w podszybiu u wyjazdu i jak potem skokiem znajdzie się tam, gdzie go tak bardzo serce ciągnie.

Idąc w ślad wesołym myślom swoim huknął teraz z całej piersi:

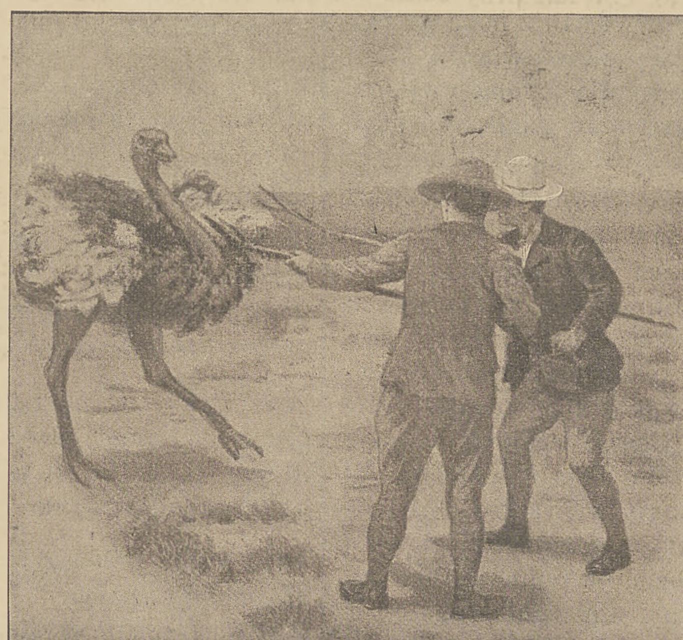
— Maryś, moja Maryś! — aż mu echo dalekiej komory odpowiedziało tak rozgłośnie, jakby to ona z nim się przekomarzała, powtarzając:

— Maryś!

Pierwsze zakłopotanie sprawiły Kostce rozstajne drogi, któremi się długi chodnik zakończył. Wiedział, że ma iść na zachód, ale zdać sobie nie mógł sprawy, w której stronie ten zachód leży?

Chodniki wszystkie były niskie i ścieśnione. Podpory z drzewa i dyle stopowe zostały miejscami tak zmiażdżone, że pień gruby zmienił się w drobne patyczki. Belki pionowe podostawały kolan, przez które sterczały wylupane trzaski i wyglądały, jak postacie zmuszone pod naciskiem olbrzymiego ciężaru do przybrania klęczącej pozycyi. Kostka po dłuższej chwili namysłu skręcił w jeden z mniej wygodnych chodników i zaczął się szybko między wązkiemi ścianami przesuwać. Po dłuższej wędrówce wszedł do komory i baczniej się po niej jął rozglądać. Komora ta wydała mu się obcą zupełnie. Ściany miała z wilgoci obślizgłe, powała była miejscami zabezpieczona belkowaniem i wsuniętemi poza belki deskami, ale snać i tu musiał być nacisk ogromny, bo drzewa były zdruzgotane, deski poprzełamywane i wszystko w takim wydawało się stanie, jak gdyby wraz ze stropem, na którym znać było duże szczeliny, każdej chwili runąć miało na ziemię. — Z komory, która ciągnęła się wszerz daleko tak, że część jej całkiem znikała w mroku, wiódł jeden tylko chodnik kręty, pochyły. Kostka zapuścił się jeszcze w ten chodnik, ale i tu zoryentował się łatwo, że on tą drogą nie chodził nigdy, że zabłądził i że mu trzeba będzie wrócić do głównego chodnika i skręcić w inną poprzecznicę na drogach rozstajnych.

Przy wejściu do komory chciał się rozglądnąć raz jeszcze, wzniósł do góry kaganek, by ją lepiej oświecić, ale w



Atak nasz nie powiódł się wcale.
(patrz artykuł „Niebezpieczna przygoda Anglika ze strusiem“).

tej samej chwili wpadło kilka kropel z powały wprost na płomień kaganka, który pryskając, sycząc i walcząc zawzięcie z wodą, musiał wreszcie uledz przeważającej sile drugiego żywiołu i zgasł.

Kostka został w ciemnościach.

Pierwszą myślą, która mu głowę przeszyła, było, czy ma przy sobie zapałki? i na samo przypuszczenie, że mógłby ich nie mieć, już go lęk obleciał. Ażeby kaganek mieć tuż przy sobie, usiadł na ziemi i rozpoczął pilne poszukiwanie całej odzieży. Ręce mu drżały jak we febrze. Po każdem bezskutecznem zapuszczeniu palców w kieszeni, zimny dreszcz go przechodził. Nareszcie gdzieś w samym rąbku długiej kapoty namacał jedną jedyną zapałkę. Ręce miał zmoczone obcieraniem zalanego wodą knota, więc je starannie wytarł o poły kapoty i ostrożnie siarnik zapalił. Ale przy błękitnym pierwszym płomyku ujrzał coś takiego, co mu odrazu strachem okropnym włosy zjeżyło na głowie. W odległości kilku kroków od niego stał ktoś w rozpostartym szeroko długim białym płaszczu. Kostka aż zadygotał cały; zbliżył zapałkę do knota, by coprędzej światłem odpędzić widmo, ale czy to wskutek drżenia ręki, czy też z powodu przesycenia opadłą z powały wilgocią knot rozświecić się nie dał, i Kostka znalazł się naraz w zupełnej ciemności.

W pierwszej chwili nie mógł zdać sobie sprawy, co począć; bezużyteczny kaganek wypuścił z ręki i chciał iść po omacku w kierunku chodnika, którym wszedł do komory. Rzucił się naprzód, ale uderzył zaraz w głaz, który go z nóg powalił. Starał się otworzyć szeroko oczy, by przecież coś dojrzeć w zupełnej ciemnicy, ale na czarnym odmęcie ani jedna nie odcinała się linia. Zdawało mu się tylko, że widzi białą postać bliżej siebie; zaczął drżeć mocniej na całem ciele, zacisnął silnie powieki i stał. Czuł jednak, że słabnie, że coraz mocniej uginają mu się kolana, więc przykucnął i siedział nieruchomy z oczyma zamkniętemi. Podrażniona i wyczulona wyobraźnia poczęła mu teraz nasuwać na pamięć wszystko, co kiedykolwiek słyszał od starych górników o dobrych i złych duchach kopalni. Widział jak najwyraźniej owe djabliki, co to płaczą się wszędzie w podziemiach i górnikom rozliczne wyprawiają psoty, a najchętniej siedzą w starych działach. Nie wątpił, że muszą być gdzieś niedaleko i że się wkrótce wezmą do niego. Ale Kostka był pobożny, więc zaczął odmawiać pacierz i żegnał się często. To mu znacznie ulżyło. Siedział teraz przez chwilę spokojnie, starał się zmysły skupić i jął zastanawiać się nad tem, czy przecież nie byłoby jakiego sposobu wydostania się z tej komory.

Z pierwszego kroku w ciemności przekonał się jednak, że mógł tylko posuwać się na czworakach, lub czołgać się, macając rękoma przed sobą. Przeżegnawszy się raz jeszcze, chciał rozpocząć trudną wędrówkę, gdy wyciągnięta dłoń jego dotknęła śliskiej ściany, która wydała mu się ścianą grobu. I wszystko, co pod wpływem modlitwy ucichło na chwilę, odezwało się w nim na nowo.

Lęk go chwycił w ramiona i trząść nim począł, jak potężny wicher wstrząsa drzewem osiki. Odrzucił się od śliskiej ściany i zaczął pełzać w przeciwnym kierunku i wtedy mu przyszło na myśl, że on wprost idzie na tę postać białą, którą ujrzał przy świetle zapałki. Wyciągnął rękę i krzyknął okropnie; uczuł najwyraźniej, że mu ktoś dłoń uchwycił w zimne szpony. Czasu dłuższego potrzebował, zanim rozpoznał, że była to rękojeść kaganka porzuconego na ziemię. To go trochę opamiętało; zaczął raźniej posuwać się dalej, ale zaledwie zrobił kilka poruszeń, usłyszał nagle jakiś szum i huk odległy. Huk ten pochodził od strzałów min podziemnych, ale jemu się wtedy zdawało, że takiego odgłosu nigdy jeszcze w kopalni nie słyszał. Przycupnął, zaparł dech w piersiach; był najpewniejszy, że to tuż poza ścianą coś nieustannie tak huczy i szumi. Wtedy przypomniał sobie, co mu opowiadał raz górnik stary o pożarze kopalni.

— Może to pożar wybuchł? Ogień chwycił się podpór drewnianych i oto walą się stare stropowiska i z tego taki huk powstaje. Płomień skacze od belki, trzeszczą suche odwieczne drzewa, rozłupane na cienkie trzaski, które płoną jak smolaki, dym gęsty wali kurytarzami i wkrótce pewnie tu wpadnie, by go udusić. Wszystko widział żywo w podnieconej lękiem wyobraźni. Rzucił się naprzód, jak szalony, krwawił sobie kolana, kaleczył ręce, rozbijał głowę o ścianę: szedł naprzód, a natrafiwszy na przeszkodę, cofał się, by za chwilę znowu iść w innym, jak mu się zdawało kierunku.

Naraz wyciągnął rękę i struchlał cały: ręka utonęła w próżni; wyciągnął drugą i druga nie mogła znaleść oparcia: był nad skalistą przepaścią lub nad otworem podziemnego szybu. Chciał się cofnąć, ale doznał takiego zawrotu głowy, że po chwili nie mógł sobie zdać sprawy, w którą stronę ma skręcić, by do przepaści lub szybu nie upaść, gdzie czekała go śmierć pewna. Zimny pot wystąpił mu na czoło, trwoga przedśmiertna odebrała mu resztę zmysłów. Zdawało mu się, że słyszy jakieś przygłuszone stąpania, jakieś dzikie głosy i śmiechy szatańskie — ani wątpił, że to już idzie zgraja djabłów brodatych, by zawlec jego duszę, co bez spowiedzi schodzi ze świata — prosto do piekła. Już ich słyszy wyraźniej, coraz bliżej i bliżej; idą gromadą i wkrótce pochwycą go za włosy, które mu strach zjeżył do reszty. Wtedy odezwała się w nim ostatnim wysiłkiem żądza życia, chciał krzyczeć, co



Uchwyciłem ptaka widłami za gardziel.
(patrz artykuł „Niebezpieczna przygoda Anglika ze strusiem").

sił stanie, ale głos łamał mu się w gardle.

— Ratunku!... ludzie!... — wołał ochrypłym głosem.

— Ratunku!

Tymczasem kroki złych duchów słyszeć się dały coraz bliżej. Już, już stali, tuż po nad nim, więc się rzucił gwałtownie, zarył twarzą do ziemi, żeby się bronić do ostatka i nie dać łatwo pochwycić złemu. Ale oto już — już sięga któryś po niego rękę, targa za włosy i krzyczy:

— Wstań!

Kostka nie chce podnieść głowy, lecz szarpią go mocno, więc się odważył bokiem zerknąć i odrazu siadł na ziemi:

— Rany boskie! to wy? — zawołał, widząc dwóch znajomych górników.

— Jasiek! cóż ty tu robisz?

— Ano... chciałem iść na bliższe drogi... i światło mi zgasło.

— Jakżeś ty się mógł tędy puścić? Gdziebyś był zaszedł tą drogą?

— Szedłem raz tylko i pomyliłem.

— Gdzie twój kaganek? Cóż to nie miałeś zapałek?

— Miałem ino jedną.

— Ino jedną? to z ciebie tęgi górnik.

— A nie bałżeś się Jaśku? — spytał, śmiejąc się, stary górnik.

— Nieee... i czegożbym się miał bać — odrzekł Jasiek przeciągle.

— No, to dziękuj Bogu, żeśmy cię tak rychło znaleźli, bobyś tu był pewnie albo wpadł do szybu, albo długą postną nowennę odprawiał.

— Skądżeście wy się tu wzięli?

— Przyśliśmy po strzelce odetchnąć świeżem powietrzem, bo tam z dymu zaduch ogromny.

Jasiek miał już wytłumaczone wszystkie huki i szumy, które wśród lęku brał za skutki pożaru. Pewna tylko rzecz jeszcze była mu niejasna. Więc wziął od jednego z górników rozjarzony kaganek i obchodził zwolna ściany komory. Zobaczył znów płaszcz biały, ale teraz zbliżył się do niego bez lęku i dotknął rękami wapiennego nacieku, który w tem miejscu w takiej formie skałę pokrywał.

— Cóżto tam szukasz, Jasiek? — pytali go górnicy.

Rzuciłem tu gdzieś kaganek, a ot jest — rzekł wesoło... — Śmiać mu się teraz chciało z siebie okrutnie i z tych duchów brodatych i ze strachu samego, ze wszystkiego całem sercem; więc dając wyraz swej radości, krzyknął, aż zadudniała komora:

— Do domu bracia! bo tam jadło czeka, a ja mam djabli apetyt!

— Zdaje się, że ciebie jeszcze coś tam czeka — rzekł jeden z towarzyszów.

Wtedy Jasiek wziął się pod boki i zaśpiewał donośnie:

— Maryś moja, Maryś!

I z tą wesołą piosenką, rozlegającą się szerokiem echem, opuścili komorę, gdzie przed chwilą gościła — śmierć.

Sztafeta.

(Obrazek z życia zapadłej prowincyi w Królestwie.)

(Humoreska.)

Los zrządził, że we środę miał być ślub panny Hortenzji, a w czwartek pan Karol miał się powiesić.

Taka była dramatyczno-liryczna struna tego romansu.

Dla czego te dwa wypadki miały nastąpić po sobie w takim porządku, nie zaś w odwrotnym? — to poniżej, ściśle, z suchą zwięzłością kronikarza z XIII-go stulecia powiedzianem będzie.

Parodjujmy kronikarza:

„*A. D. MDCCCLXX.* w niewarownym zamku Wygnance, mieszkał stary i bogaty mąż, urodzony Dyzma Bigos, którego sławne nazwisko istniało w heraldyce od czasu wynalezienia kapusty.

Mąż ten zacny i w obyczajach surowy, posiadał urodziwą córę imieniem Hortenzja, a ta była równą Wenerze przez wdzięki — Krezusowi zaś przez rodzicielskie bogactwa. Nie jest tedy dziwnem, że niewarowny zamek Wygnanka oblegany był przez dwunastu młodzieńców, pragnących zdobyć rękę pięknej kasztelanki. Dwaj z dwunastu, piękny Karol i sędziwy Ireneusz byli najbliższymi celu, pierwszy bowiem miał za sobą miłość Hortenzji, drugi względy urodzonego Dyzmy na Wygnance, de Bigos.

I stało się, że gdy przyszło do przysłania dziewosłębów, sędziwy Ireneusz, mimo oporu Hortenzji, został jej narzeczonym, piękny zaś Karol bezecnie odprawion jest, zkąd przyszedł, dla przyczyn nieznacznego rodu i dużego ubóstwa.

Skutkiem tedy wyżej przyrzeczonych konjunktur, sędziwy Ireneusz postanowił się ożenić, piękny zas Karol przyrzekł sobie, iż się dnia następnego, po ślubie Hortenzji — powiesi.“

Z tej suchej kronikarskiej wzmianki, już szanowny czytelnik dobrodziej — i szanowniejsza czytelniczka dobrodziejka (której rączki przy tej okazji całuję,) są dostatecznie poinformowani, dlaczego ślub panny Hortenzji i powieszenie się pana Karola miały się odbyć w środę i we czwartek.

Teraz możemy przystąpić do opisania tych wypadków, które nie mogły się obejść bez smutnych przygotowań...

Panna Hortenzja, która „szła jak na ścięcie,“ przymierzała przed wielkiem zwierciadłem białą suknię i rączką gładszą od atlasu, liczyła obszyte koronkami peniuary i powłóczyste negliże, w których miała cierpieć przez całe życie. Tu przyszyła kokardkę z żółtej wstęgi, tam kazała zwój zmienić, aby w czasie męczeństwa być przecież piękną i podobną do ludzi.

Pan Karol miał dużo mniej do roboty. Podkreślił tylko w kalendarzu dzień środowy kreską czerwoną, a czwartkowy czarną — naszykował kawał mocnego konopnego sznura — i czekał...

Tak stały i kręciły się rzeczy do południa we wtorek.

We wtorek w południe, do siedziby pana Karola wpadł zadyszany mężczyzna, niejaki pan Szmul Boruch Pomarańcz i wykrzyknąwszy wielkim głosem: Gewalt! główny los!!! osunął się na fotel.

— Wielki los! wielki los! — szeptał, przyszedłszy do siebie, — winszuję Jaśniemu panu... a niech pan nie zapomni, że to ja namówiłem pana na dwie ćwiartki!

Pan Karol uśmiechnął się smutnie...

W tem nagle jakaś myśl przyszła mu do głowy... Zdjął z gwoździa fatalny postronek i wrzucił go w ogień.

— Co pan robi? — zapytał Boruch.

— Widzisz przecie.

— Nu, na co to? taka rzecz, to się zawsze przyda...

— Pan Karol zzieleniał, ale nic nie odrzekł... Kazał dać herbaty Boruchowi, a sam usiadł i napisał następujący bilet:

„Najdroższa! Życie, lub śmierć!.. Rozkosz, lub mogiła! Wygrałem wielki los!! połowę 75,000 rubli! Zachoruj! wstrzymaj ślub przez tydzień, powrócę z Warszawy i wszystko się przerobi... Życie moje w twoim ręku! Pamiętaj!!“

Karol.

Pismo to włożył w kopertę, zapieczętował i natychmiast pojechał z Boruchem do miasteczka...

Przed pocztą zsiadł z bryczki i wszedł do kancelarji.

Za stołem siedział młody człowiek, blady jak ściana, cienki jak kij i zalewał lakiem trzy ruble i zapewnienia miłości, które biedna żona posyłała mężowi, będącemu z pułkiem gdzieś daleko...

— Proszę łaskawego pana o sztafetę do Wygnanki — rzekł pan Karol.

Blady człowiek nie odrzekł nic, tylko mnożył wiorsty przez kopiejki, a później szepnął z ukłonem:

— Tyle rubli i tyle kopiejek...

— Dałbym z ochotą dwa razy więcej, byle tylko list prędko doszedł.

— Hm... sztafeta, — mruknął poczmistrz, — dziesięć wiorst na godzinę, za 2 godziny 36 minut adresatka odbierze...

Uszczęśliwiony pan Karol wyszedł i wraz ze swoim przyjacielem Boruchem, popędził do stacyi kolei.

Po wyjściu interesanta, ekspedytor poczty zamyślił się smutnie.

— Poczta w X. posiadała trzy etatowe konie, z tych jeden właśnie onegdaj zdechł, przeżywszy etatowe trzydzieści trzy lat, z których dwadzieścia dziewięć w służbie pocztowej; drugi nie mógł się ruszać, gdyż zakulał na wszystkie cztery nogi, a trzeci najpilniejszy i jeszcze mogący chodzić, pod dozorem jedynego pocztyliona, powlókł biedę pocztową do stacyi odległej o czterdzieści wiorst blisko.

Było więc nad czem się namyślić, w jaki sposób wysłać pilną sztafetę...

Sławetni obywatele miasta X. powlekli się wszyscy na jakąś wielką sprawę do gubernialnego miasta, a faktorka pocztowa wysłana w celu wynajęcia konia, powróciła z miną bardzo smutną i życząc swoim wrogom wielkich nieszczęść, przysięgła na własne sumienie i szczęście do handlu, że w całem X., żeby kto dał nawet sto dukatów w złocie, dziś konia nie dostanie.

Pani ekspedytorka, o tyle czerwona i tęga, o ile jej małżonek był blady i wątły, radziła bardzo praktycznie, ażeby Agatę wsadzić wierzchem na krowę i wysłać ją ze sztafetą do Wygnanki, ale małżonek — formalista oparł się temu i powiedział, że byłoby to krzyczącem nieposzanowaniem przepisów pocztowych i wielce ryzykownym spacerem dla krowy.

A jednak sztafeta musiała być wysłaną...

Mogła wprawdzie pójść pieszo pewna stara, lecz krzepka jeszcze w nogach żydówka Ita, która już nieraz nosiła sztafety do okolicznych panów, lecz na nieszczęście poszła. Tę spotkało wielkie szczęście, bo kupiła bardzo tanio dwie gęsi i nie miała nic lepszego do roboty, jak zanieść je do sąsiedniej osady na jarmark, skąd, przy największym pośpiechu, dopiero jutro mogła powrócić.

Trafił się wprawdzie dziad, który szedł w stronę Wygnanki na odpust i podejmował się zanieść sztafetę, ale dopiero nazajutrz po nieszporach — gdyż odpustu wyrzec się nie chciał...

Niepodobieństwem było go namówić...

Tymczasem już i wieczór zapadł..

Posępne, zabłocone miasteczko X. utonęło w ciemności, tylko dwa okienka stacyi pocztowej oświetlone bladą lampką, wyglądały jak para czarnych oczu, patrzących, czy po rzadkiem błocie ulicy, nie nadpłynie zbawienie.

Blady człowiek drzemał nad szarą bibułą, na której zapisywał dochody stacyi pocztowej w X.; z uliczek dolatywało szczekanie zakatarzonych psów, a pocztowa faktorka, zakasawszy brudną watówkę za kolana, z trudnością wydobywała z błota dziurawe trzewiki i szukała konia na sztafetę...

Los bywa jednak litościwy...

Dało się słyszeć stąpanie konia i głos ludzki; pocztmistrz wyskoczył na ganek...

— Hola! Hej! Kto tam jedzie?

— To ja, panie, Jankiel...

— Nu, daj Boże na zdrowie dla wielmożnego pana naczelnika!

— Gdzie ty jedziesz?

— Jadę do Popichadłów na jarmark.

— A to doskonale! Weź sztafetę do pana do Wygnanki, nałożysz milkę drogi i zarobisz rubla, zaraz ci zapłacę i jeszcze wódki kieliszek dodam, a w Wygnance też co za drogę dostaniesz.

— Ny, ny! za co nie? Niech pan naczelnik doda jeszcze dziesiątkę na kopitkowe, a ja będę w Wygnance przed północkiem jeszcze. Pan naczelnik wie psiecie, co moja kobuła to ta.. lata, jak gołąb!

— To też poganiaj, mój Janklu, poganiaj, bo i tak sztafeta spóźniona.

— Co ja mam nie poganiać? Ona jak się rozbryka, to jej się wszystkie cztery nogi ruchajom!!

Rzeczywiście koło północy, dzielny Jankiel był już tylko o dwie mile od Wygnanki. Wjechał do wsi, chciał trochę dać szkapie wypocząć, w tem patrzy, przed jedną chałupą stoi fura siana, z którą chłop zapóźnił się wieczór i już jej nie zdążył wepchnąć do stodoły.

Pokusa była silna...

Jankiel bez ceremonii uskubał wiązkę sporą, ile w biedę wlazło, i chciał odjeżdżać — ale chłop się pilnował.

W jednej chwili, biedny Jankiel, zbity, związany, zaniesiony na rękach do kancelaryi gminnej, znalazł się w kozie.

Napróżno tłomaczył chłopom, że się narażają na wielką karę, bo on wiezie sztafetę w skarbowej torbie, że ta sztafeta jest od samego naczelnika — nic nie pomogło.

Wójcisko, dobry chłop, możeby go był i puścił — ale cóż, kiedy pan pisarz pojechał do drugiego pisarza na chrzciny i za dwa dni powróci...

— Któż napisze protokół!?

Kiedy promień południowego słońca, zajrzał do więzienia Jankla, panna Hortenzya była już żoną sędziwego Ireneusza...

. . . .

Pan Karol wrócił z 75 000 rubli...

Z rozpaczy chciał się powiesić — ale nie mając sukcesorów, był w kłopocie, co zrobić z kapitałem?!

Postanowił więc czekać i doskonale na tem wyszedł.

Anielska Horenzya była najgorszą żoną. Grymaśnica, złośliwa, rozrzutna, zatruwała resztki życia staremu mężowi .

Pan Karol kupił majątek niedaleko X., ożenił się i corok przysyła pocztmistrzowi cztery fury ślicznego siana za „spóźnioną sztafetę“.

I doprawdy! są ludzie, którzy narzekają na stacye pocztowe w Królestwie!?

Waryaci!

Niebezpieczna przygoda Anglika ze strusiem.

W kraju przylądkowym w Afryce, osadnicy od lat kilkudziesięciu wynaleźli źródło dochodów, z którego obecnie ciągną wielkie korzyści. Źródłem tem jest hodowla strusiów. Pierwsze próby pochodzą z r. 1865; wtedy po obliczeniu okazało się, że oswojonych strusiów jest ośmdziesiąt sztuk. Gdy jeden z kolonistów zaczął podskubywać swoje strusie, i z piór zdobytych tym sposobem z każdego samca, miał zysku do 160 marek rocznie, hodowla olbrzymich ptaków zaczęła się rozpowszechniać z bajeczną szybkością. Już w roku 1880 obliczano ilość strusi w koloniach Kraju Przylądkowego na 150,000 sztuk, których pióra przeznaczone na wywóz, przedstawiały wartość wielu milionów marek.

Powodzenie tej hodowli w Afryce pobudziło do naśladownictwa osadników w innych krajach. W Australii, w Argentynie, w Kalifornii — powstały fermy przeznaczone do chowu strusiów, przywożonych z Kraju Przylądkowego. Ale obawa rozwijającego się współzawodnictwa, skłoniła tamtejszy rząd do obłożenia wysokiem cłem tych ptaków: opłata za każdą wywiezioną sztukę wynosiła 2 000 marek — za jedno jaje 100 marek. Dzięki temu, kolonie Kraju Przylądkowego pozostały dotąd głównym dostawcą strusich piór na rynki europejskie.

Kolonie, w których prowadzi się hodowla strusiów, są to zagrody, rozległości kilku kilometrów kwadratowych, otoczone płotami z żelaznego drutu, gdzie strusie żyją zupełnie swobodnie. Wysiadywanie jaj pozostawiono

dawniej wyłącznie ptakom. Dopiero w ostatnich czasach zaczęły się rozpowszechniać sztuczne wylęgarnie, a strusie w nich wylęgnięte są obłaskawione jak wszelkie domowe zwierzęta, pasterze pędzą je bez trudności na pastwisko, gdy tymczasem ptaki, które się wylęgły na swobodzie — zwłaszcza samce, w pewnych porach roku, są niesłychanie złośliwe i niebezpieczne dla ludzi, zbliżających się niebacznie do nich. Przygoda, jaka spotkała młodego Anglika, Willisa, który dla zdrowia bawił przez kilka tygodni w fermie hodującej strusie, może dać wyobrażenie o niebezpieczeństwie, grożącem ludziom nieobeznanym z naturą i zwyczajami tych ptaków.

Willis, będąc już pewien czas na fermie, zapragnął zobaczyć strusie na swobodzie i zdjąć z nich fotografię. Wybrał się więc na tę wyprawę z synem właściciela, a była to właśnie pora lęgu. Ponieważ cel wycieczki stanowiła fotografia, młodzieńcy zamiast pojechać konno, poszli pieszo, uzbroiwszy się w długie, cierniowe kije, rozdwojone w kształcie wideł.

— Ujrzeliśmy w oddali — opowiadał potem Willis — liczne stada strusi. Zapytałem mego towarzysza, czy można bez niebezpieczeństwa podejść do miejsca, gdzie strusie wysiadują jaja? Odrzekł mi na to, że ptaki nie są złośliwe, i jeżeli im nie zrobimy przykrości, nie zaczepią nas wcale.

Ukazało się niewielkie stadko, które pasterz na koniu pędził ku fermie, gdzie miało być podskubane. Zdjąwszy fotografię, poszliśmy dalej, i zobaczyliśmy strusie gniazdo, na którem siedziała szaro z żółtawym odcieniem upierzona samica. Ale na połowie drogi między gniazdem a nami, stał jak wartownik na posterunku, wspaniały okaz samca-strusia. Okrążyliśmy go przezornie, aby zbliżyć się do gniazda od przeciwnej strony, na odległość umożliwiającą zdjęcie fotografii. Czujny jednak ptak wnet nas dojrzał i nie spuszczał z oczu. Zdaje się, że odgadł nasz zamiar, bo nagle zawrócił i sadząc wielkiemi susami, popędził ku nam gwałtownie.

Obejrzałem się, w którą stronę uciekać... Daremne usiłowanie! Naokoło puste pole i ani kamieni, ani krzaków, za które możnaby się schronić. Ptak leciał jak strzała: miałem wielką chęć zawrócić i wykonać pospieszny odwrót, ale energiczny rozkaz towarzysza zatrzymał mnie na miejscu.

Tymczasem struś był już niedalej jak sześćdziesiąt kroków. Zatrzymał się na jedno mgnienie oka, a potem zaczął się posuwać zygzakami, wygiąwszy lekko w tył szyję, i smagając skrzydłami powietrze. Przybliżał się coraz bardziej. Już tylko kilka kroków dzieliło nas od niego. Nagle zmienił taktykę, i zaczął nas okrążać: lecz i my zaczęliśmy obracać się w kółko jak frygi, nie spuszczając go z oczu ani na sekundę. Jedynie nasze widły, nastawione ku niemu, wpajały mu pewne poszanowanie. Ale widoczne było, że czatuje na sposobną chwilę, by strusim obyczajem ugodzić przeciwnika łapą, uzbrojoną w silne jak róg pazury.

Upłynęło tak pięć minut — dziesięć minut; ptak krążył naokoło, pochyliwszy szyję, a z otwartego dzioba odzywało się lekkie syczenie. Nadzieja nasza, że mu się to wreszcie sprzykrzy — zawiodła. Wytrwałość jego przewyższała naszą. Z wysiłku, wzruszenia i upału, oblewał nas pot i tchu nam brakowało...

Przypomniałem sobie rewolwer, który mam zwyczaj zawsze nosić. Rzuciłem fotograficzny apart i sięgnąłem do kieszeni. Ale niestety, kieszeń była pusta! zapomniałem włożyć broni... Był to drugi zawód.

— Zginęliśmy — jęknąłem.

— Jeszcze nie! — zawołał mój towarzysz. Przysuń się tuż do mnie, a gdy zawołam: *bij!* rzuć się razem ze mną na niego, i próbuj widłami uchwycić go za gardło, a krzycz przytem z całej siły. Dalej! Raz — dwa — trzy — *bij!*

Usłuchałem komendy. Ale atak nasz nie powiódł się wcale. Nie udało się nam pochwycić widłami za szyję ptaka, który zamiast przerazić się naszym wrzaskiem, wpadł w większą jeszcze wściekłość. Jednym rzutem oka odkrywszy słabą stronę, skoczył, straszliwym ciosem ugodził mego towarzysza. Odgłos dartego ubrania — łomot — i biedak, wywinąwszy koziołka, padł jak nieżywy na piasek!

Zabity! — przeleciało mi przez myśl.

Ale nie czas było zastanawiać się nad tem. Moje własne położenie było rozpaczliwe, bo struś na mnie teraz skierował swe ataki. Jedynym ratunkiem były widły... Gdyby mi się udało pochwycić go za gardło i odepchnąć, nie mógłby mnie ugodzić... Rzuciłem się z rozpaczliwą odwagą i za pierwszem uderzeniem uchwyciłem ptaka widłami za gardziel. Trzymałem go mocno, jak w kleszczach, z całej siły odpychając go w tył. Struś nie spodziewał się takiego napadu. Opór jego zaczął mięknąć. Ja zaś naciskałem go coraz silniej. Zachwiał się, cofnął parę kroków w tył i nagle, uwolniwszy się z uścisku wideł, zaczął uciekać.

Niebezpieczeństwo minęło! Bez tchu prawie, skoczyłem do mego towarzysza. Bogu niech będą dzięki! Dźwignął się i usiadł na piasku. Istnym cudem uniknął śmierci. Chociaż jego ubranie rozdarte było pazurami strusia od samej góry do dołu ,dostał tylko potężne draśnięcie przez piersi i brzuch.

Pomogłem mu wstać i z pomocą nadbiegłego konno dozorcy, który zobaczywszy zdaleka walkę, pędził na ratunek, powróciliśmy do domu...

Winszowali nam wszyscy, żeśmy się okupili tak małym kosztem. Niezawsze równie szczęśliwie kończą się podobne przypadki. Nogi strusia, zbrojne w dwa silne i ostre pazury, są niebezpieczną bronią. Kilku uderzeniami potrafi on rozpłatać człowieka.

Na tem kończy się przygoda Anglika. Widać, że hodowla strusiów nie jest przedsięwzięciem zupełnie bezpiecznem. Pomimo to, znaczne zyski jakie przynosi, zachęcają ludzi do rozwijania jej na coraz większą skalę. W niemieckich posiadłościach w Afryce zaczęła się także rozpowszechniać w ostatnich czasach i to z jak najlepszem powodzeniem. *G.*

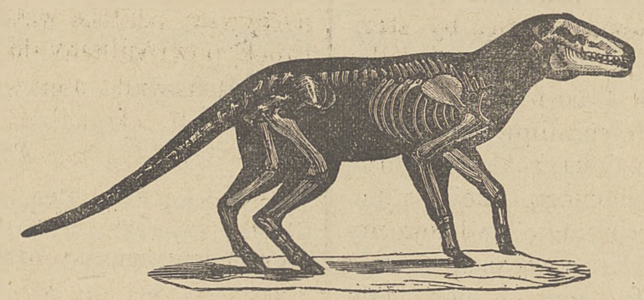
Zwierzęta przeszłości.

(Dokończenie).

U niektórych z tych kenozoicznych zwierząt możemy odnaleść cechy właściwe kilku żyjącym obecnie gatunkom. Oto naprzykład Anoplotherium (rys. 30), zwierzę wielkości naszego kucyka, zdradzało budową szkieletu, uzębieniem, ilością palców na kończynach, wreszcie swym kształtem ogólnym, zdradzało powtarzamy, jednocześnie cechy konia, świni i jakiegoś przeżuwającego. Niemniej zasługuje na uwagę Tinoceras (rys. 31). Znaleziono go, również jak anoplotherium w skałach Ameryki. Był on jak gdyby pierwszym wyrazem usiłowań przyrody w celu utworzenia słonia; ogólne jego kształty, nogi typowe słoniowe, wreszcie mały ryj, poza którym kły się wysuwały, na związek jego ze słoniem wskazują; ale rogi i to w liczbie 6, które, nie powiem, aby wielką ozdobę jego stanowiły, czynią znacznie mniej wyraźnem stanowisko jego w ogólnym rozwoju fauny. W każdym razie, jeżeli Tinoceras jest praojcem słonia, to bardzo dużo wody musiało upłynąć, długo bardzo musiał trwać ten pierwszy, tak zwany trzeciorzędowy okres ery kenozoicznej, zanim Tinoceras, utraciwszy rogi, przybrał postać mamuta czy słonia.

Jesteśmy więc u progu tych czasów, gdzie człowiek rozpoczął swoje panowanie. Ten ostatni, ten drugi, zwany

czwartorzędnym, okres ery kenozoicznej nie należy do nas. Tu się zatrzymamy. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że obraz, w którym usiłowaliśmy przedstawić wybitne momenty rozwoju świata zwierzęcego, posiada liczne bardzo braki; rozumiemy dobrze, że nie daliśmy czytelnikom naszym jednolitej



Rys. 30. Anoplotherium commune.

ściśle związanej całości, ale trudność przechowania zwierzęcych szczątków, trudność ich znalezienia, wydobycia na jaw, hamuje niezmiernie w rozwoju paleontologię: niektóre jej zdobycze, bodaj najcenniejsze, jak np. odcisk Archaeopteryxa, zaledwie lat temu czterdzieści na światło dzienne były wydobyte. Spodziewać się zatem należy, że ten materyał, którym paleontologia dzisiaj rozporządza, niejednym jeszcze nader cennym okazem będzie wzbogacony. A jednak i te wymarłe stworzenia, które już dzisiaj są znane, stanowią dla nauki nabytek nadzwyczajnie cenny. O znaczeniu ich dla geologii była mowa powyżej, w tej chwili pragnę zwrócić uwagę czytelników „Pracy" na związek, który łączy z zoologią zwierzęce te szczątki.

Wiekami wierzono w to święcie, że rozmaite zwierzęce gatunki, które o-

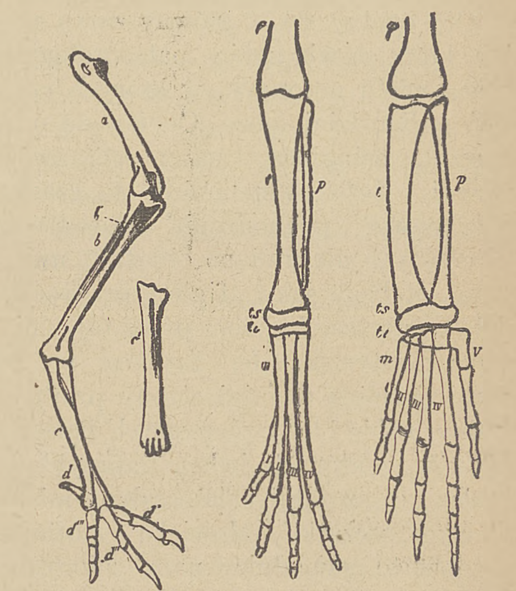


Rys. 31. Tinoceras.

obecnie zapełniają ziemię, nic wspólnego nie mają ze sobą, — że niezależne jedne od drugich, zjawiały się one na świecie, — że nakoniec, ich kształty zewnętrzne nie mogły żadnym przemianom podlegać. I wiara w te prawdy tak była silną, jak długim był czas jej panowania. Aż oto na arenę naukową wystąpili tacy bojownicy, jak Lamark, Godfroy S-Hilaire a nareszcie Darwin, i wtedy dopiero te prawdy niewzruszone teorya ewolucyi Darwina zachwiała. Na zasadzie faktów przez lat 30 mozolnie zbieranych, Darwin wypowiedział zdanie, że gatunek zwierzęcy wskutek różnorodnych czynników podległy jest zmianom, że niektóre z dzisiaj żyjących gatunków mają wspólnych przodków, że fauna współczesna w swojej obecnej postaci to rezultat ewolucyi — rozwoju, t. j. ciągłych przeobrażeń świata zwierzęcego od czasu, jak rozpoczął on swoje istnienie. Paleontologia, wydobywszy na światło dzienne szczątki zwierzęce, pochodzące z zamierzchłej przeszłości, miała możność ostatecznie rozstrzygnąć tę kwestyę i rozstrzygnęła ją najzupełniej w duchu teoryi Darwina.

Wyżej wspomniany Archaeopteryx przyczynił się do tego niemało; ten ptak pierwotny z ogonem, jakeśmy widzieli, gada, chociaż pokrytym piórami, z zębami w dziobie, z palcami na przednich kończynach, choć te już miały postać skrzydeł, wystąpił wobec nas niby żywy łącznik między tak bardzo różniącymi się dzisiaj gatunkami zwierząt, jak gady (jaszczurki głównie mamy tu na myśli) i ptaki. Szkielety ptaków z późniejszych niż Archaeopteryx pochodzące czasów, zachowały tylko jeden szczegół, zdradzając tem pochodzenie swoje; mianowicie zęby, i co ciekawsze, niektóre z tych zębatych ptaków posiadały dolną szczękę, złożoną z dwóch połów, które, niezrośnięte ze sobą były rozciągliwą błoną połączone, jak to obecnie u wężów widzimy. Nieznane są nam do dzisiaj inne formy przejściowe, gady z ptakami wiążące, ale przypuszczamy, że sam nawet Archaeopteryx, stanowiłby dostateczny i zupełny dowód trafności teoryi Darwina.

Teorya ta znalazła także świetne potwierdzenie w pewnych faktach embryologicznych, które z drugiej strony tylko dzięki paleontologii zrozumiane być mogły. Dawno już na to zwrócono uwagę, że rozmaite formy zwierzęce w ciągu życia embryonalnego posiadają cechy, które nic wspólnego z późniejszą ich organizacyą nie mając, w ciągu dalszego rozwoju zwierzęcia znika-



Rys. 32. Noga *a)* jastrzębia, *b)* ptasiego zarodka, *c)* jaszczurki.

ją; takiemi naprzykład cechami są łuki skrzelowe zarodków, pochodzących od zwierząt lądowych, ogony zarodków zwierząt, które w późniejszym wieku ozdoby tej są pozbawione i inne.

Jeden z podobnych faktów rozpatrzymy bliżej: Rys. 32 przedstawia trzy nogi: z lewej strony nogę jastrzębia myszołowa, dalej nogę tegoż ptaka, lecz w stanie zarodka, wreszcie z prawej strony nogę jaszczurki. Ta ostatnia składa się, jak widzimy z kości udowej (f), której narysowana jest część tylko, dwóch kości goleniowych (t. p.): piszczelowej i łydkowej, dalej drobnych kości stępu (ts, ti), pięciu kości stopy a nareszcie palców. Te same części znajdujemy w nodze (na rysunku znacznie powiększonej) ptasiego zarodku i tylko w liczbie kości stępu, stopy i palców dostrzedz możemy różnicę.

Jakże wobec tego noga dorosłego jastrzębia wygląda? W miejsce dwóch kości goleniowych znajdujemy jedną, stępu brak zupełny — zrósł się on z golenią, po części ze stopą, ta ostatnia

zaś składa się z jednej tylko kości, oddzielnie narysowanej, nazywanej skokiem. Każdy więc zgodzić się musi, że noga jastrzębia w zarodku daleko bardziej podobną jest do nogi jaszczurki, niżeli do nogi dorosłego ptaka. Zjawisko to obserwować możemy i u innych ptaków. Także znajdziemy w zarodku ptaka, co najdokładniej w rozwoju papug zaobserwowano, bardzo długi ogon, przypominający nam raczej ogon jaszczurczy niż ptasi. Taki sam ogon, co do istoty swej widzieliśmy, przypominam,, u Archaoptoryxa Faktów podobnych z dziedziny paleontologii i embryologii możnaby więcej przytoczyć; dopełniają się one wzajemnie, a jedne i drugie w świetny wyjaśniają sposób teoryę ewolucyi — teoryę zmienności gatunków.

Oto ogólny szkic, główny zarys zadań, które stawia sobie paleontologia. Pracą wielu uczonych, w których rzędzie najbardziej może, Cuvier się odznaczył, osiągnęła ona obecny swój rozwój. Jeżeli wspomnimy te czasy, gdy nawet pochodzenia szczątków zwierzęcych nie umiano objaśnić, uważając je, bądź jako „figle“ przyrody, figle wypłatane ludziom przez tajemniczą a plastyczną siłę, kryjącą się w ziemi, jeżeli z drugiej strony przypomnimy sobie błędy pierwszych paleontologów, z których jeden, naprzykład, znalazłszy szczątki salamandry, opisał je jako szczątki człowieka — ofiary potopu, to wypadnie nam zdobycze współczesnej paleontologii uznać za olbrzymie i niemniej olbrzymie nawiązać nadzieje do jej dalszego rozwoju.

A. Kudelski.

Nasze ryciny.

Adrian van de Velde, twórca obrazu „Folwark w Holandyi,“ którego reprodukcyę zamieszczamy jako illustracyę albumową, pochodził ze słynnej przed przeszło dwiema wiekami wymarłej holenderskiej rodziny malarzów — artystów; jego utwory, zdobiące ściany pierwszorzędnych galeryi obrazów, cieszą się i dzisiaj powszechną sławą, mianowicie „Zdjęcie Chrystusa z krzyża“.

Zamieszczona reprodukcya jest dla nas tym milsza i sympatyczniejsza, że przedstawia krajobraz z Holandyi, która po dwakroć w roku bieżącym podejmowała naszych dzielnych Sokołów z obczyzny u siebie w gościnie i to w miasteczku Winterswijk (patrz nr. 28-y „Pracy“ z r. b.)

* * *

Słynny włoski malarz Tizian — Tiziano Vecellio — należał do największych mistrzów malarskiej szkoły weneckiej, a jego obrazy religijne wzbudzały i wzbudzają podziw i zachwycenie, jak nam to unaocznia reprodukcya jego arcydzieła „Święta Magdalena“.

Syn Tiziana, Orazio Vecellio, był także znakomitym malarzem, również brat Tiziana, Francesco Vecellio, jak też stryj Tiziana Cesare Vecellio, oraz krewniak Tiziana Marco Vecellio.

Święta Magdalena lub też Marya Magdalena, t. j. Marya z Magdalu, była pierwotnie jawnogrzesznicą i pokutowała potem długo za swe grzechy w jaskini pod Arles; wreszcie została uznaną za świętą; ona to namaściła Panu Jezusowi nogi wonnemi olejkami (św. Łukasz 7, 36—50, św. Łukasz 8, 2 i św. Marek 16, 9).

* * *

Reprodukcya obrazu naszego rodaka, obdarzonego niezwykłym artyzmem, Jana Wasilewskiego, „Na grzyby“ jest czysto polska, czysto swojska. Obraz sam mówi za siebie i nie potrzebuje żadnych objaśnień. *—ski.*

Humor i satyra.

Piosenka na czasie.

Het! do kąpiel,
Z „połowicą“
Przed skwarem
Uciekałem:
Głupcy szczęściem to mienią!

Powróciłem
Zły, z „*zimnicą*“,
Z katarem:
Grosz wydałem,
Jestem z pustą kieszenią.

* * *

W restauracyi.

— A nie macie tam *cace-walk'u?*
— To taniec, proszę jaśnie pana.
— Taniec? Patrzcie no! A ja myślałem, że to nowa zagraniczna potrawa!

* * *

Z miłości.

—Jakto? ich małżeństwo się zerwało? a ja myślałem, że z miłości się pobierają...

— I nie myliła się pani: to też nie mogli się porozumieć jedynie w kwestyi posagu.

* * *

Także „choroba.“

A. Pan nie wyjeżdżał w tym roku?
B. Nie, choć lekarz polecił.
A. A cóż panu brakuje?
B. Żyranta na wekslu.

Szarada.

Pierwsze z drugiem — u Turków największa to świętość.
Drugie z pierwszem lub *z czwartem* da imię poety,
Co w rymach częstochowskich miał taką zawziętość,
Że śmieszną tylko sławę zostawił, niestety! —
Również śmieszną z tradycyi istotę da *czwarte*,
Drugie, trzecie — lecz musisz zakończyć spółgłoską. —
Pierwsze, czwarte - podobnież — z literą nic warte,
Ale bez niej da cud ci, co za wolą boską
Cząstkę zwierząt i ludzi ratował z zagłady.
Całość to wstrętne babsko; lubi koty, gady,
Plotki, waśnie, oszczerstwa — żyje w nędzy, brudzie,
Lecz mimo to naiwni szukają jej ludzie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 1-go września r. b.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z nr. 32-go:

Radziwiłł.

1. **R**aciążek.
2. **A**rgentyna.
3. **D**orota.
4. **Z**an.
5. **I**zaak.
6. **W**ężwnik.
7. **I**gła.
8. **Ł**okietek.
9. **Ł**ętowski.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania*: pp. Maksymilian Maliński, Jadwiga Narowska, Izabella Ritterówna, Stanisław Krysiewicz, Anielka Nawrocka, M. Dekubanowska i St. Markiewicz, *z prowincyi:* pp. Bronisław Sikorski z Pleszewa, N. Matuszewski z Wilatowa, Hela Palczewska i Helena Banaszkiewicz ze Środy, Antoś i Kazio Fiedorow z Miłosławia, Stanisław Mańkowski z Kozubca pod Miłosławiem, Hela Hoffmanówna z Kwilcza, Joanna Kozłowska i Marya Szulz ze Stęszewa, Franciszek Chytry, czeladnik stolarski z Kobylina, Ludwika Suwalińska z Koźmina, Dorota N. z Miściska, Jadwiga Nęcka z Donaborowa (powiat kępiński), Walenty Kwitowski z Berowa nad Gopłem, Fr. Nawrocka z Żabiczyna pod Rąbczynem, Julian Kowalski z Bagateli pod Czekanowem, *z Prus Zachodnich:* pp. Bolesław Delewski z Dąbrówki, powiat starogrodzki, Jan Czajkowski z Kazanic pod Lubawą i Ludwik oraz Stefania Rządkowscy z Przechowa (kulturnie Schönau) w powiecie świeckim, *z Gornego Śląska:* z Roździenia pani Jadwiga Badura i p. Ludwik Jarosz z Brzesców, *z Królestwa Polskiego:* p. Stanisław Zaborowicz z Łuszczewa, *z Galicyi:* pp. Wiktor Schupp z Krakowa, H. Wodecki z Ropczyc, S. Szczepankowski ze Lwowa, *z obczyzny*: pp Czesław Ciastowski, Ludwik Bock, Aleksandra Fliegiel i Aniela Gniatkowska z Berlina, Antonina Zelewska z Charlottenburga, Leokadya Senftleben z Dortmundu, Aleksander Szulczewski z Bochum, Ignacy Fiotrowicz z Alstaden nad Rurą, Marya Buttner z Krefeldu i K. Spychałowicz z Chateau des Bordes par Lailly (Loires) we Francyi.

Nagrodę otrzymali pp. M. Dekubanowska z Poznania, S. Szczepanowski ze Lwowa i Aniela Gniatkowska z Berlina.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**

3)

(Ciąg dalszy.)

Kilku ze świty posunęło się ku niemu, chąc zapewne nauczyć go jakimś dotykalnym sposobem, że, kiedy jego wysokie prewoschoditielstwo pyta, to nie można nie odpowiadać, tem mniej, nie zrywać się na równe nogi i nie stawać na wytiażki*). Lecz Suwarów wstrzymał ich skinieniem ręki, i zsiadł z konia. Z nim razem cała świta zsiadła z koni.

— Biedny chłopiec... — rzekł podchodząc do Michasia. — To zapewne jego matka... Czy to twoja?...

Tchnęło Michasia łagodne brzmienie wyrazów, które w sercu jego niby spółczucie się odbiło. Podniósł głowę, spojrzał na Suwarowa, i odpowiedział:

— Moja... matka...

Suwarowowi łzy po policzkach płynęły. Oficerowie ze świty obcierali sobie oczy, jakby płakali.

— Patrzcie — rzekł wódz do podwładnych swoich — taki widok rozczula mnie... Syn płacze matki, a ja matki i syna... Gdyby ci bezmózgowi Polacy od razu się poddali, to oni krwi a ja łez, nie potrzebowaliśmy przelewać...

A zwracając mowę do Michasia:

— Malczyku... — rzekł — ja ciebie wezmę za syna...

— O! nie!... o! nie!... — krzyknął Michaś.

— Nie, to nie... — odparł Suwarów. — Ale zrobię przynajmniej tyle, że ty nie będziesz źle wspominał Suwarowa...

A obracając się do świty, rozkazującym zawołał tonem:

— Wnieść trupa do domu!... Wyszukać polskich popów i kazać im, aby go po swojemu z całą paradą pochowali!... A gdy pochowają, przyprowadzić tego malczyka — tu wskazał na Michasia — do sztabu!...

I krzyknął:

— *Siej czas!...* grzecznie się obchodzić: bo ja się malczyka rozpytam!...

Natychmiast znaleźli się wykonawcy jego rozkazów, a Suwarów wsiadł na konia i pojechał dalej — dobrodziejstwować Pragę.

U Moskali rozkazy spełniają się szybko. Przy Michasiu pozostał jakiś oficer i kilkunastu kozaków. Oficer skinął tylko na kozaków, i ci w przeciągu kilku minut, w jednym z salonów zrujnowanego domu urządzili katafalk, i osłoniwszy trupa pani Grochowskiej, wnieśli go i złożyli. Skinął powtórnie, kilka wyrazów wymówił, — i kozacy wskoczyli na konie, rozbiegli się i w niespełna pół godziny powrócili z księdzem i całym pogrzebowym przyrządem.

Kozacy tymczasem robili trumnę.

Obecność księdza uspokoiła Michasia, i pozwoliła mu lżej znieść bolesną konieczność rozstania się z ciałem matki.

Gdy trumna została zrobioną, złożono do niej ciało pani Grochowskiej, i sformował się orszak pogrzebowy.

Dziwny to był, zaiste, orszak — wykomenderowany przez Suwarowa i mający nakaz, smucić się. Kozacy nieśli trumnę, chorągwie i krzyż — przed trumną szedł ksiądz, za trumną oficer i Michaś, a za nimi, w niewielkiej odległości, postępowało kilku kozaków, prowadzących w ręku swoje i tych co zajęci byli trumną i chorągwiami konie. Spotykani tu i owdzie moskiewscy żołnierze, zatrzymywali się, zdejmywali czapki i stawali frontem — niewiadomo, czy przed krzyżem, czy przed oficerem, który szedł bez czapki.

Michaś płakał. Oficer prosił go:

— Nie płacz... Jego wysokie prewoschoditielstwo jest nadzwyczajnie miłosierny... Ty, jeżeli tylko potrafisz podobać się mu, to on ciebie na wielkiego człowieka wykieruje... Z matką, prędzej później, czy tak czy owak, musiałeś się rozstać... No... prawda... nasi trachę pohulali na waszej Pradze, ale to tak z wojennych planów wypadło... Gdyby nie te plany, to jego wysokie prewoschoditielstwo prędzej by sam siebie kazał zarznąć, jak Pragę wyrznąć... No... no... nie płacz...

Michaś przestał płakać nie w skutek oficerskiego pocieszania, ale dlatego zapewne, że mu już łez nie stało. Jęknął tylko, gdy trumnę do grobu spuszczono i dało się słyszeć bębnienie zasypującej ją ziemi. Jęknął, westchnął, ukląkł i zmówił „Anioł Pański“.

Po skończonym pogrzebie chciał odejść z księdzem, lecz mu oficer nie pozwolił.

— Jego wysokie prewoschoditielstwo kazał odprowadzić cię do sztabu....

Michaś prosił.

— Pozwoliłbym ci... — tłómaczył się oficer. — Ale mam rozkaz... U nas rozkaz jest świętym...

Michaś, ośmielony grzecznością, z jaką go traktowano, próbował się oprzeć. Oporu jednakże odradził mu ksiądz.

— Ulegnij przemocy... — rzekł mu na stronie. — Ciężko pokarał nas palec Boży: trzeba w pokorze przyjąć i znieść tę karę... Oporem ani sobie ani nikomu nie pomożesz......

Nie było rady. Przez zrujnowaną Pragę udał się Michaś do jednego z ocalałych domów, w którym ulokował się główny sztab. Po drodze spotykał moskiewskie oddziały, zajęte uprzątaniem trupów. Składano je na wozy, i wywożono za miasto. W niektórych miejscach gaszono ogień; w innych odczyszczano ulice. Po placach biwakowała piechota.

Suwarów był zajęty i nie prędko kazał przywołać do siebie Michasia, którego ani na krok nie odstępował dodany mu z początku oficer, a gdy go kazał przywołać, zwrócił się najprzód z zapytaniem do oficera:

— Cóż?... jakże?... jaki duch?...

— Wolnodumiec... — odparł ten ostatni. — Nie chciał iść do sztabu...

— Pachnie buntem?...

— Pachnie.... wasze wysoko prewoschoditielstwo.... — odrzekł oficer wyprostowany, jak świeca.

— Nic-to... — odparł Suwarów, pół do siebie, pół do oficera. — Uchodzi się... tak jak i Polszcza się uchodzi, gdy się do niej po naszemu weźmiemy i nauczymy ją chodzić *w tri prijoma...***)

— Cóż ty, malczyk... — rzekł zwracając mowę do Michasia. — Tobie żal za matką... i mnie żal... No!.. ale cóż robić... Tak Bóg chciał... Niech krew spada na tych, co się przeciwko matuszce-caricy buntowali... Czemu na łaskę i niełaskę kapitulowali!... Byliby wydali *zaczyń-*

---

*) Stać na wytiażki, jest technicznem wyrażeniem, oznaczającem sposób, w jaki się przed starszym rangą stać powinno.

**) W tri prijoma — na trzy tempa, uczą chodzić rekrutów. Biedni rekruci, za te tri prijoma tysiące dostają pałek. Tu Suwarów użył figury rotorycznej.

sczików i na tem by się było skończyło. No, ale, chwała Bogu, już się skończyło... Ty się mnie podobasz... Czy nie chcesz ty do korpusu kadetów?...

— Panie jenerale!... niech mnie pan jenerał puści do Warszawy... — odpowiedział Michaś tonem prośby.

— Do Warszawy!... podchwycił Suwarów, i oczy jego błysnęły tygrysim wyrazem. — Tobie się chce do Warszawy!... He!... A wiesz ty, że Warszawa jeszcze w stanie buntu?... A wiesz ty, że jeżeli nie będzie kapitulowała, to w niej kamień na kamieniu nie zostanie i nie będę miał dla niej tej litości, co dla Pragi, żywego ducha nie zostawię!... He!... Warszawa!...

W momencie jednakże zmienił wyraz oczu, z okrutnego na czuły.

— Może ty masz jakich krewnych w Warszawie?...

— Mam... — odparł chłopak.

— A, to ty chciałbyś do krewnych... To dobrze... To bardzo mi się podoba, że o krewnych myślisz... Musisz ich kochać... To bardzo pochwalnie, jak się krewni kochają...

Na tem urwał, i czem innem się zajął.

W tej chwili jakiś oficer przybył z raportem, że złapano na gorącym uczynku sołdata, który napadł na kojec kur, i połowie łby poukręcał.

Suwarów buchnął gniewem.

— W armii rosyjskiej nie można na takie barbarzyństwa pozwalać!... — krzyknął. — Dać mu: trzy tysiące pałek!... Niech bydlę duszą zapłaci!...

Oficer odsalutował, wykręcił się na pięcie, i odszedł.

Takich i tympodobnych doraźnych sądów było dużo, a obok tego załatwiały się i inne interesa. Adjutanci, jenerałowie, pułkownicy, co chwila przychodzili i odchodzili, a nigdy inaczej, tylko po rozkazy i z rozkazami, które Suwarów wydawał bądź od razu, bądź po niejakimś namyśle. Namyślać się, zdarzało się mu często; ale razić się, nigdy. Jeżeli wypadała potrzeba zastanowić się nad czem, spuszczał głowę, zachmurzał brwi, i wówczas robiło się tak cicho, że słychać było brzęczenie przelatującej muchy. Raptem, podnosił głowę, słuchacze prostowali się i z ust mu padało kilka wyrazów, które stanowiły krótki ale nieodwołalny, jak ostateczny wyrok, rozkaz. Pomiędzy nim a jego podwładnymi nie było innego stosunku, tylko: ze strony wodza rozkaz, ze strony podwładnych posłuch — jedno i drugie, bezwarunkowe.

Michaś przypatrywał się i przysłuchiwał temu w milczeniu, mogąc, gdyby był starszym, oddawać się ciekawym nad Moskalami i narodowym ich charakterem studjom. Był jednkże za młodym, a przytem, przygniatał go wielki i bolesny smutek. Nie mógł wszelako nie czuć wdzięczności za grzeczność i pewne współczucie, jakie mu za przykładem Suwarowa wszyscy Moskale okazywali. Litowali się nad nim i nad Polską. Jego nieszczęśliwym, Polskę głupią nazywali, głupotę jej tłómacząc tem, że nie mogła ona na wszechpotęgę carycy się targać, że o tem wiedziała, a przecież się targnęła. Suwarów nie wdawał się już z nim w rozmowy, i zdawało się, jakby nie zwracał na niego uwagi póty, póki nie przyszła deputacya z Warszawy, przynosząc kapitulacyę stolicy. Do tego czasu Michaś dniował i nocował w sztabie, niby wolny, a przecież tak pilnowany, że nigdzie sam wyjść nie mógł.

Gdy deputacya po audyencyi odejść miała, Suwarów zatrzymał się na chwilkę i przywołał Michasia.

— Jak się twoi krewni nazywają?... — zapytał.

— Uhryńscy... — odpowiedział chłopak.

— Znacie panowie Uhryńskich?...

Deputowani wszyscy potwierdzająco odpowiedzieli, a zarazem oświadczyli, że znali i ojca i matkę Michasia.

— Ojciec jego... — rzekł jeden z nich — od dawna nie żyje, a matka mieszka na Pradze.

— Mieszka już w grobie... — podchwycił Suwarów — ten malczyk jest zupełnym sierotą... Jego los mnie obchodzi... Chciałbym widzieć się z jego krewnym... Niech z panami przyjedzie, gdy powtórnie do głównej kwatery przybędziecie...

— Wasze prewoschoditielstwo taki łaskaw... — odpowiedział jeden z deputowanych, nisko się kłaniając. — Nie ma wątpliwości, że pan Uhryński z całą skwapliwością spełni rozkaz waszego wysokiego prewoschoditielstwa...

Na ten ukłon wojskowy, Suwarów zmarszczył brwi, i syknął przez zęby wyrazem:

— Padlec'y... — co po polsku znaczy: podli.

Deputacya odeszła po klucze Warszawy, których oddanie z góry przez strwożonych przekupniów — owe miejskie bagaże, ciężar wszelkiej wojennej obrony stanowiące i ojczyznę w swoich tylko sklepikach upatrujące — było udecydowanem; a gdy wróciła, to w jej gronie i starosta Uhryński się znajdował.

— Wy krewny tego malczika?... — zapytał Suwarów, załatwiwszy się z deputacyą.

— Tak jest, panie jenerale... — odrzekł starosta, kłaniając się, — ale daleki, bardzo daleki...

— Ten malczik podobał mi się... — rzekł Suwarów. — Stracił matkę... Chciałem go wziąć za swego... On się odwołał do was... Weźcie go i po poskromieniu buntu zgłoście się do mnie... Ja go w szkole kadetów umieszczę, i osobiście carycy przedstawię... Tylko go nie zepsujcie... On kochał matkę, to powinien kochać i carycę, która jest także matką...

Starosta nisko się kłaniał i pokornie dziękował, a gdy z Michasiem do Warszawy powrócił, pierwszym wyrazem, jaki do niespokojnie wyglądającej go żony i rodziny wymówił, było:

— Ten Suwarów nie jest przecie takim okrutnikiem, za jakiego go okrzyczano...

I szeroko a długo opowiadał widzenie swoje z moskiewskim bohaterem, i usposobił dla niego wcale dobrze całą swoją rodzinę. Lecz po opowiadaniu starosty, nastąpiło Michasiowe. Słysząc je, starościna, starościanki, starościce i sam nawet starosta, popłakali się.

— Gdzież... nie okrutnik... ten Suwarów!... — rzekła starościna.

— To takie wojny koleje... — odrzekł starosta. — On temu może nie winien...

Na poparcie jego twierdzenia przyszło opowiadanie Michasia o spotkaniu z Suwarowem przy trupie matki, łzy tego ostatniego i pieczołowitość, jaką dla Michasia okazał.

— A co!... — rzekł strosta. — On ma ludzkie serce, tylko jest surowym jenerałem, i płacząc pełni powinność swoją... Takich jenerałów i nam było potrzeba... Tkliwość u wojownika powinna przychodzić po egzekucyi...

Michaś nie umiał dyskutować z panem Uhryńskim, pomimo że czuł, że nie miał starosta racyi, że tkliwość Suwarowa była tem, co igranie kota ze złowioną myszą. Miała koci uśmiech i kocie pazury i była tą właściwością ludzi wschodnich ras, skutkiem której z dobrotliwem na ustach uśmiechem gotowi są toczyć krew, szczuć braci na braci, dzieci na rodziców.

Na łonie rodziny starosty, znalazł młody nasz bohater przytułek i nawet rodzinę. Pochodziło to głównie z tego powodu, że nieboszczka jego matka i starościna ułożyły sobie były projekt wzmocnienia węzłów przyjaźni przez pożenienie dzieci. U pani Grochowskiej podrastał Michaś, u pani Uhryńskiej rosła Antosia. Michaś miał dziesięć lat,

Antosia trzy — dobrani więc byli co do wieku, trzeba było tylko ze dwanaście lat przynajmniej poczekać, aby jedno i drugie dojrzało do stanu małżeńskiego.

Był to więc projekt pół-żartem zrobiony, oparty tylko na życzeniu matek, życzeniu, którego urzeczywistnienie pozostawionem było dalekiej przyszłości i narażonem na tysiączne przeszkody, z których najgłówniejsze mogły urość w sercach małoletnich narzeczonych. Bo ani pani Grochowska, ani pani Uhryńska narzeczyn tych nie brały na seryo i nie myślały o tem, aby niemi dzieciom swoim imponować. Nie przeszkadzało to jednakże, że malutka Antosia nazywała Michasia mężem a Michaś Antosię żoną. Dziewczynka zaledwie mówić zaczęła, gdy ją bywało pytano się:

— Czy ty żona?...

— Mi...cha...sia... Gro...chow...skiego... — odpowiedziała sylabami.

— Czyja ty córka?...

— Sta...a...ro...sty... U...u...hryń...skiego...

— Co ty za jedna?...

— Polka...

Ostatni wyraz najwyraźniej i najdobitniej wymawiała, bo biedna dziewczyna przyszła na świat w epoce, w której Polacy już zapytywali sumienia swego, czy są doprawdy Polakami.

Starostwo mieli więcej dzieci. Oprócz Antosi mieli jeszcze dwóch synów i dwie córki. Antosia była najmłodszą. Synowie byli w wieku Michasia, to jest, jeden rokiem starszy a drugi rokiem młodszy od naszego bohatera. Z córek zaś jedna była starszą od Antosia młodszą od braci, druga najstarszą w całem rodzeństwie.

Z rodziną Uhryńskich znał się Michaś od dzieciństwa, i był z nią w częstych stosunkach. Dostawszy się więc na jej łono, uczul się, jakby w gronie własnej rodziny, tem bardziej, że starościna od razu przyjęła go jak matka, a jej synowie i córki, jak brata. Otoczono go taką starannością i pieczołowitością, że mógł zapomnieć o matce. Nie zapomniał jednakże, ale się utulił w żalu i powoli przywykł do sieroctwa.

Starosta był Polakiem. Zdawać by się powinno, że niepotrzebnie używam tego określenia, nazwawszy i jego godność wymieniwszy. Tak by się zdawać powinno; zważywszy jednakże, iż wyraz „Polak'' do rozmaitych da się naciągnąć wyobrażeń, iż pod tym wyrazem ukrywają się wbrew sobie przeciwne znaczenia, tak, że nie dość jest tytułować się Polakiem, aby być Polakiem, musiałem powiedzieć wyraźnie, że „starosta był Polakiem'''. Nie takim jednakże, jak nieboszczyk Grochowski. W jego polskości były pewne ograniczenia. On posuwał ją do najlepszych dla Ojczyzny życzeń, gotów był różnicę pomiędzy dochodami a rozchodami ofiarować, jeżeliby takowa na korzyść dochodów wypadła, lecz ani przypuszczał, aby człowiekowi, zajmującemu poważne w społeczeństwie stanowisko, godziło się na niepewne całą fortunę narażać. Należał więc do gatunku takich Polaków, co to złe i dobre przyjmują z rezygnacyą, na złe się skarżą, dobrem się cieszą i sprawę ojczystą zdają na Boga, na los, na łaskę dyplomacyi, na cokolwiek, tylko nie biorą jej na siebie.

— Co, ja!... —mawiał — co mogę poradzić sam jeden!..

A nie chciał uznawać tego, że on „sam jeden'', ociągając się, zły daje przykład, i mnoży takich „samych jednych''.

Najwyższym szczytem, do którego wznosił się jego patryotyzm, było:

— Trzeba przycupnąć i na lepsze czasy czekać...

Przycupnął więc, to jest: przyjmował i uznawał wszystko, co przemoc narzucała, ażeby nie okazać się głupcem, stawiał się na stanowisku zaborców i usprawiedliwiał ich.

— Każda rzecz — powiadał — ma dwie strony... Cobyśmy robili, gdybyśmy byli na miejscu Moskali, albo Niemców... Bliższa koszula ciała aniżeli surdut... Nastręczyła się im zręczność podzielić się Polską, więc podzielili się... Złe stało się, złe wielkie, nieszczęście, ale... cóż poradzić!... Trzeba być trochę filozofem i umieć się do nieszczęścia zastósować...

Stosował się więc starosta do nieszczęścia tak, że najprzód, chciał koniecznie zgłosić się do Suwarowa, gdy ten zajął Warszawę, i ofiarować mu Michasia na kadeta. Lecz temu oparła się starościna. Napróżno starosta przedstawiał żonie, że sama przyzwoitość nie pozwala nie uczynić zadość propozycyi człowieka, który został feldmarszałkiem. Starościna oparła się stanowczo.

— Ależ... — mówił pan Uhryński — nie można, abym nie poszedł do feldmarszałka... Byłoby to z mojej strony grubiaństwem nie do przebaczenia... A znów nie można, abym miał odmawiać tego, co on uważa, jako wynagrodzenie nieszczęścia, doznanego przez Michasia... To by go rozdrażniło... A naszym interesem bynajmniej nie jest, drażnić wroga, w którego mocy jesteśmy...

— Już, jak tam sobie chcesz... — odparła starościna. — Ja Michasia nie dam...

— To chyba trzeba się czemś wykręcić — rzekł starosta — ale to do jakiegoś czasu udać się może...

Udało się jednakże nie „do jakiegoś czasu'', gdyż po uroczystej wizycie, jaką starosta Suwarowowi oddał, i po oświadczeniu temu ostatniemu skłamanej wymówki, że Michaś nie może w tej chwili iść do kadetów, dla tego, że doznane świeżo takie nieszczęście, wtrąciło go w chorobę, dowiedział się, że Warszawa dostanie się Prusakom. Grzeczność więc względem Suwarowa stała się niepotrzebną, a pozostanie Michasia w domu państwa Uhryńskich najmniejszemu nie ulegało niebezpieczeństwu.

Pozostawało staroście dalej stosować się do nieszczęścia, jakie ojczyznę jego spotkało. W jakiż sposób to stosowanie się objawiło? — W bardzo niewinny. Oto starosta, na mocy tego, że przodkowie jego od wieków zasiadali krzesła w senacie, dzierżyli województwa i kasztelaństwa, nosili infuły i wysokie w Rzeczypospolitej polskiej sprawowali urzęda, postarał się o tytuł grafa i został hrabią Uhryńskim.

— Robię to nie dla siebie... —tłómaczył się ex-starosta. — Mój Boże! na co mi to!... Ale dla moich dzieci... Bo kto wie, jaki obrót wezmą okoliczności... Trzeba więc stosować się do tych, pod których bezpośrednim zostajemy wpływem...

Nie chciał o tem myśleć, że takie stosowanie się działo się z obrazą narodowej godności. Tytuł bowiem sam w sobie nic nie znaczy, — jest dzieciństwem, bagatelą, ale był szczutkiem w nos, jaki ojczyzna od rodzonych swoich synów dostała, a szczutek tak samo jest obrazą honoru, jak policzek, jak plunięcie w oczy. W jakiej bo chwili owe tytuły dostały się Polakom!... Kiedy matkę powaloną na ziemię deptano nogami i nad nią się znęcano, dzieci jej w hrabstwa ubierano. To zestawienie w każdym, poczuwającym się do polskości człowieku, mimowolnie wstręt do tytułów musi budzić. Bo gdyby one były dawniejsze, przez Rzeczpospolitą uznane, — to — niech by sobie były. Jeden drugi kiep (z przeproszeniem) cieszyłby się niemi, ale przynajmniej nie obrażałby honoru narodowego, honoru, który po utracie wszystkiego, sam jeden tylko pozostał.

Pan Uhryński rozumiał to, kiedy się tłomaczył, ale nie mógł oprzeć się urokowi wyróżnienia się śród tłumu.

Dostawszy z Berlina dyplom, który sowicie opłacił, zaniósł go uroczyście do żony i z uśmiechniętą wewnętrznem zadowoleniem twarzą, powinszował jej, że jest — hrabiną. Ex-starościna — wyznać to ze smutkiem musimy — także się uradowała i nie odpowiedziała jak zazwyczaj, przeczeniem na stwierdzenie męża, że:

— Prusacy nawet nie są tak źli, za jakich ich okrzykują...

— W interesie rządu pruskiego — rozwijał swoją myśl nowy hrabia — jest pobłażać nam... Względem polskich swoich poddanych musi on zachować pewną sprawiedliwość...

Sprawiedliwością nazywał przyznanie sobie tytułu, o którym tego samego dnia jeszcze wiedziały wszystkie państwa Uhryńskich i dzieci i całe prawie miasto.

W mieście, na ulicy, żye o tem mówiono. W warsztacie szewskim, w którym fabrykowano buty dla Uhryńskich, tak o tym wypadku zakonkludowano:

— Widzisz go!... lis!... A zdawało się, że Uhryński jest dobrym Polakiem...

Salony jednakże pospieszyły z powinszowalnemi wizytami.

III.

W powieści naszej zachodzi przerwa kilkunastu lat, w ciągu których bohater nasz wyrósł na młodzieńca i obok niego wystąpiła postać kobiety, o której w poprzednim rozdziale, jako o dziecińce wspomnieliśmy. Michaś został panem Michałem, maleńka Antosia panną Antoniną.

Zatrzymamy przez chwilkę na tej ostatniej uwagę czytelnika.

Hrabianka — nie! będę jej hrabianką nazywał. Panna Antonina była tak śliczna, że boję się opisywać jej postać i rysy, aby nie być niedokładnym. Coś bo w niej było nietutejszego, nieziemskiego. Patrząc na nią, zdawało się, że tak jak stąpa po ziemi, tak samo mogłaby i po wodzie, ani powietrzu by nie zaciężyła. Miała w sobie coś geniuszowego — coś twardego a zarazem miękkiego. Jakąś dziwną czuło się bojaźń, przystępując do niej, a nie chciało się od niej odchodzić. Patrzeć się na nią, podziwiać, zachwycać się nią — oto, w jej obecności, jakiemi przejmowało się pragnieniami. Ale dla skończenia jej opisu, jedno tylko ośmielam się dodać, że była blondynką i miała błękitne jak polskie niebo, oczy.

Wpływ panny Antoniny na otaczający ją świat, był stanowczy — rzecz można — absolutny. Władała jak królowa, żadną konstytucyą nie ograniczona, szczególnie młodzieżą płci męzkiej. Dla tej — jej skinienia były rozkazami, wyrazy — wyrokami. Atmosferą, w której pływała, były — rozumie się — salony, na których świeciła, jak gwiazda pierwszej wielkości i wciąż wlókł za nią ogon satelitów, jej urokom ulegających. Satelity jednakże odrywały się od niej, po jednemu, niekiedy po dwa, i to na jej rozkaz. Ona bowiem taki miała zwyczaj: gdy który z wielkoświatowej młodzieży, zbliżywszy się do niej, począł jej prawić, zająkając się, o swojem sercu, o swojej w świecie samotności, gdy począł frazesy westchnieniami zaprawiać, ona pytała go pod sekretem:

— Czy pan wiesz, że się biją o Polskę?..

Rozmaitemi bywały odpowiedzi młodych ludzi, ale jakiemi by nie były, po każdej następowało drugie zapytanie panny Antoniny, następującej treści:

— Czy pan nie podzielasz ze mną tego zdania, że w obecnych czasach młodemu człowiekowi wstyd wałęsać się po salonach warszawskich, kiedy u stóp Alp i Apeninów rozlega się szczęk polskiej broni?...

Młody człowiek krył sekret w sercu, i albo wykluczał się dobrowolnie z pocztu panny Antoniny satelitów, albo ruszał do Włoch, do legionów, myśląc sobie po drodze:

— Poczekaj, nie tak ty mnie zapytasz, kiedy stanę przed tobą, ze szramą przez pysk i z krzyżem na piersi...

Tym sposobem ogon jej satelitów ciągle się odnawiał i ciągle urywał. Coraz nowi przybywali a starzy odpadali a wytrwałych hołdowników wcale nie było, wyjąwszy jednego pna Michała, który nie tyle do hołdowników, ile do rodziny się liczył. Wzrósł z nią razem, wychował się z nią razem, był dla niej prawie bratem, a kiedy ona cały blask swojej piękności rozwinęła, on, starszy od niej o lat siedm, stanął na tym stopniu męzkiej młodości, za którym już następuje męzkość.

Wychowanie naszego bohatera odbyło się, częścią w Warszawie, częścią w Berlinie, ale zawsze razem z młodymi hrabiomi. W Warszawie mieli guwernerów, w Berlinie uczęszczali na niemiecki uniwersytet. Stary hrabia, ex-starosta, odwiedzał ich często w stolicy monachii pruskiej, w której porobił synom koneksye i stosunki, odpowiednie ich pozycyi socyalnej. Z dobrodziejstw tych korzystał młody Grochowski. Z młodymi hrabiami, w roli ich kuzyna, sam również grafem tytułowany, bywał po czysto niemieckich i niemiecko-polskich salonach przebywającej w Berlinie staro-niemieckiej i nowo-polskiej arystokracyi.

Na salonach tych było podówczas nie zabawnie. Nie nudzono się, ale też się i nie bawiono. Europę napełniły czyny wojenne Francuzów, którzy rok prawie po roku coraz dotkliwiej szarpali Niemców. Heroizm niemiecki oburzał się do najwyższego stopnia, ale nic poradzić nie mógł. Niemcy czuli się dostojnymi laurowych wieńców i sięgali po nie; ale ilekroć rękę wyciągnęli, tyle razy dostali po łapie i musieli kontentować się trzepaniną, która im się na rozmaitych polach i w rozmaitych okolicznościach dostawała. Obrażeni w uczuciu własnego dostojeństwa, rady sobie dać nie mogli, a na widnokręgu politycznym wałęsały się chmury, ciężarne frasobliwemi zagadkami dla jednych, różową nadzieją dla drugich, tak prawie samo, jak dziś. Z tego przeto powodu po salonach berlińskich miano o czem mówić, ale na kwaśno zaprawnemi były te rozmowy. Na polsko-berlińskich salonach bywało niekiedy nie kwaśno. Czasami, gdy zdarzyło się, że Niemców nie było, jaki świeżo upieczony graf, zapomniawszy o swojem grafstwie, uderzył się po boku, przy którym niegdyś wisiała karabela, musnął się pod nosem, pod którym niegdyś wiły się wąsy, i z całego serca zawołał:

— Hej! kropią Niemców, mospanie!...

Trwożliwie oglądali się na drzwi i okna, a odważniejszym serca rosły, ale się na tem kończyło.

Zastępcami orężnemi, rzecznikami Niemców, były Cesarstwo austryackie i Prusy. Broniły one germański świat przeciwko francuskim zamachom, ale od początku dziewiętnastego stulecia nigdy się razem zejść i razem wystąpić nie mogły. Wyrwało się Cesarstwo, oberwało i lizało się. Po niej wysuwały się Prusy. Cesarstwo — to w bezstronności naszej przyznać mu musimy — więcej okazywało bohaterstwa, i więcej też razy pokutowało. Natłukli się Francuzi pod Marengo i Hohenlinden, natłukli we cztery lat później pod Austerlitz. Prusy bolały nad podeptaniem niemieckiego honoru, ale się za nim nie ujęły. Aż Napoleon zagospodarował w Niemczech, skasował cesarstwo i został protektorem niemieckiego związku. Wówczas patryotyzm pruski zadrżał heroizmem poświęcenia się za niemiecką ojczyznę. W Prusach jedno znalazło się uczucie, jeden okrzyk:

— Naprzód! na Francuza!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nad brzegiem przepaści.

Tłomaczone z angielskiego.

P. O.

5)

Część druga.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz miałam wracać do domu. Gdy powóz zajechał, i nawet gdy już w nim siedziałam, zbliżył się nagle z drugiej strony zagadkowy służący lorda Carsuthera i rzekł cicho:

— Zdaje mi się, że pani zgubiłaś na schodach ten klejnot. Znalazłem go przed chwilą w sieni i obawiam się, że koperta jest nieco zgiętą.

I — podał mi mój zegarek!

Byłam tak zdumioną, że zanim zdołałam odpowiedzieć, już go nie było!

Koperta zegarka była rzeczywiście cokolwiek zgiętą i gdy ją otworzyłam, spostrzegłam, że litery, jakie tam były wyryte, znikły.

Czy złodziej je zatarł? Czy znikły same? Czy ja wogóle ten zegarek zgubiłam, czy mi go skradziono?

Sama teraz już nie wiedziałam, co myśleć.

ROZDZIAŁ III.

Wszystkie podejrzenia, jakie miałam z powodu tajemniczego związku pomiędzy panem Raynerem a służącym lorda Carsuthera, Gordonem, zwiększyły się jeszcze, gdy wróciłam do Surcaux. I znów pytałam sama siebie, czy pani Rayner jest obłąkaną? I czy pan Rayner był rzeczywiście łotrem, czy też człowiekiem nieszczęśliwym, zapoznanym i szlachetnym?

Zaledwie stanęłam w Surcaux usłyszałam złą wiadomość: Emilka była chorą z powodu przeziębienia się. Pobiegłam natychmiast do niej, i po raz pierwszy znajdowałam się w lewem skrzydle pałacu. Było tu okropnie Powietrze przesycone wilgocią było zimne i duszne, a Emilka leżała w małym, nizkim pokoju bez kominka! Jakże niezdrowe mieszkanie dla człowieka, mianowicie dla chorego dziecka!

Gdy Emilka mnie ujrzała, zadrżała z radości, i objąwszy szyję moją rączkami, przyciągnęła mnie zupełnie do siebie, tak, że musiałam położyć głowę na poduszce obok jej rozpalonej główki. Potem szepnęła mi cichutko:

— Zeszłej nocy była Sara u mamy i mama płakała! Słyszałam to przez drzwi. Mama i ja boimy się tej niegodziwej Sary!

Starałam się uspokoić ją, chociaż sama zaniepokoiłam się mocno, i wmówiłam w nią, że mamę bolały może zęby lub głowa.

Pan Rayner przyjął mnie z zwykłą uprzejmością i słuchał z wielkiem zajęciem mego opowiadania o pobycie w Denham-Court. Gdy mu powiadałam o skradzeniu lub zgubieniu zegarka i o zatartych literach, był niezmiernie oburzony na zuchwałego złodzieja, i twierdził również, że cała ta sprawa jest mu niejasną.

— Jest to zresztą moją winą, — dodałam, — powinnam była usłuchać rady lady Nisle. Nie chciała uwierzyć, aby brylanty na moim zegarku były fałszywe i radziła mi chować starannie tak kosztowny klejnot.

— A ona sama obchodziła się ostrożnie z swemi brylantami? — zapytał pan Rayner ciekawie.

— O tak, wyznała mi nawet w sekrecie, że kładzie swój naszyjnik i cały wogóle garnitur pod poduszkę. Brylanty jej są wspaniałe i kosztowały podobno niesłychane sumy!

Pan Rayner wzruszył ramionami.

— Dziwna myśl, — rzekł niedbale, — chować klejnoty pod poduszkę! Ale pani jesteś pewnie zmęczoną i śpiącą i zdaje mi się, że pomimo całej sprawy z zegarkiem, będziesz pani spać dziś bardzo dobrze.

Potem zapalił mi świecę i dodał z uśmiechem:

— Życzę pani przyjemnych snów, chociaż rzeczywiście nie zasługujesz na nie.

— Czemu?

— Jak mogłaś zdradzić tajemnicę lady Nisle?

— Co do kładzenia brylantów pod poduszkę? Ależ ja jej nie zdradziłam, ja tylko panu to powiedziałam!

— Tak jest! Bądź pani spokojną, nie wspomnę nikomu o tem, ani jednem słowem! Umiem milczeć!

ROZDZIAŁ IV.

Nazajutrz dowiedziałam się, że pan Rayner wyjeżdża do Londynu. Mówił, że powołują go tam ważne sprawy, lecz miał nadzieję, że wieczory będzie miał wolne i że będzie mógł chodzić codziennie do teatru. Wybierał się na pięć dni i w sobotę chciał wracać.

W chwili gdy miał siadać do powozu, rzekł mi jeszcze szybko:

Gdyby Emilce było gorzej, lub gdyby stan zdrowia mej żony budził w pani obawy, albo gdyby się stało coś nieprzewidzianego, telegrafuj pani do mnie do hotelu Charing-Cross. Nie wiem jeszcze czy tam zamieszkam, ale wiadomości tam dotąd wysłane dojdą mnie natychmiast. Oddaj pani depeszę Samuelowi — nikomu innemu, tylko jemu, i każ mu ją zanieść na dworzec. Przedewszystkiem nie powierzaj pani jej żadnej służącej w domu.

Dziwiłam się w duszy, że pan Rayner nie kazał tego uczynić wszechpotężnej Sarze, ale milczałam i przyrzekłam uczynić wszystko tak, jak sobie tego życzył.

W nieobecności pana Raynera zjednałam sobie łaski jego żony i to z powodu troskliwości, jaką otaczałam chorą Emilkę. Nieszczęśliwa ta kobieta przedstawiła mi się teraz z zupełnie innej strony, a wdzięczność jej nie miała granic, gdy kazałam chore dziecko przenieść z dusznego i wilgotnego pokoju do mej jasnej i wygodnej sypialni. Postanowiłam też posłać po doktora, chociaż pani Rayner i Sara drżały z strachu na moją samodzielność. Pan Rayner nigdy nie posyłał po lekarza i obie były przekonane, że postępowanie moje wywoła wielkie jego niezadowolenie.

Ponieważ w całym domu nikogo z służby nie było, przeto oświadczyłam, że pójdę sama do sąsiedniej wsi po doktora, nie zważając na nadchodzącą noc. Okryłam się gumowym płaszczem, uzbroiłam się w ogromny parasol kucharki i wyglądałam, jak przekupka małomiejska. Ale właśnie byłam z tego zadowoloną, mogłam bowiem być pewną, że w tym stroju nikt mnie nie zaczepi.

I podczas kiedy biegłam szybko w błocie i deszczu, zajęta jedynie myślą o chorej Emilce, usłyszałam nagle za sobą turkot kół i parskanie konia.

Odskoczyłam na bok i w tejże chwili dał się słyszeć dźwięczny głos męski.

— Hej, kobieto, nie chcecie jechać ze mną?

Zadrżałam z radości, poznałam bowiem głos Ryszarda!

Nie namyślając się też długo, przyjęłam jego propozycyą i dopiero, gdy już siedziałam na bryczce, poznał mnie!

— Nie byłbym myślał, że cię dziś spotkam, i to w takim stroju, — zawołał, śmiejąc się głośno.

O naszej sprzeczce przed kilku dniami nie było dziś już wcale mowy!

Wytłumaczyłam mu cel mej wieczornej wycieczki, i prosiłam go, aby mnie zawiózł przed dom lekarza.

— Dobrze, — rzekł, — ale za to, gdy go wyślemy do Surcaux, pojedziesz ze mną na dworzec po mego ojca. Zgoda?

Przystałam na to bardzo chętnie i po rozmówieniu się z doktorem pojechaliśmy na dworzec. Pociąg nadchodził właśnie — pobiegliśmy więc natychmiast na peron i tutaj, w tłumie ludzi, przy lichem dosyć oświetleniu, upadł Ryszard na jakiegoś robotnika, biegnącego z przeciwnej strony. Robotnik ten miał duży, okrągły kapelusz, zakrywający mu pół twarzy i niósł w ręku małe zawiniątko.

— Przepraszam, — rzekł Ryszard uprzejmie — lecz równocześnie umilkł i przerażony, spojrzał na mnie.

— Wiesz, — szepnął cicho, — kto to był?

— Nie, — odrzekłam, — ale przypuszczam, że jakiś robotnik z miasta.

— Nie, to był pan Rayner! Poznałem go natychmiast!

— Zdaje ci się! Pan Rayner jest w Londynie.

— Nie! To był on! Przysięgam ci, że to on!

Nie sprzeczałam się już więcej, ale wiedziałam, że Ryszard się mylił.

Ojciec jego wracał z nami, i to była jedna z najszczęśliwszych godzin mego życia. Mówiliśmy otwarcie o naszej przyszłości, a zacny starzec okazywał mi wiele serdeczności i zaręczał, że nie pragnie innej synowej, jak tylko mnie, i że byłby szczęśliwym, gdyby mógł kiedyś poblogosławić nasz związek. Gdy skręciliśmy na drogę, wiodącą do Sarcaux, kazał Ryszardowi odprowadzić mnie do domu, a sam pojechał dalej.

Ryszard nie przestawał zapewniać mnie o swej miłości i przysięgał, że gdy wróci na wiosnę, ożeni się ze mną, chociażby wbrew woli matki. Ale w głosie jego brzmiał taki smutek, że mimowoli zaczęłam płakać... Kto wie, co się do wiosny stać mogło! I zawierać małżeństwo przeciw woli matki — nie, na to nie byłabym się nigdy zgodziła! To też przyszłość ukazywała mi się w bardzo ciemnych barwach i czułość Ryszarda nie zdołała mnie wcale uspokoić.

Pożegnanie nasze było nad wyraz serdeczne, lecz smutne, a oczy moje były tak pełne łez, że nie widziałam prawie nic przed sobą.

Przeszedłszy przez podwórze, zwróciłam się ku domowi i teraz, pomimo ciemności, ujrzałam jakąś postać zgarbioną, która przez środek trawnika posuwała się ostrożnie ku werandzie. Przetarłam oczy, aby lepiej widzieć, ale księżyc skrył się w tej chwili właśnie za chmurę i nie mogłam rozpoznać nic więcej jak to, że był to jakiś mężczyzna, niosący zawiniątko w ręku.

Był to ów tajemniczy Gordon, który sądząc, że pan Rayner jest w domu, przychodził znowu do niego pokryjomu, pomiędzy dziesiątą i jedenastą wieczorem? Albo czy to złodziej? Ale złodziej wynosi zawiniątka, a nie przynosi ich!

Stałam drżąca i nieruchoma za drzewami i po kilku minutach ujrzałam przy świetle księżyca Sarę, wychodzącą z cieplarni razem z onym nieznajomym! A raczej znajomym, bo teraz poznałam w nim Toma Parkera!

Byłabym dała nie wiem co za to, gdybym była mogła zobaczyć, co się znajdowało w owej paczce, którą niósł. Czy on był rzeczywiście złodziejem? Zapewne i korzystając z nieobecności pana Raynera, prosił Sary o przechowanie mu skradzionych przedmiotów! Jego ostrożne posuwanie się ku werandzie, owa paczka w ręku, wszystko to upoważniało mnie do podobnego przypuszczenia!

Może też jednak zamierzał pozostać tu kilka dni, oczekując powrotu pana Raynera, i w paczce znajdowało się trochę bielizny? Sara mogła mu tak doradzić na własną odpowiedzialność, będąc pewną, że reszta służby będzie na jej rozkaz milczeć!

Gdy oboje poszli dalej, wbiegłam czemprędzej do domu i zapaliłam zapałkę, chcąc poszukać świecy. Za drzwiami, tuż przy schodach, spostrzegłam ową paczkę, którą Tom Parker miał w rękach i teraz zdawało mi się, że już ją raz widziałam, nie mogłam sobie tylko przypomnieć, gdzie i u kogo!

ROZDZIAŁ V.

Na drugi dzień rano otrzymałam list od pana Raynera. Pisał z Londynu i patrząc na stempel pocztowy, musiałam się mimowoli roześmiać, wspominając Ryszarda, który tak na seryo twierdził, że widział go wczoraj na dworcu, przebranego za robotnika! Pan Rayner opisywał mi opery i dramaty, na których był i zakończył list prośbą, abym przypomniała Sarze „o tem, o czem ona już wie.

To polecenie nie było mi przyjemnem.

I rzeczywiście, gdy jej o tem powiedziałam, zauważyłam, że nędzna ta istota posiniała, a oczy jej, błyszczące zawsze nienawiścią do mnie, zapłonęły złowrogim jakimś blaskiem. Za całą odpowiedź skinęła głową potakująco, ja zaś czułam się niezmiernie wszystkiem zaniepokojoną i nie wiedziałam, co o tem myśleć.

Ku mej wielkiej radości przybył niespodziewanie lord Carsuthers, aby się dowiedzieć, czy szczęśliwie wróciłam do domu. Ucieszyłam się bardzo z jego odwiedzin, bo polubiłam szczerze tego zacnego i miłego człowieka, ale któż opisze moje przerażenie, gdy nam opowiedział, że zeszłej nocy zakradli się złodzieje do Denham-Court, i że zabrali brylanty lady Mills, lady Nisle i wszystkie klejnoty innych pań, bawiących właśnie w zamku!

— Jakto, przeszłej nocy? — zawołałam drżącym głosem.

— Tak! Ale widzę, że wiadomość ta przeraża panią niezmiernie! Bledniesz......

— Ah, to nic, mów dalej milordzie! Wykryto już złodzieji?

— Nie jeszcze! Dziś rano dopiero spostrzeżono kradzież. Znaleziono drabinę pod oknami sypialni lady Mills — jedna z szyb była wytłuczona i tędy to weszli złoczyńcy. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że nie wzięli nic — szkatułka z kosztownościami stała na zwykłem miejscu, zamknięta, ale przy bliższem zbadaniu okazało się, że zamek był przemocą otworzony i że wszystko, co się w niej znajdowało, brylanty, pieniądze i inne kosztowności — wszystko to zostało skradzione!

— Boże Wielki!

— Stary ogrodowy przyszedł zaraz rano i pytał, czy w nocy nie zaszło coś nadzwyczajnego, bo gdy chciał wejść do szopy, w której są jego narzędzia razem z ogrodowczykiem Tomem Parkesem, mającym klucz od niej znalazł drzwi jak szeroko otwarte i poznał zaraz, że brak tam było drabki i linki.

— Tom Parkes! — Powtórzyłam cicho.

— Wiadomość o tem rozniosła się natychmiast, z szybkością błyskawicy, w całym zamku i we wsi i stwierdzono zaraz zniknięcie mnóstwa drogocennych przedmiotów. Ale najważniejszem w tej całej sprawie jest to, że lady Nisle stała się także ofiarą kradzieży. Miała ona w Denham-Court brylanty niezmiernej wartości, i kładła je co wieczór pod poduszkę...... Wszystko to znikło również i biedna kobieta popadła w straszną rozpacz! Jakim sposobem mogli się złodzieje o tem dowiedzieć, jest prawdziwą zagadką, bo nie powiadała nikomu, gdzie brylanty na noc chowa......

— Lady Nisle myli się, — zawołała żywo, — mnie samej mówiła o tem.....

— Tak, przypomniała to sobie później, ale nie ulega przecież wątpliwości, — dodał, patrząc przenikliwie na mnie, — że nie zdradziłaś pani tajemnicy tej nikomu, kto mógłby z niej korzystać.

— Naturalnie, że nie! Wspomniałam o tem tylko panu Raynerowi!

— Panu Raynerowi? hm, hm! Nie mogłaś pani doprawdy wybrać gorszego powiernika!

— Jakto?

— Bo on za wiele mówi..... Spotykałem go nieraz w New-Market — jest on nadzwyczaj miłym i uprzejmym, wybornym towarzyszem, ale z tem wszystkiem jest on ostatnim, któremu powierzyłbym coś, o czem nie ma się dalej powtarzać.

— Ale on jest niezdolnym do popełnienia podobnej nieostrożności, sam nawet łajał mnie za to, że wyjawiłam tajemnicę, którą mi powierzono.

— Więc mogę powiedzieć lady Nisle, że nie wspominałaś pani do nikogo o tem! Biedna kobieta wyrywa sobie włosy z rozpaczy, i przysłała mnie tutaj, abym spytał panią, komu zdradziłaś jej sekret. Byłem początkowo przekonany, że jej się tylko zdawało, że mówiła ci o schowaniu swoich brylantów, ale wypełniłem chętnie jej polecenie, mając przyjemność widzenia pani!

— Czy podejrzywają kogo o tę kradzież? — zapytałam zmieszana.

— Nie, wyraźnie nie podejrzywają nikogo, ale każdy gubi się w domysłach, wymieniając raz to, raz inne nazwisko. Z początku mieliśmy służbę w podejrzeniu, i nawet mój służący, Gordon, uosobistniona uczciwość, podał myśl zrewidowania wszystkich kufrów. Ale uznaliśmy to za niepotrzebne — skradzionych brylantów nikt w kufrze nie schowa — i to by wcale nie było dowodem winy lub niewinności służących. Można być w zmowie z złodziejami, a nie mieć w kufrze skradzionych klejnotów. Od dwóch tygodni jest w tej okolicy dużo robotników przy kolei i kapelusz jednego takiego robotnika znaleziono w ogrodzie — robotnicy wiedzą nawet, kto go zgubił, ale twierdzą, że właściciel jego siedział z nimi całą noc w karczmie. Do chwili obecnej nie wiemy nic pewnego. Gordon utrzymuje stanowczo, że złodziejami nie są ani służący, ani robotnicy, i zwracał mi uwagę na podobny wypadek, jaki się zdarzył u lorda Dalstona. Byłem tam poprzednio, bawiłem nawet kilka dni...

— U lorda Dalstona skradziono także klejnoty?

— Tak. Gordon jest przekonany, że złodzieje mają wspólnika, który jako służący w oznaczonym przez nich domu bada miejscowość, rozkład pokoi i daje im wszelkie potrzebne wskazówki. Ale to być nie może, bo służący, który, powiedzmy, przed rokiem był w Denham-Court, nie wie, czy w tym czasie nie zmieniono czego w domu i czy pokoje gościnne są te same, jakie były dawniej. A przedewszystkiem nie może w żaden sposób wiedzieć, że lady Nisle ma wszystkie prawie brylanty z sobą, i że kładzie je na noc pod poduszkę. Co do mnie to myślę, że jej garderobiana jest w zmowie z złodziejami!

— I ja tak sądzę, — odpowiedziałam nieco spokojniej, usiłując połączyć kradzież brylantów z tajemniczem zniknięciem i znalezieniem mego zegarka. — Ale chciałabym jeszcze panu coś powiedzieć. Wiesz pan napewno, że kradzież ta została popełnioną zeszłej nocy?

Zaledwie słowa te wyrzekłam, gdy zauważyłam, że lord już wcale na mnie nie patrzy. Obróciłam się szybko i spostrzegłam stojącą w drzwiach salonu panią Rayner, bledszą i więcej przygnębioną, niż zwykle. Za nią stała Sara. Ponieważ wszystkie drzwi w domu otwierały się i zamykały bez szelestu, przeto byłam przekonaną, że pani Rayner i Sara słyszały to, co mówiłam. I na widok twarzy Sary poznałam prawdę... serce zaczęło mi uderzać mocniej i prędzej... nie tylko, że miałam teraz podejrzenie, ale nadto niezłomną pewność, że jestem na najlepszej drodze wykrycia złodziei...

Ukazanie się pani Rayner w salonie wywarło takie wrażenie na lordzie Carsuthers, że nie słyszał wcale mego ostatniego pytania.

— Przepraszam panią, — rzekł, zwracając się do pani Rayner, — że przerywam przybyciem mojem twój spokój, ale chciałem tylko uwiadomić miss Dorę o kradzieży, jaką popełniono wczoraj w Denham-Court.

Pani Rayner stała jak zawsze nieruchoma i milcząca. Nie odpowiedziała też nic wprost na słowa lorda Carsuthera, tylko gdy umilkł, spytała z pewnem zajęciem.

— Nie zraniono nikogo?

— Nie, bo nie było walki z złodziejami. Zniknęli oni jak widma, jak gdyby ich ziemia była pochłonęła.

— Szkoda, że ich nie pochwycono. Mój mąż bawi od wtorku w Londynie. Jestem zawsze niespokojną, gdy go nie ma w domu.

Pani Rayner mówiła to machinalnie, tak, jak gdyby się słów tych na pamięć wyuczyła, Sara zaś wyjęła z kieszeni flakonik z wodą kolońską na znak, że gotowa każdej chwili spieszyć na pomoc swej pani. Ale zdawało się, że ostrożność jej jest zbyteczną.

Po chwili wstał lord Carsuthers i pożegnał panią Rayner, a ja wyszłam razem z nim, chcąc go odprowadzić aż do powozu. Wtedy opuściła Sara panią Rayner i pobiegła za nami, trzymając się nas tak blisko, że nie mogłam nawet szepnąć lordowi jednego słowa, co do mego podejrzenia...

W każdym razie byłam z siebie bardzo zadowoloną. Nie powiedziałam nic, co mogło było rzucić podejrzenie na służbę w domu, w której tyle doznałam gościnności, i postanowiłam rozmówić się najpierw o wszystkiem z panem Raynerem. Było stósowniej zwrócić się do niego, niż do kogoś obcego, że zaś miał wrócić jutro, przeto nie potrzebowałam nawet zbyt długo na niego czekać.

ROZDZIAŁ VI.

Ale nazajutrz pan Rayner nie przyjechał. Otrzymałam list od niego, w odpowiedzi na mój, z doniesieniem, że wróci dopiero w przyszły poniedziałek. Donosiłam mu o gęstych i ciągłych mglach, jakie panowały w Surceaux, prosił mnie więc, abym nakłoniła panią Rayner do przeniesienia się do pokoi, leżących od strony dziedzińca.

Ucieszyło mnie to, bo pokoje te były jasne i o wiele suchsze.

„Wiem, — pisał pan Rayner, — że żona moja nie będzie się chciała zgodzić na to, tymczasem obawiam się tak o jej zdrowie, że nie życzyłbym sobie, aby pozostawała dłużej w tem wilgotnem mieszkaniu. Uważałem od dawna już, że staje się coraz to bledszą i mizerniejszą, i dla tego proszę cię, droga miss Doro, abyś użyła całej twej wymowy i nakłoniła ją do zmiany pokoi. Powiedz jej, że to tylko tymczasowe i że wróci do dotychczasowej sypialni, skoro tylko mgły i deszcze ustaną, a jeżeli to nic nie pomoże, to powiedz jej, że ja sobie wyraźnie tego życzę, albo powiedz co chcesz, byleby się na to zgodziła. Liczę na panią z całą pewnością, wiem, że jesteś rozsądną i że zaufanie, jakie mam do pani, nie zawiedzie mnie. Napisałem też już do Sary, i kazałem jej przygotować wielki środkowy pokój“.

Troskliwość ta o zdrowie żony wzruszyła mnie głęboko, i uczułam znowu żal do pani Rayner, że nie umiała uznać ani szlachetności męża, ani moich usiłowań dla jej dobra. Ale gdy sobie przypomniałam rozpacz, jaką okazywała w czasie choroby Emilki, to musiałam sobie powiedzieć, że przygnębienie jej nie było ani wynikiem obojętności, ani nieczułości, i współczucie dla tej biednej kobiety odezwało się znowu z całą potęgą w mem sercu. Cieszyło mnie też bardzo, że będę miała teraz sposobność wyświadczenia jej przysługi.

ROZDZIAŁ VII.

Jak pan Rayner przewidywał, tak też rzeczywiście było, żona jego w żaden sposób nie chciała się zgodzić na zmianę mieszkania. Zanim jednak objawiłam jej życzenie męża, udałam się do ogrodu, aby rozważyć, jak ją do tego nakłonić i ujrzałam zupełnie niespodziewanie Sarę, idącą wzdłuż ogrodu drogą do wsi. Trzymała w ręku dosyć obszerny worek z czarnej skóry i biegła szybko, nie oglądając się wcale. Worek ten był widocznie czemś napełniony, nie mogłam jednak odgadnąć czem, i później miałam go raz jeszcze zobaczyć...

Postanowiłam korzystać z nieobecności Sary i rozmówić się natychmiast z panią Rayner o życzeniu jej męża. Poszłam więc ku domowi od lewej strony, i odsunąwszy gałęzie, przypatrywałam się po raz drugi owemu oknu, zasłoniętemu bluszczem i powojem. Nagle ukazała się w oknie pani Rayner, blada jak ściana, z oczami, otwartemi szeroko, jak gdyby w śmiertelnem przerażeniu...

Uśmiechnęła się i zerwawszy kilka kwiatów, wyciągnęłam rękę. Myślałam, że otworzy okno, ale ani drgnęła. Stała długo nieruchoma, zapatrzona w dal — i ja także stałam zmieszana, zaniepokojona, nie wiedząc rzeczywiście, czy zostać, czy odejść.

I wtedy przyszło mi na myśl powiedzieć jej, że Sary nie ma w domu.

— Sara wyszła, — zawołałam głośno.

Podstęp mój udał się wyśmienicie, bo pani Rayner natychmiast otworzyła okno. Zajrzałam ciekawie do wnętrza pokoju, ale nie spostrzegłam tam nic, oprócz czterech ścian, z których nieomal woda spływała. Ku środkowi pokoju stało łóżko i krzesło, zresztą mebli nie było tam żadnych.

— Emilka miewa się o wiele lepiej, — rzekłam, — i tęskni za mamą, która wcale jej nie odwiedza.

— Uściskaj ją pani odemnie, — odpowiedziała z smutnym uśmiechem, — i powiedz jej, że nie umiałabym jej pielęgnować tak, jak pani. Dziękuję pani serdecznie za troskliwość, jaką otaczasz moje dziecko.

W głosie pani Rayner brzmiała rozpacz bez granic.

— Jestem przekonaną, — zaczęłam teraz śmiało, — że zdrowie Emilki polepszyło się znacznie przez zamieszkanie w moim pokoju. Zdaje mi się, że mgły i wyziewy z bagna bardzo pani szkodzą. Pokój ten leży tak niekorzystnie, nieprawda? Jestem pewną, że pokój na piętrze, od strony dziedzińca, byłby o wiele zdrowszym, mianowicie teraz...

Twarz pani Rayner posiniała. Zaczęła oddychać prędko i głęboko, a usta jej drżały tak silnie, że przez chwilę słowa wymówić nie mogła.

— Czy kto polecił pani... — wyszeptała nareszcie, — abyś mi to powiedziała?

— Pisząc do pana Raynera wspominałam o ciągłych deszczach i o gęstej mgle, i dziś rano otrzymałam od niego list, w którym prosi mnie, abym panią namówiła do przeniesienia się na górę, od strony dziedzińca...

Zamiast okazać pewną wdzięczność za tę troskliwość męża, okazała pani Rayner niezmierne przerażenie. Obydwiema rękami objęła ramę okna i grube krople potu spływały z jej czoła.

— Co pani jest... — zapytałam przestraszona.

Ale ona nie zważała na mnie wcale.

— Boże Wielki! — krzyknęła przeraźliwie, — skończyło się! Zawadzam im!

— Komu? kto?

Nieszczęśliwa spojrzała mi bystro w oczy i szepnęła:

— Wiesz pani, co znaczą życzenia mego męża, jeżeli Sara ma polecenie wykonania ich?

Osłupiałam. Czy ona myślała, że mąż i Sara knują spiski przeciw niej? I gdy nie odpowiedziałam zaraz, rzekła z rozpaczą:

— Czy i pani należysz do moich nieprzyjaciół? Obawiałam się tego początkowo, ale okazałaś tyle dobroci memu dziecku? Nie wiem już doprawdy co myśleć!

— Miej pani zaufanie do mnie, błagam o to! Nie byłabym sobie nigdy pozwoliła do namawiania pani do zmiany mieszkania, gdybym była wiedziała, że to pani taką przykrość sprawi!

Pani Rayner nie spuszczała oczu ze mnie i patrzała na mnie tak, jak gdyby była chciała czytać w mem sercu. Zwolna też stawała się spokojniejszą i w końcu rzekła łagodnie:

— Daj mi dowód twej życzliwości dla mnie, miss Doro! Przekonaj mnie, że na ciebie zawsze liczyć mogę i pozwól, abym została w tym pokoju aż do jutra.

— Przyrzekam pani, że uczynię wszystko, co mogę.

— Żegnam cię, miss Doro; Niech cię Bóg błogosławi.

Pani Rayner zamknęła okno i znikła, a mnie nie pozostawało nic innego, jak powiedzieć Sarze, że ma przygotować pokój na piętrze dla pani Rayner.

— Na kiedy to ma być gotowe? — mruknęła Sara.

— Na sobotę, — odrzekłam, usiłując odłożyć dzień przesiedlenia się pani Rayner na najdalszy termin.

Sara nic nie odpowiedziała, ale oczy jej błysnęły złowrogo.

ROZDZIAŁ VIII.

Następnej nocy obudziłam się nagle. Zauważyłam, że ogień na kominku wygasnął, wstałam więc, aby go na nowo rozniecić, i teraz usłyszałam cichy jakiś szelest na schodach. Wstrzymałam oddech, lecz mimowoli trąciłam krzesło i szelest ucichł natychmiast. Drżącą ręką zapaliłam świecę, zbliżyłam się do drzwi i stojąc nieruchomie, czekałam, co dalej nastąpi. Szelest dał się też znowu słyszeć — było to ciche skrobanie i pukanie w stopnie schodów, najpierw w jeden, potem w drugi...

Serce przestawało mi prawie uderzać z strachu, a pomimo to postanowiłam zaboczyć, co się tam dzieje!

Otworzyłam więc cichutko drzwi i postąpiłam kilka kroków naprzód. Gdy się zbliżyłam do schodów, ujrzałam postać kobiecą skuloną na drugim lub trzecim stopniu z góry. Blask świecy przestraszył ją — podniosła szybko głowę i wtedy poznałam w niej — Sarę!

Chciałam jej zapytać, czego tu chce o tej porze, lecz zanim zdążyłam otworzyć usta, krzyknęła przerażająco, zerwała się i w tejże samej chwili z głuchym łoskotem spadła z góry na dół, jak kłoda drzewa.

Stałam jak wryta, nie mogąc pojąć, co to wszystko znaczy, i zwolna dopiero poznałam, jak straszne groziło mi niebezpieczeństwo. Pomimo to kazało mi sumienie spieszyć na pomoc leżącej na kamiennej posadzce Sarze, i wolno, ostrożnie, trzymając się mocno poręczy, zeszłam na dół. Niegodziwa ta dziewczyna chciała mej śmierci albo przynajmniej ciężkiego poranienia się, i w tym celu przybiła gwoździami, zaraz na pierwszych stopniach z góry, sznurki i powrozy tak, że nie wiedząc nic o nich, byłabym musiała zahaczyć się o nie i spaść ze schodów tak, jak ona teraz spadła. Przestraszona mojem niespodziewanem ukazaniem się, zapomniała o sznurach, zawadziła o nie nogą i spadła na wznak z wszystkich stopni.

Przez chwilę stałam nieruchomie, potem zbiegłam szybko na dół i tu okropny widok przedstawił się moim oczom. Sara leżała w kałuży krwi i jęczała przerażająco.

Nie trwało długo, a cały dom był w ruchu. Ktoś pojechał natychmiast po doktora, który zbadał dokładnie nieszczęśliwą i orzekł, że lewa ręka jest złamaną w dwóch miejscach i że kość pacierzowa ciężko została uszkodzoną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prosimy przy zamówieniach powoływać się na „Pracę".

Biblioteka

330

Poetów Polskich

w 150 tomach

Pierwszy tom w druku. Prospekta wyseła

Księgarnia Wydawnicza Polska

Sp. z o. p.

Berlin N. 24.

Książki

handlowe

i gospodarcze

w polskim i niemieckim języku

zakładam,

rewiduję

390 **i reguluję**

w domu i po za domem

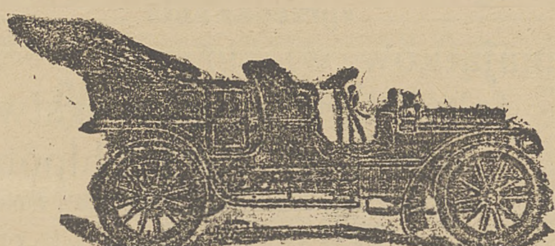
sumiennie i prawidłowo.

Wszelkie informacye i porady **bezpłatnie.**

Łask. zgłoszenia do Eksped. „Pracy" pod Nr. 390.

Samochody

osobowe i ciężarowe najsławniejszych fabrykatów krajowych i zagranicznych poleca po cenach fabrycznych, **używane** oddaję **po nader przystępnych.**



Utrzymuję 41

skład pneumatyków

i przyborów.

Fachowy warsztat do naprawy.

Garage.

St. Brzeski

POZNAŃ, św. Marcin 64.

Telefon 1101.

Założony 1894.

Oszczędności

przyjmuje płacąc 4% za kwartalnem, zaś $4^1/_2$% za półrocznem wypowiedzeniem. 213

BANK LUDOWY

E. G. m. unb. H.

KCYNIA — EXIN.

Spółka Stolarska

Tischler-Rohstoff- u. Absatzverein e. G. m. b. H.

Poznań, ul. Jezuicka 5.

Telefon 207. poleca założona w r. 1894.

Wyprawy dla nowożeńców.

Specyalność: 525

wyprawy obywatelskie.

Meble stylowe.

tanio! wielki wybór!

Pismo jak „PRACA"

powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko

1,25 mk.

Pensyonat polski

w Berlinie

Ludwiki Biedermann

Pokoje wygodnie urządzone, ze stołem lub bez, na czas dłuższy lub krótszy. Ceny przystępne.

Dessauerstr. 35 II,

4 minuty od Lipskiej ulicy i Poczd. placu



Obuwie

damskie, męzkie i dla dzieci

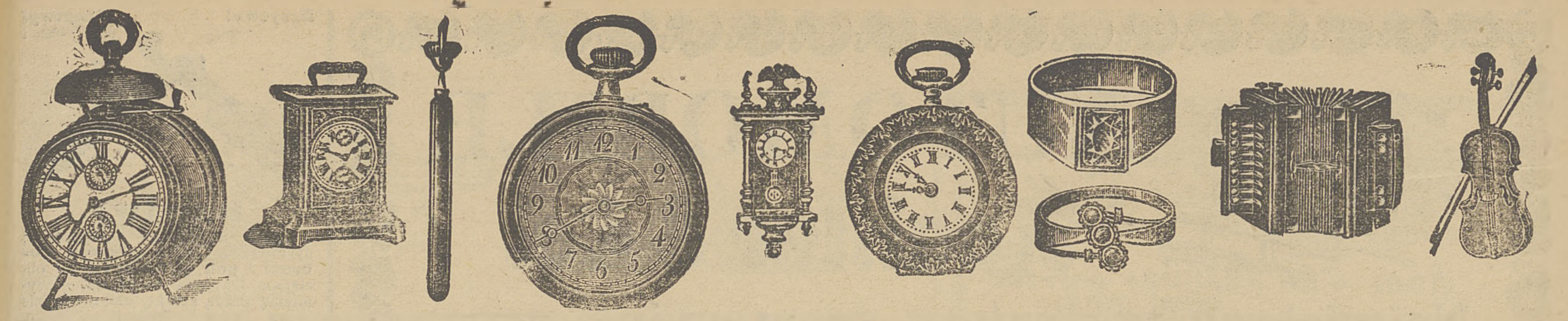
na porę wiosenno-latową poleca **w wielkim wyborze** i po **cenach umiarkowanych** na każdem obuwiu wyznaczonych.

Specyalny zakład wytwornego obuwia

i pracownia do zamówień.

M. Zabłocki,

Poznań, Berlińska ul. nr. 16, dawniej 15. — Telef. 1239.



Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą Ia. pierwszy gatunek.

NIKLOWE męzkie kluczykowe . mk.	5,40
POSREBRZANE z 2 złoconymi brzegami . . . . . „	5,90
NIKLOWE kluczyk. 6 kamieni Ia. „	8,00
NOWOSREBRNE kluczyk. 2 złoc. brzegi 6 kamieni prima . . „	7,75
CZYSTO SREBRNE 2 złoc. brzegi kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kamieniach znane z dobrego chodzenia . . . . . mk.	10,00
Te same o 10 kamieniach . . „	12,00
CZYSTO SREBRNE kluczykowe lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni, złocone wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia z wizerunkiem **MATKI BOSKIEJ** mk.	12,00
znacznie lepsze z Matką Boską . „	14,00
a najlepsze z Matką Boską . . „	16,00
CZYSTO SREBRNE damskie 6 kamieni . . . . . . „	8,50
dto. 10 kamieni prima . . „	12,00
CZYSTO ZŁOTE 7 karat damskie 10 kam prima . . „	16,00
dto. 10 kamieni Ia. prima . „	18,00
dto. wspaniałe 10 kam. Ia. Ia. „	22,00

Do zegarków z gwarancyą kapsułka lub etui darmo.

Sprzedaję taniej jak niejedna fabryka.

Jedyne największe, najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna

a szczególniej dla sprzedających z drugiej ręki.

CENY HURTOWNO FABRYCZNE.

Wszelkie moje zegarki z oznaczeniem **5-LETNIEJ GWARANCYI,** są starannie obciągnięte i na minutę uregulowane.

OBAWY NIE MA ŻADNEJ, bo to, co by się podobać nie miało, lub istotnie nieodpowiednem w tej cenie było, **PRZYJMUJĘ Z POWROTEM I WRACAM PIENIĄDZE.**

Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, toć trudno, sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą.

Proszę napisz pan **PO CENNIK** circa 2000 ilustracyi, a chętnie każdemu **DARMO I FRANKO** wysełam. 200

M. Danecki

Miejska Górka

(Görchen Bezirk Posen.)

Zegarki bez gwarancyi II-gi gatunek.

NIKLOWE męzkie rem., 12 godz. chodzące . . . . . mk.	2,45
dto. 30 godzin chodzące . „	2,95
dto. lepsze 30 godz. chodzące. „	3,50
STALOWE czarne lepsze remont. 30 godzin chodzące . . „	4,25
CZYSTO SREBRNE remont. tylko lepsze 6 kamieni . . „	6,75
dto. kluczyk. I tylko lepsze 6 kamieni . . . . . „	6,85
dto. damskie tylko lepsze 6 kam. „	6,95
dto. Ia. tylko lepsze 10 kam. . „	8,50
ZŁOTE damskie 7 karat. Ia. tylko lepsze 10 kamieni . . . „	13,75
BUDZIKI głośno dzwoniące . „	1,85
BUDZIKI z większym dzwonkiem „	2,65
BUDZIKI z muzyką . . . „	6,40
HARMONIKI 2 klucze 48 głosów „	3,00
HARMONIKI 3 klucze 70 głosów „	5,00
HARMONIKI 4 klucze 90 głosów „	6,00
SKRZYPCE z smyczkiem dla dorosłych . . . . . „	5,00
dto. lepsze dla dorosłych. . „	7,00
dto. z silnym głosem . . „	9,50

BRZYTWY jedynie dobre pod gwarancyą za każdą sztukę

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	276	3,75

już gotowe do użycia.

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul, małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.

Telefon Nr. 119. 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Deski w różnych grubościach 1/2, 3/4, 4/4, 5/4, 6/4, 2, 2 1/2, 3 calowe.

Skład dzwon bukowych,

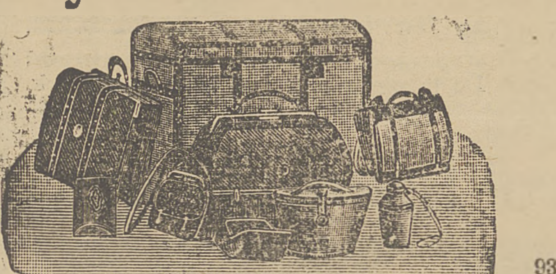
dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo

Hurtownie. nizkich. **Detalicznie.**

Fabryka kufrów i torb



93

poleca swe wyroby premiowane w Poznaniu i Lwowie

Kufry ręczne Kufry fałdowe Kufry męzkie Kufry damskie Kufry trzcinowe Kufry do prób	**N. Wolniewicz,** siodlarz kiesieniarz **Bazar,** **ulica Nowa 8.**	Torby szkólne Torby do podróży Torby fałdowe Torby do pieniędzy Torby do listów Torby myśliwskie

szelki, portmonetki, necessery, siodła, trenzle, czapraki, koniki, piłki i poduszki skórzane.

ZAKŁAD

dentystyczny.

Wprawiam i plombuję zęby

podług najnowszej metody. Operacye zębów bez bólu po przystępnych cenach. Wykonanie dokładne i artystyczne. 148

Przyjmuję od godz. 9 rano do 6 po południu.

Jadwiga Marszałek,

Poznań,

św. Marcin 56

I. piętro.

Dom Wysyłkowy

cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.

Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.

Wszelkie instrumenta jak:

flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, kataryńki i samograjki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.

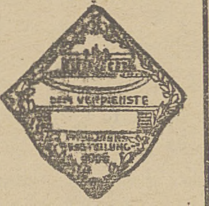
Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 120

ŁUCYAN PIOTROWSKI,

Gniezno ul. Wilhelmowska 2.



Piegi



i wszelkie nieczystości skórne usuwa szybko i nadaje twarzy delikatną, białą płeć **„krem i balsam nowski“** 3 mk.

Na słaby porost włosów jedyny rzetelny i wdzięczny środek jest **„balsam cebulany nowski“** 3 mk. — Setki podziękowań za doskonały skutek w krótkim czasie odebrałem. Dalej za dobry skutek na t. roczn. wystawie w Wiedniu pod protektoratem arcyksięcia Eugena najwyższą odznakę honorową t. j. złoty medal i krzyż honorowy otrzymałem. 399

H. Smyczyński, aptekarz

Chełmno — Culm a. W.

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2,

drugi dom od ulicy Wrocławskiej. 20

Zakupuję wszelką ilość brylantów i starych sreber.

Na podarki ślubne

piękne

dobrze urzymane

starożytne srebra,

jako też i nowe

pierścienie, broszki, łańcuchy, zegarki

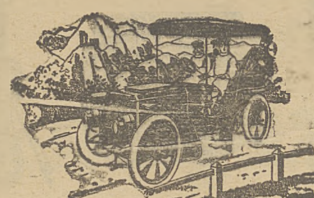
poleca 345

po nizkich cenach

D. Dybizbański

Huebnera Nast.

ul. Wiktoryi 10.



AUTOMOBILE
Koehler & Co.
Największe warsztaty reparacyjne
z zapędem elektrycznym.
Przystanek szklanny dla samochodów, stacya benzyny, oliwy, pneumatyków.
Poznań, ul. Wiktoryi 17. Telefon 1993.
Gen. repr. firmy
Rex Simplex, Ronnenburg S.-A.

Brzytwy! Brzytwy!



Brzytwy
jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futeryał darmo.

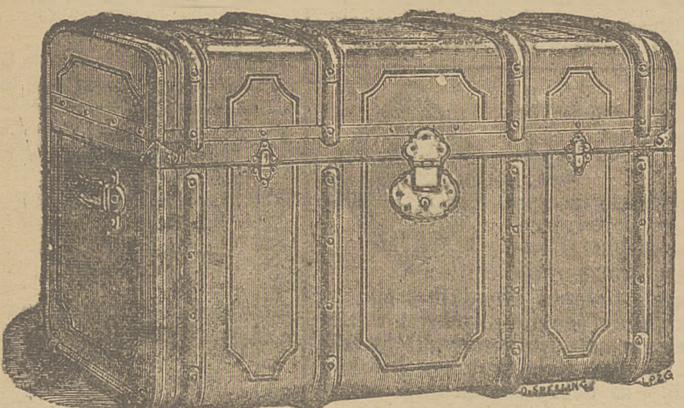
Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75

a następne nr. 0 1 2 3 4 bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.
Pędzelek 40 fen., **nikl. miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.
Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00 1,50 i 2,00 mk.
Nożyczki kute stalowe po 40, 50, 60 i 90 fen.
Noże kieszonkowe tylko mocne po 20, 25, 30 fen.
Noże kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50 60 fen.
Odsprzedającym rabat. Cenniki wielkie, około 2000 illustracyi wysełam darmo i franko. 200
M. Danecki,
Miejska Górka (Görchen in Pos.)

Ostatni mój
skład cygar i papierosów
pod firmą 393
Havana
przy ulicy Berlińskiej 7
pragnę **sprzedać,** najchętniej rodakowi pod **bardzo korzystnymi** dla kupującego warunkami. Do przejęcia potrzeba tylko 5—6000 mk. gotówki. Klientela detaliczna składa się z 60% Polaków i 40% Niemców. Odstępnego nie żądam.
Poznań **Karol Rzepecki** Rycerska 38.

ZWIĄZEK ZIEMIAN
E. G. m. b. H.
TELEFON NR. 1615.
w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.
przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia $3^1/_2$, 4 i $4^1/_2$ %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94
podejmuje się regulacyi hipotecznej,
pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,
podejmuje się administracyi majątków ziemskich
prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente“.

Leon Pluciński, mistrz siodlarski
Poznań, św. Marcin 52/53.
Interes istniejący od roku 1875. 311



Wydział towarów do podróży: Kufry damskie i dla panów t. zw. niemieckie od 10, 15, 18, 21, 23 do 50 M. Kufry francuzkie wypukłe i watowane od 20, 25, 30—45 M. Kufry t. zw. trzcinowe, na których zaoszczędza się 50% na wadze od 20, 25, 32,50 37, 40—60 M., prawdziwe trzcinowe od 30 do 100 Mk. Zlecenia uskutecznia się **odwrotnie.**

Znakomita kuchnia.
Restauracya
KISLINGERBRÄU
(Kaźmirz Krenz)
przy placu Wilhelm. **Poznań** w środku miasta, w pobliżu przystanku kolei elektrycznej.
Wyborne obiady
od godziny 12—3-ciej
po 1,25 mk., **w abonamencie 1,00 mk.**
Wielki wybór śniadań i kolacyi. 36
Uznana za najlepszą zimną ruską kuchnią.
Dobrze pielęgnow. piwa i wina. Dobra wentylacya.

Młoda inteligentna panienka
z zacnej rodziny życzy sobie korespondencyi z panem **poważnym,** łagodnego usposobienia w celu późniejszego zamążpójścia. Dyskrecya zapewniona! Zgłosz. do Eksp. „Pracy“ pod lit. W. J. 600. 476

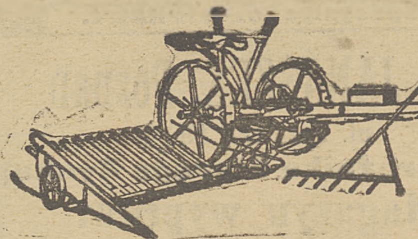
Smalec wieprzowy
w $^1/_1$ i $^1/_2$ centnarowych sądkach,
tanie **ryże, kasze** jęczmienne, **jagły,**
w 1 centnarowych mieszkach
poleca tanio 154
J. Smyczyński, św. Marcin 27.

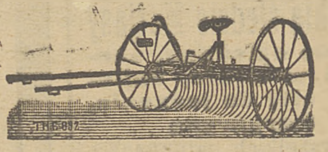
Skład
ze sklepem
przy ul. Wrocławskiej nr. 3 w pobl. Starego Rynku jest od 1 10. br. do wynajęcia. Bliższych wiadomości udzieli
W. JANASZEK,
ul. Wodna 28, narożnik ul. Jezuickiej. 422

Maszyna do pończoch robienia „Meteor“



jest najlepsza i do użytku domowego przemysłu. 477
Maszyna ta wyrabia pończochy, szkarpetki z podwójną piętą i około 100 innych srtykułów. Wyuczenie dokładne w kilku dniach. Bliższych informacyi udzieli za przesłaniem 20 fen. w znaczkach pocztowych
Th. Wolf,
Altwasser, na Śląsku (Schlesien).





Żniwiarki, Wiązałki, Kosiarki

doskonałe, amerykańskie *Deeringa Ideal.* Daję na próbę i to na 100 mórg — 50 mórg, na 80 mórg 30 mórg celem przekonania o dobroci tychże. W razie niedobrze maszyna siecze odbieram takową z powrotem. 397

Opatentowany przyrząd pod żniwiarkę, który wstrzymuje ciężar maszyny i bieg tejże reguluje. Nadzwyczaj wielka ulga koniom.

Grabie konne patent. ogólnie znane ze swej dobroci. Z powodu, że wielkie zapasy na składzie o 10% taniej jak każda konkurencya.

Centryfugi do odtłuszczania mleka li tylko najnowszych i bardzo praktycznych konstrukcyi.

Drylowniki t. zwane „Schubrad" mocnej budowy, równo siejące wszelki zasiew, jedno i dwukonne.

Maszyny rólnicze każdego rodzaju.

Części rezerwowe zawsze na składzie

poleca **M. MICHAŁOWSKI, Poznań**

ul. Strzelecka 31. — Telefon 1445.

Sprzedaż na odpłatę pod najdogodniejszymi warunkami.

B. Szulczewski,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.

Oświetlenie spirytusowe.

Kompletne wyprawy.

Urządzania hotelowe.

Abażury — Przedmioty galanteryjne.

Pająki do kościołów.

Ampułki. 18

Patenty na wynalazki wyjednywa

Kazimierz Ossowski

Biuro patentowe!

PETERSBURG, Wozniesienskij prosp. 3.

BERLIN, Potsdamerstrasse 3. 26

Książki do nabożeństwa polecam po niebywałych cenach.

Westchnienie do Boga, mała książeczka do nabożeństwa w skórkę watowaną oprawna, prześliczne wyciski i złoty brzeg, **cena tylko** 1,— mk., z przesyłką 1,10 mk, ta sama z zameczkiem 1,25 mk., z przesyłką 1,35 mk.

Bóg z Tobą, prześliczna książeczka do nabożeństwa, mały format w skórkę watowaną oprawna z wyciskami, cena tylko 1,— mk., z przesyłką 1,10 mk, ta sama z zameczkiem 1,25 mk., z przesyłką 1,35 mk.

Wianek Maryi, ku czci Najśw. Maryi Panny, mały formacik, w oprawie w skórkę, bardzo ładna, jedna z najładniejszych książek do nabożeństwa, cena 2,—, z przesyłką 2,20 mk., ta sama z zameczkiem 2,25 mk., z przesyłką 2,45 mk.

Mały zbiorek modlitw, prześliczna **miniaturowa** książeczka do nabożeństwa przez X. Smolarskiego, oprawiona w skórkę watowaną, z wyciskami. Cena dotychczas niebywała, bo tylko 1,30 mk., z przesyłką 1,40 mk, ta sama z rzemykiem do zamykania, prześliczna i elegencka książeczka. Cena tylko 1,75 mk., z przesyłką 1,85 mk.

Ojcze nasz, książeczka do nabożeństwa przez X. Jarosza, maleńka książeczka w watowaną skórkę bardzo elegancka, cena 1,30 mk. z przesyłką 1,40 mk.

Bądź Wola Twoja, modlitwy i rozmyślania na wszystkie dni tygodnia i miesiąca, najpiękniejsza książka do nabożeństwa dla kobiet, w oprawie miękkiej, bardzo ładnej, w skórkę z wyciskami. Cena 6,50 mk.

Oprócz tego posiadam ogromny wybór najrozmaitszych książek do nabożeństwa.

Poleca i wysyła odwrotnie powyższe książki

Bogdan Chrzanowski

Księgarnia i skład papieru 427

POZNAŃ, ul. Wilhelmowska 17.

Bardzo piękny charakter pisma

posiadający **kupiec,** szuka zajęcia w kupiectwie lub w biurach bankowych albo adwokackich. Wymagania skromne. Wiadomości udzieli

Fr. Radomski, Nowy Rynek 13 III p.

„Talizman zdrowia i piękności" 80 fen. **Onanizm** (samogwałt) itp. 1,10 mk. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielniczek lekarski (125 kol. obr.) 1,50 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia": *Czarnowski, Berlin N.,* Weissenburgerstrasse 27. 113

Jan Białkowski 201

mistrz blach. i dekarski

Pobiedziska (Pudewitz),

pokrywanie dachów metalem, łupkiem, papą pojedyńczą i podwójną s. p. polepianie starych uszkodzonych dachów przy długoletniej gwarancyi, smarowanie, reperacye tanie i skore. **Skład lamp, szkła, porcelany i sprzętów kuchennych.**

„Gleba"

Bank rolniczy, Tow. akc.

Poznań, ul. Szkólna 11, — poleca

Węgle,

Saletrę chilijską na r. 1907, 1908, 1909,

Superfosfaty,

Zużle Thomasa, „Sternmarke,"

Kainit,

Wapno do budowli i na nawóz,

Rozmaite pasze,

Wszelkie potrzeby gospodarcze

w wyborowych gatunkach po cenach umiarkowanych. 348

Pranie bez mydła!!!



Kto się nie przekona o znakomitych skutkach **„Saponinu z koszulką"** sam sobie szkodzi ponieważ wydaje dużo pieniędzy na mydło i rozmaite szumnie zachwalane proszki, które tylko bieliźnie szkodzą a brudu nierozpuszczają. 487

„Saponin z koszulką" oczyszcza bieliznę **bez mydła i bez tarcia** tylko **przez gotowanie!** Pod gwarancyą **nieszkodliwy i bez chloru.** **„Saponin"** jest też dobrym środkiem do czyszczenia i mycia sprzętów domowych i kuchennych. Tylko prawdziwy w paczkach po **25 fen.** ze znaczkiem koszulką. Do nabycia w wszystkich drogeryach i składach kolonialnych, a gdzie niema na składzie wysyła się wprost z fabryki 8 paczek za 2,00 mk. franko i inclusiwe za zaliczką.

Chemiczna fabryka **„Saponia" C. Nagórski,** Starogard (Pr. Stargard.)

Przedsiębiorstwo

miernicze i melioracyjne

Pankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie,

wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków i gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.

Smalec, Smalec, Smalec.

Najlepszy berliński topiony . ft. 55 fen.
Surowy smalec . . . . . ft. 48 fen.

poleca jeszcze tylko

Fr. Jaworowski,

Poznań, Szeroka ulica nr. 15.

TELEFON 701. 310



Mydło liliowe

w kawałkach po 50 fen.

Woda liliowa

Eau de Lys de beauté

w butelkach po 1,50 mk.

wytwarzają piękną, delikatną cerę twarzy i rąk, piękny zawsze młodzieńczy wygląd, olśniewająco piękną płeć, usuwają wszelkie nieczystości skóry, jak piegi, węgry, wyrzuty, czerwoność. 252

W Poznaniu do nabycia w drogeryach pp. R. Barcikowskiego, J. Czepczyńskiego, Z. Rittera. W Jeżycach p. K. Buchowskiego, w Jarocinie p. W. Chylewskiego lub wprost w chemiczno-kosmetycznym laboratoryum K. Buchowskiego w Poznaniu.

Adres do zamówień:

K. Buchowski,

Chemisch-kosmetisches Laboratorium. Posen 72.

Nowe

szkockie śledzie Matjasy

śledzie opiekane, sardynki w oliwie, najlepszy olej do jedzenia, margarynę

we wszelkich gatunkach,

czystą amer. mięszaną salonową naftę **z dostawą na bieżące i późniejsze term.**

Smołę i papę na dachy oraz carbolineum

poleca po tanich cenach hurtownych 133

Maciejewski & Co.

Szczeciński hurt. handel śledzi i nafty

Poznań (Posen) W. Garbary 23.

Telefon 872. 133

Adr. do list. Maciejewski & Co., Posen.
Adr. do tel.: Heringsgrossist, Posen.

Makulaturę

ma tanio do oddania

Drukarnia „Pracy."

Specyalność: WYPRAWY.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37
Lampy naftowe
Lampy spirytusowe.

Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

Stała wystawa.

12 okien wystawowych.

Cennik na żądanie bezpłatnie.

Biuro melioracyjne

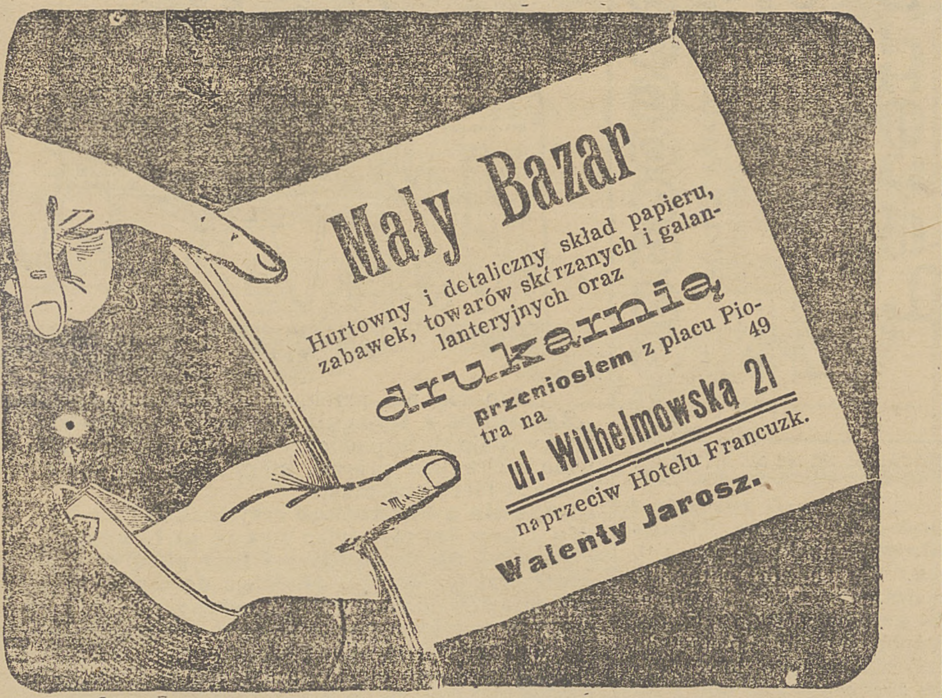
Trawiński & Kucharski

Telefon 839. **Poznań,** Telefon 839

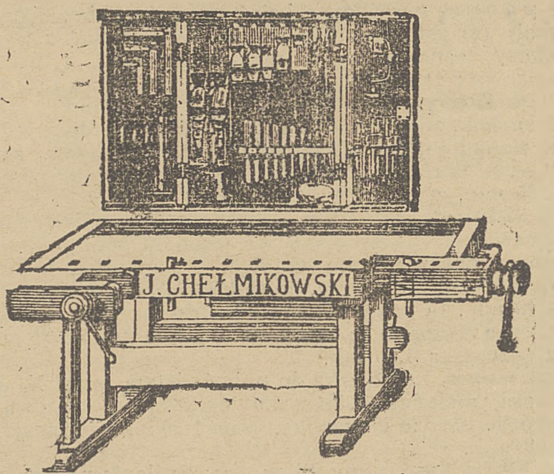
ul. Rycerska 26 (vis-à-vis zakładu wodoleczniczego Dr. Panieńskiego)

wykonuje **drenowania,** 129 **nawodnienie łąk systemem francuzkim** oraz innemi, odwodnienie łąk (murszów, torfów) **metodą prof. Fleischera** i sporządza projekta jeneralne i specyalne dla **spółek drenarskich i majoratów** pod kierownictwem **dyplom. inżynierów kultury rolnej.**

Filie: Warszawa, Zielna nr. 21.
Sieradz, Kaliska 7, zastępca inżynier pan Madaliński.



J. Chełmikowski, Poznań.



Główny skład Półwiejska 35. Filia Św. Marcin 45.

Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli, garncarzy, sztukatorów.

Cennik darmo. 102

Adres: **J. Chełmikowski, Poznań (Posen).**

Wielki polski zakład

zegarmistrzowsko-złotniczy

założony r. 1873

poleca:

ogromny wybór w zegarkach kieszonkowych

od najskromniejszych do najwytworniejszych z najrenomowańszych fabryk szwajcarskich.

Zegary szafowe, stojące, regulatory i budziki najrozmaitsze.

Łańcuszki 560

damskie, długie złote, matowe, grube, pancerne i fantazyjne, męzkie i damskie.

Laski srebrne. Obrączki ślubne.

Wszelkie artykuły złotnicze.

Ceny nizkie. Usługa uprzejma.

W. Schultz

— Poznań, w Bazarze. —

P. Michałowicz,

Poznań, Berlińska ulica 5.
Telefon nr. 1918.

Poleca

po znanych nizkich cenach

swój

jedyny polski, bogato zaopatrzony hurtowny skład tłuszczy, masła kokosowego, przyborów cukierniczych etc., oraz margaryny we wszelkich gatunkach

do

jedzenia, pieczenia i gotowania. 44

Każda przezorna gospodyni niechaj żąda dla

swego

użytku w każdym składzie **tylko** mej specyalnej marki margaryny

Rowitt

która zastępuje najlepsze **masło stołowe.**

Pierwszorzędny zakład dentystyczny

M. Kaniasty

359

Poznań, plac Piotra 3, I. piętro.

Przyjmuje przed pol. od godz. 9–1
po poł. od godz. 3–6.

Sztuczne zęby, plomby i t. d.

po cenach nader przystępnych.

Praktykuje od roku 1890.

Mydła Zwierzyńskiego

z fabryki mydeł i chemiczno-technicznych wyrobów

w Gnieźnie

twarde, w 1-funtowych paczkach po **30 fen.** oraz w ryglach każdej wielkości,

rzadkie, szare i białe (salmiako-terpentynowe),

toaletowe
- różnozapachowe kawałek po **10 fen.**
- migdałowe) po **10 fen.** jak i w kawałgicerynowe) kach różnej wielkości.
- „Halka“ kawałek po **25 fen.**
- „Boquet de fleurs“ kawał. po **25 fen.**
- „Lanolinowe“ kawałek po **25 fen.** z zagwarantowaną zawartością lanoliny.
- „Palmitinowe“ kawałek po **25 fen.**
- Liliowo-mleczne kawałek po **50 fen.**

medycynalne,
- smołowcowe kawałek po **10** i **25 fen.**
- siarczane kawałek po **10** i **25 fen.**
- karbolowo-smołowcowo-siarczane kawałek po **50 fen.**

467

żółciowe, w kawałkach po **10** i **20 fen.**

do golenia, w kawałkach po **10** i **20 fen.** jak i w ryglach każdej wielkości.

Hygieniczny proszek mydlany Zwierzyńskiego „Pezol“

w 1-funtowych paczkach po **20 fen.**

zdobywają sobie coraz większą liczbę łubowników i stałych konsumentów.

Do nabycia wszędzie!



A. Galczewski,

Gniezno (Gnesen).

Największy Polski skład zegarmistrzowsko-złotniczy

poleca w bardzo wielkim wyborze bajecznie tanio *zegarki kieszonkowe* już od 4,50 mk. począwszy, *zegary ścienne* i *budziki* od 2 mk. począwszy, *regulatory* od 10 mk., *pierścionki* złote, prawnie stempl. od 1,25 mk., broszki, kolczyki, bransoletki, obrączki, okulary, binokle, przedmioty srebrne i alfenidowe. (125

Na żądanie wysyła się bogato ilustr. cenniki gratis i franko.

Korzystne źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Zasadą interesu jest rzetelność.

Do Szanownych Właścicieli domów!

Nowe papowe dachy podwójne, także łupkowe pod **dwudziestoletnią** gwarancyą, daję za stare **DACHY CYNKOWE**

za które jeszcze dopłacam.

Także polecam się do wykonywania wszelkich **prac dekarskich, dachówką, łupkiem itd.** Wszelkie reparacye dachów wykonuję sumiennie i pod gwarancyą.

Kosztorysy i rewizye dachów bezpłatnie każdego czasu. Referencye z wykonanych prac na pałacach, kościołach itd. dostarczam każdej chwili.

J. Marciniak, mistrz dekarski. 474

Biuro Poznań, św. Marcin 14. **Telefon Nr. 716.**

Książki do nabożeństwa, książki ludowe w wielkim wyborze. **Krzyże pod szklanym dzwonem** 30 cm., wysokie, od 4,50 mk. począwszy. **Klosze** szklane, okrągłe dzwony do pokrycia figur i innych przedmiotów. **Kandelabry, świeczniki, lichtarze, lampki** do stania i zawieszania. **Medaliony, medaliki, krzyże, krzyżyki** różnej wielkości. **Obrazy M. B. Częstochowskiej** na drzewie malowane w różnych oprawach. **Wielki wybór obrazów olejodruków, olejograwur, stychów francuskich** w oprawach i bez opraw. **Naszyjniki** z prawdziwych korali z medalionikiem lub krzyżykiem poleca

Księgarnia Nowa, **FR. BŁAZEK. (Kwaśniewski).**

założona 1878 roku. 263

Poznań, Jezuicka ul. 12, (Posen Jesuitenstr. 12.)

Sprzedającym wysełamy na żądanie cennik.

Znakomita książka kucharska 396

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych, z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież śpiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur.

Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny. str. 360.

Cena bez oprawy 2,20 m.; z piękną oprawą 3,00 m.

Wysyłamy tylko za zaliczką, doliczając 30 fenygów na porto, adresować prosimy **Księgarnia Katolicka, Poznań ul. Jezuicka 5.**

Uwaga. Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte wyłącznie na własnem długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania.

Cegielnia Glabisza

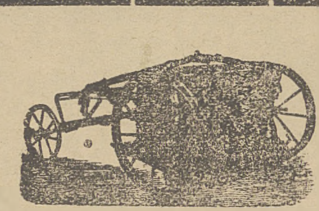
w Poznaniu

kantor ulica Lipowa nr. 1.

poleca jako specyalność swych wyrobów wszelkiego rodzaju 356

dachówkę

najprzedniejszej jakości.



Siewnik rzędowy „Saxonia“ Siedersleben znany z swych nadzwyczajnych zalet i dotąd **stanowczo najlepszy** 99 tak na role pagórkowate, jak i na równe, mam w Poznaniu **jako główny reprezentant,** w rozmaitych wielkościach na składzie po cenach fabrycznych.

Siewniki szerokorzutne Beermanna

chwilowo za najlepsze uznane.

Siewniki czyli potrząsacze

do stucznych nawozów Schloera, Westfalia, Hampla i innych systemów.

A. Byliński,

Poznań, ul. Rycerska Nr. 11 a.

Telefon Nr. 69.

Adr. do listów: A. Byliński Poznań — Posen.

Adr. do telegr.: A. Byliński Posen.

Skład machin i narzędzi rolniczych najnowszej konstrukcyi. Części zapasowe do nich, jako też pracownia do napraw.